

SYN JAZDONA.



SYN JAZDONA.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

z czasów Bolesława Wstydliwego
i Leszka Czarnego.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM I.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk J. Jeżyńskiego, Daniłowiczowska 16.

—
1897



Дозволено Цензурою.
Варшава, 4 Марта. 1897 года.



DR. WEJGŁOWI

WICE - PREZYDENTOWI MIASTA KRAKOWA

na pamiątkę z nim odbytej podróży

ofiaruje

Autor.

Drezno.
Listopad, 1879 r.



P R O L O G.

I.

Szaro było na ziemi i niebo oponą się szarą oblokło. Nad źródłiskami ciepłemi ledwie gdzie wą-
tła. blada majaczyła zieloność niby wiosenna, ponad
którą sterczały zeschłe, trupie badyle i wymokłe tra-
wy przeszłego lata.

U strumieni stojące wierzby już się okrywały
puchem, jakby nim przyszłe liście od chłodu otulić
chciały — lecz liści jeszcze nie było i pączki stały
szczelnie otulone i zamknięte. Weześnie przybyłe
bociany smętne włóczyły się po dolinach, stały u mo-
czarów strzepując skrzydłami zmęczonemi długą po-
dróżą.

Ponad rolami ulatywał skowronek, patrzył w nie-
bo a piosnkę mu chłód w dziobku tłumił, i oczy
próżno niebios lazurowych w górze szukały.

Smutno było po świecie, tylko stada kruków
unosily się w powietrzu gwarliwe, krzykliwe, wesołe
jakiemś strasznuem naigrawaniem się tej żałobie.—
Co przysiadły na suchych drzew gałęziach, to się
zrywały kołować w powietrzu. I wirowały niby pi-
jane, to podnosząc się do góry, to spadając, szuka-
jąc jakiejś pastwy obiecanej.

Aby dofrzeć kędy ona była, zrywały się tak czasem w obłoki, a nie dojrzawszy jej spadały na drzewa i ziemię. Ze wszech stron nadciągały one chmurami jak na zawołanie wiecowe, jak po wiciach do wojny. Gdy się spuściły na łąkę, czerniała od nich, ruszyła się jakby potwora legła na niej, a gdy się zerwały w obłoki, wily się w nich jak smok czarny—a gdy krakały, nie słychać było ani szumu drzew, ani poświstu wiatru, ani szezebiotania innego ptactwa ani mruczenia strumieni, które od deszczów i śnieżysk wezbrały...

Na pustej dolinie, u skrajn lasu chata stała, zamiast płotu obrzucona gałęźmi na kupę nagromadzonymi wysoko, tak wysoko, że ledwie z poza nich dach słomiany, okopcony, z odartym dymnikiem widać było. Sama sobie na ustroniu, wśród puszczy stała chizyna niby straż wysunięta—niby zabity kół na znak, że się tu życie poczynąć miało ludzkie, gdzie niedawno zwierz i pustynia panowali sami.

Po nad dachem dymiło, jak opar szły wszystkimi szczelinami kłęby sine i wisiały nad nim leniwe, a snuły się senne dokoła i kładły aż na dolinie. — W górę się im nie chciało, aby wiatr nie poszarpał na sznki.

Wrota stały otworem, jakby już trzoda wyszła na paszę w las, na młode gałęzie i pączki. Kiedy niekiedy mimo wrót przemknęła biała spódnica niewiasty i znikła. Naprzeciw nich pies kudłaty duży siedział i patrzył w dal, to ziewając, to burząc.

Na stada krucze co spojrzal to drgnął, zrywał się, jakby na nie chciał rzucić, ale rozum jego psi powiadał mu, że przeciw nim niemocen był.

Ciągnął powietrze nosem. Wiatr mu różne wieści przynosił, psisko się od nich zżymało, rozumiejąc tę mowę woni, która doń przylatywała zdaleka.—Dla niego były w niej i od zwierzka w lesie wiadomości i od ludzi wieści i od obcych włóczęgów swędy i z góry od niebios przestrogi i z dołu ziemskie języki.

Dlatego pies nosa nastawiał, a głowę rzucal. Dużo mu przychodziło, nie wszystko rozumiał, zżymał się coraz więcej, coraz mocniej, aż wstał, zerwał się jak do chodu i siadł znowu i rzucił się ze szczekaniem naprzód — i cofnął, głowę opuszczając zadumany.

Dziewczę się wyśliznęło z chaty, przyszło go pogłaskać. Odwrócił łeb, polizał rękę, ale na straży pozostał, miał poczucie obowiązku... Uszy mu się jeżyły i sierść na grzbiecie pręgiem długim rosła do góry.

Wiatr znudzony przypadł gdzieś w lesie, zrobiło się cicho. Kruków stado pociągnęło nad lasy, puszcza szumiąca teraz sama głucho i posepnie.

Wśród milczenia tentent i krzyki rozeznac było można, tentent jakby pędzonej trzody, krzyk jakby ludzki urywany, to szyderski, to przelekły—poza nim śmiech i hukanie.

Pies stał i trząsł się cały, zerwał się, odbiegł naprzód kroków kilkanaście, a czując się bezsilnym przysiadł, pysk do góry podniósł—zawył.

Wyl urywano, bo słuchał razem, oczy mu się iskrzyły—sierść już jeżyła cała.

Z drugiej strony doliny, przesmykiem z lasu biegła ku chacie pędem, rozbita, rozproszona trzoda owiec burych, czarnych i białych. Przodem było z ogonami poddartemi do góry. Po dolinie rozsypało się to na wszystkie strony w poplochu, jak szalone dróg szukając ku chacie.

Tuż za trzodą, za bydłem, za krzyzącemi pastuszkami, przemknął się konny człek, z nim dwu jeszcze i psów zgraja. Psy się niosły za owcami duszając je, chwytając, kalecząc, a co który zgniótł i do ziemi przybił harana—z koni się odzywały wesole okrzyki.

Tętnienie i wrzawa obudziły ludzi w chacie, wszystko biegło ku wrotom. Stary z włosy siwemi, niewiasta w zawiciu białem, dziewczeczka w wianku z kosami długimi, chłopie małe na pół nagie.

Pies jak wściekły ujadął, ale bezsilny cofał się też ku wrotom i wyl. Tuż było spłoszone co przo-

dem bieгло, poczęło nie bacząc na ludzi, jak szalone cisnąć się we wrota. Owce, które uszły psich zębów, jak pijane na podwórko wpadły. Tuż za nimi ogromne molossy z pokrwawionemi paszczkami gnały, za nimi na koniach trzech jeźdźców.

Gonili weseląc się, śmiejąc, hukając.

Pierwszy co przodem jechał, panem był albo pańskim synem... bo i koń pod nim ubrany a piękny z nozdrzami rozdartemi, z oczyma palającemi czuł, że dźwiga na sobie takiego, co wszystko rozbijać ma prawo.

Paniątko co na nim siedziało, ledwie z lat dziecięcych do młodzieńczych dochodziło. Wyrstek był smukły, giętki, silny, twarz cała ze zmęczenia aż krwawa, oczy czarne a ogniste włos na ramionach długi, nad czołem kołpaczek z piórami, na nim suknia cała bramowana, cała szyta, obwieszona w sznury, róg przez ramiona pozłociсты, luk kowany, pas nabijany, nóż u boku świecący. Cała ta ozdoba nie stała za nic przy obliczu chłopaka tak zuchwałemu, tak rozpalonemu radością dziką, szaleńcem jakimś, iż zdawało się świat do boju wyzywać. W ręku żyłastem podnosił do góry oszczepek i machał nim psy swe zagrzewając.

- A! huź!

Z otwartych ust jego zęby białe choć się śmiały, zdały się kasać, wargi krwawe trzęsły się, na młodych policzkach drgała krew rozszalała — pijany był sobą i młodością.

Dwaj towarzysze jego lecieli za nim też bez głów, krzykiem jego jak psy zaprzewani, ale wśród tego szalu, gdy spojrzeli po sobie, przebiegał ich jakiś strach, nagle im coś usta zamykało, obawa czy litość.

Psy, jeźdźcy, trzoda, wszystko razem niemal ścisnęło się we wrotach, które starzec napróżno chciał zamknąć.

Rzucił je w końcu. I on i niewiasty zbiegać

poczęli przerażeni do chaty. Dziewczę tylko wyrostek, któremu owiec żal było, a strach nogi podciął, zawieźło w progu.

Z konia piorunem skoczył paniec i pochwycił ją już w pół mdlejącą i krzyczącą. Spojrzawszy w oczy załzawione niebieskie, porwał na konia, który zbywszy pana otrząsał się właśnie. Dwaj towarzysze stali oślnięni, gdy już chłopak ze swą zdołęczy mdlejącą a wzywającą ratunku, zaczął znów dosiadać siwego.

— Hej! to łup! to łup, na którym ja czychał dawno! — krzyknął zanosząc się dziko — do lasu z nią!

Dziewczyzna ręce podnosząc wołała ratunku..., lecz drzwi chaty stały zaparte, nikt nie śmiał wybiec na obronę. tylko pies jeden za nogę pochwycił panieza, ale wnet dwa ogary z krwawymi paszczkami padły nań i zdusiły.

W podwórku już one dużo nagospodarowały. Młody byczek leżał rozciągnięty na ziemi z oczyma zeszkłonymi, a z gardła mu ciekącą krew chciwie chleptały psy. Kilka owiec dyszało i broczyło.

Chłopak śmiał się wielkim glosem.

— Do lasu! — wołając. — Uszłaś ty mi nieraz, gdy cię gnał na jagodach... przyszedł na ciebie czas.

Drzwi chaty otwarły się nagle, wypadł z rękami załamanymi siwowłosy.

— Zlitujcie się! zlitujcie! — jęczał.

Na krzyk jego psy pańskie przybiegły i poczęły na nim szarpać odzienie, poczęły kąsać ciało.

Nie czuł tego i wołał:

— Zlituj się!

Młody szaleniec nie słuchał. Dwaj pacholankowie pobledli, z ich twarzy zeszedł szal. strach i groza je ściągnęły. Patrzali na pana — to na siebie. Wahali się. On nie zważał na nie, w silne ręce ująwszy dziewczę sadzał je już na konia i sam za niem się sadowił.

Stary, którego psy szarpały, włókąc je za sobą

przybiegł i jęcząc pochwycił go za nogi. Z chaty zawodząca płaczliwie ukazała się niewiasta, ręce łamiąc nad głową i wyjąc nie ludzkim jękiem.

Wszystkiego tego chłopak nie słyszał, koniowi ściągając wodze i już do wrót się mając z dziewczyną.

Wtem we wrotach nagle jeździec się ukazał.

Człek był stary, na silnym koniu, w prostej opończy z głową nieokrytą. Przez plecy miał sznur z trąbą myśliwską z prostego rogu.

Siwe włosy wiatr mu porozrzucał i na ramiona i czoło rozsypał. Twarz bladą miał jak trup, oczy zagasłe a straszne, czoło pomarszczone w grube wały — pierś szeroką, dyszącą. Siłę w nim czuć było i moc jakąś, taką, że gdy się jego oczy z wejściem chłopca spotkały — czerwony, oszalały panicz zbladł, zęby mu się ścięły jakby zgrzytał.

— Szatan cię tu przyniósł, Wojusz! — zakrzyczał nagle wściekając się ze złości i próżno usiłując się wrotami wymknąć z dziewczyną.

Wojusz w poprzek ich stał jak mur, mówić jeszcze nie mogąc, dyszał, a choć nie mówił oddechem tym był groźny — wrzało w nim.

— Pawlik! — puść mi wnet dziewczynę! — zakrzyczał wreszcie głosem ogromnym.

Coś było w tym głosie rozkazującym takiego, że ręce co trzymały pochwycony łup, siłę traciły i dziewczę skorzystawszy z chwili tej, wysliznęło się jak wąż, zsunęło na ziemię, padło ku starcowi, który je pochwycił, a z nim do chaty. Drzwi jej zawarły się z łoskotem ogromnym.

Psy, które za uchodzącymi goniły, mordami bily o drzewo — wewnątrz zapadała zapora.

Pawlik, gdy mu się zdobycz wymknęła, już nie za nią, ale na Wojusza wściekły, jął się miotać i oczyma błyskać groźnie. Ten się nie uląkł. Patrzali tak na siebie wojując wejrzzeniami piorunującymi — aż chłopię głowę spuściło.

Stary Wojusz dyszał zgrozą, rozpaczliwą boleść jakąś widać w nim było.

— O ty niegodny synu Jazdona — zaczął głosem grubym i warczącym. — Ktoby w tobie poznał ojca? Na to my cię wypiaستowali, na tom ja na rękę nosił, abyś na zbója wyszedł i zbytnika? Jeszcze ci się wås nie wysypał.

Podniósł pięść do góry.

— Za mną! na zamek!—dodał—za mną! Tym razem ja nie utaję przed starym, nie! Dosyć tych psot. My cię nie utrzymamy, ja stary, na ciebie żelaznej ręki potrzeba.

Popatrzał na krwawe psów ofiary.

— To twoja zabawa! to twoje łowy. Mało ci zwierza w lesie, byś biednemu zagrodnikowi trzodę dusił psy twojemi, wściekłemi jak ty! i dziecko mu chciał porywać.

Pawlik jak skamieniały słuchał, ale gniew w nim drgał.

Wojusz skinął.

— Na zamek! Psy na sznury! służbo ty pana wartal

Odwrócił się do dwu pachółków, którzy wnet skoczyli z koni.

Pawlik jeszcze stał niemy, gdy Wojusz powtórzył głośniejsze:

— Na zamek!

Młody odwrócił głowę i zamruczał.

— Długo ty mi myślisz rozkazywać? ty?

— Póki mnie ojciec twój od tego ciężaru nie zwolni — odparł Wojusz — dopóki ja za ciebie odpowiadać muszę Bogu, Jazdonowi i pamięci twej matki.

— Na zamek!—powtórzył raz jeszcze.

Ale chłopię zuchwale, uparte, nie ruszało się.

— Związać każe i powiozę jak barana!—krzyknął stary.—Potem ojcu do nóg padnę, niech z wami

robi co chce. Mnie już was dosyć! Wolę śmierć, niż dozór nad tobą.

Na zamek!

Psy już były na szuurach i zmęczone posiadały dysząc, a krwawe liżąc pyski. Pacholkiwie posłuszni dosiedli koni, tylko Pawlik się nie ruszał.—Wojusz przybliżył się doń, konia mu za uzdę targnął. Młodemu ręka drgnęła, w której oszczep trzymał, jakby się bronić chciał — i opadła. Zamruczał coś, spuścił głowę i koniowi dał ostrogę.

Milczeli wyjeżdżając z podwórka, tylko Wojusz gniewem dyszał jeszcze. Pawlik ze złością spoglądając na starego, dał się koniowi za nim ciągnąć, pacholkiwie wlekli psy za sobą.

Wyjechali tak z podwórza, a drzwi chaty jeszcze się odemknąć nie śmiały i byli już o stał kilkor, gdy naprzód okno się otwarło i głowa siwa wysunęła, potem chwiejąc się na pokrwawionych nogach wybiegł siwowłosy ręce łamiąc—stał, posoką oblane pobojuwisko oglądać. U progu leżał stary druł domowy, pies z wywieszonym językiem i wysadzonemi z pod czaszki oczyma.

Przodem Pawlika puściwszy, w ślad za nim jechał Wojusz, opodał ciągnęli szepecząc z sobą pacholkiwie, których odeszła ochota i wesele. Chmurno spoglądali to na siebie to na panicza, to na starego, który w pole wyjechawszy, gdy powietrza w pierśi szerokie wciągnął, splunął raz i drugi, i groźnie spojierając na milezące chłopię, począł wywolywać w pół do niego, pół do siebie.

— Al piękny to mi syn męznego Jazdona, Comesa na Przemankowie, co go książęta we czci mieli i do rady przyzywali, którego Leszek, błogosławionej pamięci, choć chorego, na każdy sąd wyzywał, a gdy on słowo rzekł, ważyło ono za dziesięć innych!

Al piękny mi syn rodzica sławnego, dobry wychowanek starego Wojusza, co go od kolebki rozum uczył i cnoty! Na co się to wszystko zdało? Na co?

Groch o ścianę! Jakiem żdźbło było, gdy kielkowało, takim i wyrosło—badylem. W kolebce niańkom włosy obrywał i twarz drapał, psy i koty męczył—teraz bydłu i ludziom pokoju nie daje!

A piękny to syn Jazdona! dobra rodzicowi pociecha! Puść go z oczów na godzinę, nie wycierpi żeby krwi nie pokosztował, psoty komu nie wyrządził, biednym ludziom nie zalazł za skórę!

Syn Jazdona!—powtarzał stary, to śmiejąc się szydersko, to buchając niemogącym utamować gniewem.

Burzał tak, a młody jak pod chłostą jechał z głową zwieszoną, nie odwracając się, jakby nie słuchał. Czasem konia spał, aby od tych słów uciec, ale stary go doganiał.

Choć Pawlik się nie odwracał i nie chciał dać poznać po sobie, że czuł gorące słowa, któremi go smagano, wydawał się z tem mimowoli iż cierpiał. Drgały mu ramiona, ręce ściagał, pięści ścisnął, głowę rzucał nie zwracając jej, nogami konia dusił. Trzymał tak w sobie młody gniew, aż wreszcie buchnął...

— El ty—stary wywłoko! milczałbyś! Grzybie zgniły! W tobie już krwi nie ma i kropli—to siedź u ognia... grzej się, a młodym tobie nie rozkazywać. Myślisz, że mnie ty czy kto słowem czy pięścią strzyma, kiedy we mnie krew zagra i zakipi? albo że ja klecha zażegna? albo ja strach zastudzi?

Rozśmiał się dziko i szydersko.

— A pocoby mnie życie, gdybym je miał związany w kacie pędzić! Mnichem nie jestem, mnie trzeba swobody... ja muszę wszystkiego pokosztować i nacieszyć się życiem... Na pokutę i na gnucie dość będzie czasu.

— A któż ciebie będzie trzymał w jamie i knł w dyby — zakrzyczał stary sierdzysto. — Puszcza cię przecieł puszcza w świat! Masz ledwie dziewiętnasty rok. Pójdziesz! pójdziesz! abyś tylko powrócił... A no, dziś ty jeszcze chłystkiem!

— Nie! — zaprzeczył Pawlik. — Nie! Krzywoust

młodszy gdy był wojował, drugim żony dawali w tym wiekul a ja co? W podwórku mi każą biegać, jak koniowi na postronku, za wrota nie rusz! Książdz pół dnia więzi nad księgą, trzyma i w łeb kładzie co mi na nie! Pisarzem ja nie będę..., ani kancelerstwa chcę! Ty, ciemiego, włóczysz się za mną jak cień, abym sam sobie nosa nie utarł. Co za dziw, że gdy się wyrwę, to szaleję? E! ty, stary! nihy ty nie wiesz, że jak hacją wodę zaprzesz, to ci ona i hać i młyn i dom wyniesie!

Stary zżymnął się, zły był jeszcze, ale widać było, że wymowa chłopca nań działała, niemal się nią cieszył.—Rozbrajała go. Uśmiech po ustach mu się prześliznął. Wszelako chciał być nieprzebiegającym i gniewnym.

Jechali dalej tak, sporząc ciągle.

— O! kaznodzieja z ciebie dobry!—mówił stary. — Więcej u ciebie języka niż statkul Żeby cię, jako teraz na gorącym uczynku złapać, potrafisz się wyłgać! Chłystek, mleko pod nosem, a już mu cudzej dziewczyny się zachciało! Coś ty powinien wiedzieć o dziewczkach, ty, coś niedawno na pasku chodził!

Pawlik parsknął i nie nie odpowiedział,—a gdy stary zmilkł, mruknął.

— Toćbym jej był nie zjadł! A co wielkiego zagrodnika dziewczka, żeby jej panu tknąć broniono? Jak grzyb wyrosła na mojej ziemi.

— Mileżałbyś gołowąsie jakiś! — przerwał stary.—Dość mi tego! Myślisz, że Jędreka nie przyjdzie do miłościwego naszego na skargę. A toć mu pół trzody twe psy niepoczciwe wydusiły! jego pokąsały, a dziewczka odchoruje ze strachu.

Pawlik się znów rozśmiał.

— Dziewka ma chorować ze strachu!—krzyknął—Porzućże stary. Widziała żem ni wilk, ni wilkotalak i krwi jej pić nie będę. Jutroby się była śmiała.,

Lekceważył coraz bardziej gniew starego, przy-

chodząc do siebie i już poświstywać począł. W tej wesołości udanej było jednak nieco trwogi.

— Staremu Jędrkowi — dodał — za trzodę i za strach co się da.

— Kto da? co da? — wrzasnął Wojusz. — Ty eblystku nie nie masz. na łasce ojcowskiej jesteś! Z panem ojcem, ty wiesz! nie żarty!

Pawlik za całą odpowiedź ramionami ruszył.

— Na pół on martwy—ciągnął Wojusz dalej—ale tej połowy, co żywa została dosyć będzie, aby ci dobrą dał pamiątkę.

— Gdy ty mnie zaskarżysz! ty—wtrącił Pawlik.

— A ja mam zataić? duszę gubić? tobie dać szaleć, abys się do reszty rozwydrzył—zawolał stary.—A! niedoczekanie twe! Miałem ja litość nad tobą, dosyć, nadto... Czas cię w żelazne kleszcze wziąć!

— Czas mi wolę dać!—przerwał młody.

— Ufasz w to, żem ja cię wypiańczył, twoje psoty pokrywał—ale już tego dość! dość!

Wyjeżdżali z doliny i zarośli, na polu, na wzgórzu widać było zagrodę dużą, waly i wodę dokola, z pośrodku drzew sterczące dachy, półwieżyce i strażnice.

Był to gródek Przemankowski. — Do niego jadąc tak jak oni jechali, już i pół godziny drogi nie było.

Młody musiał wszakże na ten czas przeciąg rachować, iż on starczy, aby mu się stary Wojusz wyburzył. Zwalniał krokn dla większej pewności, tak, że jadący równo z nim stary, stanął obok z koniem—i pierwszy raz sobie znowu w oczy spojrzeli.

Młody, w którym już ostygło, uśmiechał się, stary bureczał ochlonawszy też znacznie. Pot tylko z czoła ocierał.

Jechali dobry czas nie nie mówiąc do siebie.

Chłopak teraz, gdy się w nim namiętności ukłótyły. krew wzburzona uspokoiła, wyglądał ślicznie, rozkwitły bijną młodością.

Samo szaleństwo jego miało pewien wdzięk,

któremu mógł się dać ująć stary dozorca. Łatwo to pojąć było.

— Żebym był do stajen nie poszedł, chorego konia pańskiego opatrywać — odezwał się Wojusz — konia, na którym on już nigdy siedzieć nie będzie, a codzień go sobie przyprowadzać każe... żeby nie ten koń! nie byłbym ci ja dał się wyrwać ze psy i z temi psubraty, co za tobą poszli na rozpustę!... Co tobie ojciec sprawi, łaźnię czy kaźnię — to jego rzecz — ale że ja — dodał zwracając się z pięścią do jadących z tyłu — że ja tymi łozami do krwi skórę wygarbuję, to tak pewna, jak żem dziś żyw, i że się zowie Wojusz Sowa, i żem zawołania Półkoza, i żem ciebie na trutnia wychował.

— A wiesz, czemuś mnie na trutnia i nieponia wychował? — dosyć chłodno odparł Pawlik.

— Wiem — bom za dobry był — huknął stary. — Trzeba cię było siec a siec, a tłuc i ducha słuchać, nie nie darować... Jam głupi był i często śmiał się, gdy płakać było trzeba.

— Al nie! nie! — przerwał Pawlik. — Gdybyś ty mnie tak nie niańczył, na pasku nie wodził, dał mi się zawczasu wybrykać, jak chłopskimi dziećmi, a za-kosztować swobody i guzów sobie nabić, tobym ja teraz na swobodę i guzy tak łakomy nie był.

Stary Wojusz usłyszawszy te słowa, z pewnem podziwieniem głową potrząsł. Może w duszy prawdę im przyznawał, a potwierdzić jej nie mógł i nie chciał.

Zbliżał się już ku dworowi Przemankowickiemu. Wojusz, który niedawno z niego wyskoczył, za zatraconym goniąc wychowawcem, bo wiedział, że gdy się wyrwie, szalonego coś pocznie — patrząc zdala na gródek, głową trząsł, bo się około niego coś działo niezwykajnego.

Pusty to był kąt, zaszyty w lasy, gościące wielkie tędy nie wiodły, rzadko kto obcy zawitał. Około dworu cudzych ludzi ledwie parę razy do roku

spotkać było można i to albo do zawołania Półkozów należących, albo zabłąkanych na puszczy.

Teraz zaś pod wałami się roziło ludem. Z kilku stron widać było ciągnące kupki zbrojne, podążające ku dworowi. Niektóre się już były na podgrodziu porozkładały obozami, jakby dla nich w środku miejsca zabrakło.

Widok to był tak niezwykły, że i Pawlik mu się zdumiał.

— Patrzo? co to jest?—zawołał.—Co to tam za ludzie naszli?

— Widzę, ale Bóg skarż, nie wiem jacy — odparł cały już tem zjawiskiem zajęty i niespokojny Wojusz. — Przecieżem niedawno z gródka wyjechał, niespodziewano się tam nikogo; o nikim słuchu nie było. To są jakieś zbrojne kupy!

W Pawliku krew zagrała, oczy mu się zaiskrzyły, nie mówił nic. Stary odgadł, że mu się do tych orężnych zachciało.

Na rękę też było chłopcu, iż na gródku coś zaszło, co porządek pomieszało i mogło dać o nim zapomnieć. Wojusz tak był zdziwiony i zmieszany tem, że chłopcu przestał czynić wymówki i zapomniał go karcić.

Ze zmarszczonemi jechał brwiami, myśląc a zgadując, co się stać mogło, iż na starego Jazdona tak najechano.

Jazdon ów, Półkoza, możny sobie pan, za Kazimierza i Leszka w radzie książęcej i na wojnach sławny, do Baronów i Comesów się liczył, póki stało siły około dworu i wojska się zaprzatając.

Po onej Gąsawie nieszczęsnej i po zawieruchach a wojnach książęcych, które potem niemało się lat ciągnęły, ręce mu do wszystkiego opadły... Nie było widoku, aby z nich co dobrego wyjść mogło.

Jazdon miał jedno na sercu i myśli, znowu ową monarchię sławną Mieszków i Bolków przywrócić i władzę w jedną dłoń skupić, a tu się one ziemie i powiaty coraz bardziej rozpadały. Dzielili się

książęta, mnożyli, ziemi i grodów ledwie dla nich stało. Każdy sobie brał jakiś splacheć i krwawił się oń bodaj z rodzonym bratem, bodaj z ojeem, aby co najwięcej ziemi urwać, a potem mieć co między dzieci dzielić.

Już było tedy owych dzielnie nie policzyć, a wojen nie powstrzymać. Nad karkiem wisiąca Ruś i Połowcy, Prusacy poganie i Litwa, co się w siłę wzbijała. Królestwa rosły dokoła silue, wrogów zewsząd wstawaly zastępy, a w krainie Mieszkowej kotłowało i wrzało, a jadło się co żyło.

Jazdon choć z Leszkiem trzymał wprzód, gdy go nie stało, a książęta Śląscy, co niemczeli strasznie i także się ziemią dzielili, nie wiele obiecywali;—przystał był duszą i ciałem do Konrada Mazowieckiego.

Krwawy to był pan, straszny człek, ale mąż taki, co mógł wszystkich zwojować i pod jeden płaszcz całą ziemię zagarnąć. Nie było mu co wierzyć, bo słowa łamał, nie można go było kochać, bo on nie miłował nikogo, ale dłoń miał żelazistą, potężną i głowę, w której jedna myśl tkwiła—panować szeroko.

Więc Jazdon mu służył i wspomagał, a cały był z nim, nie zsiadając z konia prawie, bo jeżeli się nie bił, to mu szpiegował, posłował, chwytal jeńców, gotów będąc posługi pełnić najlichsze, aby się raz to ciało na sztuki rozpadnięte znowu zrastać poczęło.

Lecz żaden znój nie pomagał, bo nie nadeszła była jeszcze godzina, którą Pan naznaczyć miał, aby się ten cud stał, o jakim u grobu męczennika Stanisława powiadano, że ciało jego poćwiartowane orłowie znieśli znowu kawałami i zrosło się, jako za żywota było. Jazdon na duchu padł, patrząc już nie chcąc na kalectwo ziemi swej i jak raz powrócił, mało co cięty w ramię z wojny, obległ już dom i więcej ruszać się nie chciał.

— Oczy moje już nie zobaczą, czego dusza pragnie!—mawiał.

Puścił potem brodę stary, aby rosła, i w Przemankowie swym siadł. a zaraz mu, czy od owego cięcia, czy od tego smutku pół ciała odjęło, tak, że jedną połową żył, a drugą był, jak umarły.

Jedno oko zamknęło mu się na wieki, połowica ust nie ruszała, ręka jedna i noga nie miały władzy.

Przecież leżeć tak, jak kłoda nie chciał. Całe życie spędziwszy na koniu i na nogach, i teraz nie mógł w izbie usiedzieć. Miał więc dwu ludzi barczy-stych, niewolników rusinów czy połowców, z po-strzyżonemi głowy, silnych jak niedźwiedzie, co by wołu na barkach unieśli. Tym się nosić kazał czasem po całych dniach. Brali go oni na ręce, a lewicę jego, która martwą była, jeden sobie wiązał do szyi, i tak się ze starym po grodzie, po szopach, po wałach włóczył. dźwigając go, musieli. Mieniali się tylko to na prawo, to na lewo, z kolei przechodząc, boby żaden dnia całego nie wytrzymał po jednej stronie. Stary bowiem zły był, porywczy okrutnie, a gdy się rozsierdził, ręką, która władzę miała, tłukł i bił, lub za włosy niosących go targał, sińce nabijał, ba i do krwi raził nieraz.

Niucha i Mucha, dwaj niewolni. znosili to w milczeniu, ledwie że który się śmiał otrzeć, gdy mu krew popłynęła. Nawykli byli do tego. Karmił też ich i poił, jak bydło na rzecz—co w nich wlało. Mało co przy nim mieli spoczynku, bo i w nocy u proga legiwać musieli na zawołanie, a stary, gdy mu co przyszło do głowy, budził ich po nocach czasem, kazał pochodnie zapalać i po grodzie się naszać.

Człek był srogi, popędliwy, ale też sprawiedliwy. W życiu domowem, mówiono o nim cicho, że za dawnych czasów więcej sobie pozwalał, niż przystało — szalał okrutnie i żył obyczajem pogańskim. Gdy żonę stracił, która syna mu dawszy zmarła, dwór był jak u dzikich, niewiast różnych pełen, które kupowano dlań w dalekich stronach... Pijano też nad miarę i dokazywano okrutnie... Niejednego ubi-

tego Jazdon miał na sumieniu, ale za krew płacił sówicie i kajał się, choć—byle go kto zadrasnął, na-
zajutrz znów łby gotów był ścinać.

Syna jedyne go dał chować Wojuszowi, który mu był powinowatym jakimś.—Sowa ojcowiznę pozastawiał i posprzedawał, potem do Jazdona przyszedł raz odarty i u ognia mu siadł, mówiąc. — Już stąd nie pójdę. Ostatni chłopiec ziemi dałem za dwa sokoły, dwa psy i opończę. Sokoły mi przepadły, psy się powściekały, opończa podarła..., teraz wy mnie żywić musicie, bom swoją krew, zwałąc się jej nie możecie dać. Półkozać jestem!

Na to mu Jazdon rzekł.—Siedźże, ale mi syna weź w ręce dobrze i trzymaj ostro, bo w nim tak. jak ongi we mnie, kipi krew szałona. Odsłużysz za chleb, bo ci ta bestya oczy wydrze. Nie strzyma go nikt, chyba drugi Półkoza, jako my.

A był dzieciak Jazdonów istny borsuk młody, którego się nie tkniesz, żeby cię nie pokąsał. Miał z nim Wojusz nieustanną wojnę, czasem zmuszony i siec i karcieć strasznie, chociaż to nie pomogło, bo chłopak zbity gorszym jeszcze się stawał. Dodali mu potem z Krakowa od św. Jędrzeja kłeczkę, pół księdza, co go miał w religii ćwiczyć i do nauki jakiej sposobić. Zwano go mistrzem Zula, ten gorzkiemi łzy oplakiwał swą dolę, tak ów Pawlik nieunoszony był.

Poskarżyli się czasem ojcu, kazał siec, więzić, głodzić. Pawlik dawał się chłostać. ściawszy zęby, ani pisał, albo tych, co go trzymali, za ręce kąsał. Dawał się zamykać, jadł chleb, wodę pił, z jamy się nie wypraszał. Gdy go pnszczono, wnet znów broił tak samo.

Było z nim trudu strasznego nie mało..., do tych dziewiętnastu lat, których teraz doszedł. Stary Jazdon przecież, dziwna rzecz, choć go sam, bywało, zdrową ręką za włosy wytargał i obił, nie brał do serca tej krnąbrnej natury. Czasemby był przysiągł

Wojusz, że się z chłopca śmiał i cieszył, tak mu wąsy i broda z jednej strony drgała. Niekiedy mruknął.—Będzie z niego człek, z gnoju nie ma nic.

Na to Wojusz głową trząsł — nie dowierzając, choć i ten go kochał... Klecha zaś Zula, którego chłystek żywcem zamęczał, miał doń przywiązanie, jak do własnego dziecka.

Takie to było stworzenie dziwne, że ani go znienawidzić, ani z nim w zgodzie pół dnia przeżyć nie podobna.

II.

Gdy się ku gródkowi zbliżać zaczęli—a jechali teraz wolno, Wojusz pierwszy poznał, iż owemi gromadami zbrojnemi na Podzamczu kto inny nie mógł być, tylko wojskowe dwory rycerstwa krakowskiej ziemi i okolic ode Ślązka. Ale poco się one tu ścigały i co robiły, nie pojmował, ni się domyślał.

Do Jazdona na radę nie jeździł teraz nikt, bo stary się już tu tak zamknął, że o Bożym świecie nie wiedział nic.

Więc jakaś bieda, czy potrzeba, tych ludzi zapędzić musiała w lasy. Albo od nieprzyjaciela uchodzili, lub tu czyhać nań chcieli, w puszczy się gromadząc.

Wojna tych lat nie była rzeczą osobliwą, ale powszednią. Od Wisły i Wieprza począwszy, po Wartę i Łabę niemal, książątek siedziało Piastowiczów różnych, poniemczałych, podziechałych, klótlivych tyle, że ich policzyć było trudno.

Jeden drugiemu ziemi zazdrościł, grody najeżdżał, powiaty obrywał. Chwyтали się po kościołach na modlitwie, jeden drugiego — sadzali do więzień, nietylko sami, ale żony i dzieci, zabijali się i mordo-

wali o dziedzictwa, do których prawa rościli. Nie ten, to ów wojował i wichrzył.

Nie stało tych waśni domowych, najeżdżała Ruś, napadli Prusacy, Jaćwieże, Litwa, Połowcy. — Nie było ani dnia spokoju, chyba w takich kątach, do których przez błota, moczary i puszcze dostać się nie było podobna. A Przemanków taki był, mówili ludzie, że siedział, jak u Boga za pazuchą.

Podjebawszy pod gród, gdy Wojusz się począł rozpatrywać w tych kupach, pozdrawiali go przybyley, — widząc, iż domowym być tu musiał.

Ludzie stali wszystko zbrojni mocno, jak na wyprawę gotowi, ale strwożeni jacyś i niebutni.

Kładli się opieszale, niby obozem, jakby nie wierzyli, że tu długo potrwają.

Już do wrót otwartych podjeżdżając, stary Wojusz oczyma rzuciwszy po tych, co go, Boga chwając, witali, poznał podeszłego, jak on, rycerskiego człeka, z którym niegdy razem w polu bywał — Rokitę.

Huknęli do siebie zdala. Sowa stanął.

— A was co tu przyniosło? — zapytał.

— Nie pytaj! Cóżby mogło, jeśli nie bieda — począł podchodząc ku niemu Rokita, który, że jeszcze czasu nie miał nie zdjąć z siebie, jak jeź, był cały nasrożony łukami, kołczany, oszczepami i nożami. — Zdalo się, że co miał doma żelaza i broni, wszystko na się wziął.

— Co za bieda? — pytał Wojusz.

— Jakbyście to nie wiedzieli? — mówił Rokita. — Choć wy w lesie siedzicie, ale już kąta nie ma na tej ziemi, gdzieby nie jęknęło i nie zadrgało trwogą. Alboście to nie słyszeli o tej tłuszczy, o tej szarańczy, o tej chmurze, co na nas, jak potop się leje, Ruś już zawojowawszy całą?

Wojusz zżymnął ramiony.

— Juścim o tych słyszał, co ich nasz kłecha zowie Gogami i Magogami — rzekł powoli — jakoby się oni odgrażali całą ziemię podbić sobie, jak o nich

w piśmie ma stać, i że chcą całe chrześcijaństwo wygubić—beł—ale Pan Bóg nie dopuści.

— Dopuścił! — wtrącił Rokita gorąco.— Wyście tu, widzę, pogłuchli i poślepli, a tam już ziemia się trzęsie i krew rzekami płynie. Oniż już n nas, na karkach—już w popiołach całe powiaty..., bo ta dziec nie żywi nikogo!

— Drugie Połowcy! — odparł spokojnie Wojusz — ja ich znam!

— Co? Połowcy? To byli ludzie jeszcze, choć ludzi zabijali, a to dziki zwierz co trupami żyje! A idzie tego taka moc straszna z wozami, z kołmi, z babami, że na piętnaście mił szlaki zalegają lawą.

Westchnął mówiący i pot otarł.

— Więc cóż? — spytał Wojusz dosyć obojętnie.

— Mamy ginąć — dodał Rokita — pan wojewoda krakowski powiada, ginemy po rycersku, po chrześcijańsku. Uciekać już i nie ma dokąd, pładrują oni wszędzie, a płyną falą ogromną jak woda. Trzeba stanąć i dać życie z cześcią, nie w jamie się dać brać — nie bezbronnym.

Westchnęli oba spoglądając ku sobie! wtem słuchający dotąd Pawlik, któremu twarz znowu gorzeć zaczęła, wyrwał się:

— Pójdę i ja z wojewodą!

Wojusz nań spojrzął, ramionami ruszając.

— A co po takim chrzście? — odczywał się pogardliwie.

Pawlik aż za nóż się pochwycił, bo mu obcego wstyd było.

— Pójdę! — powtórzył — pójdę!

Rzekłszy to, nagle zęby zciał i zamilkł.

Wojusz z Rokitą poszeptali coś jeszcze i stary z chłopcem, który mu się już naprzód wyrwał, jechał na zamek. O owem szaleństwie, za które go karcić miano, mowy już nie było.

W podwórza bardzo przestronne za wałami, le-

dwie się mogli wcisnąć i to wołając ciągle, aby ich przepuszczono, bo domowi są i to się im należy.

Ludu wszędzie było pełnusięńko, a przed dworcem pańskim, starszyzna co się już w izbie pomieścić nie mogła, kołem stała we zbrojach niemieckich, w hełmach, w szatach jasnych i pstrych, otaczając Jazdoną, który się swoim niewolnym, Niusie i Musie na dwór do panów braci wynieść kazał.

Widok był osobliwy, bo stary pan, którego słudzy na barkach trzymali, górował nad tłumem, jakby podniesiona chorągiew. Ogromny tułów jego wisił na pół bezwładny na ramionach tych obrów silnych, z bladą twarzą długą, o jednym zamkniętem oku, z brodą siwą, co mu nie kręcąc się, rosła gdyby trawa prostemi grubemi włosy, z usty krzywemi, zapadłemi, z tą jedną ręką białą, jakby trupią, chustą przywiązaną do szyi Musze, z drugą w pięść gułowatą zbitą, kościstą, żyłami grubemi oplecioną.

Suknia na nim prosta, wełniana, na piersiach była rozwarta i z pod brody przeglądało wyschłe ciało, ze sterczącemi żebry, z pofałdowaną skórą żółtą.

Shchal opowiadania Jazdon, to nsta bezzębne otwierając na pół, to je zaciskając. Oko zamknięte drgało mu, a z otwartego, zakrwawionego płynęła łza długa, po bladym zmarszczonym policzku.

Obok tej twarzy pół umarłej, a jeszcze życiem jakimś tętniącej, dwa łby ostrzyżone krótko z obliczami śniademi, bezwłosemi, krągłemi, ze lśnięciami bydlęcą tłustością policzki, obumarłe, zmęczone — stały jak dwa kamienne posągi.

W kolo rozprawiali przybyli gwarno, przerywając sobie, wtrącając słowa z bólem wielkim, z ogniem rozpaczliwym. Wśród rycerstwa zbrojnego widać było i kilku duchownych. Stał tu wcisnąwszy się i mistrz Zula, domownik Jazdony, nauczyciel Pawłika i kilku księży przyjezdnych z posępnemi twarzami, jak gdyby po nich śmierć przeszła.

Gdy Wojusz i chłopak z koni pozsiadali, a po-

ezeli zbliżać ku dworowi, co z niemalą przychodziło trudnością, bo i koni i ludzi było jak nabito — urywana tylko, kawałkami dochodziła ich rozmowa. Chwilami przerywało ją milczenie, to znów głosy się podnosiły razem gwarne i jedne drugie gluszyły.

Ludzie się wynosili z tego kola i cisnęli doń. Zamęt wielki widać było między nimi, jakby głowy potracili i nie wiedzieli eo czynili.

Wojusz przybliżając się postrzegł, tuż obok Jazdona, którego niewolni dźwigali, poprawiając mu to rękę, to nogę bezwładną, znanego dawniej Sulisława, brata krakowskiego wojewody.

Ten jeden miał oblicze wygladzone i spokojne, choć posepne, jako ten, co z Bogiem się pojednałszy wie, iż na śmierć idzie, i nie dba o to. Odbijał on sam od wszystkich tych rozplomienionych, po których rysach biegało i męztwo i trwoga, i ból i co tylko ze wzburzonego serca ludzkiego na wierzch krew wynieść może. Jedni rękami chwyтали się za włosy i po czołach uznojonych tarli, drudzy podnosili je ku niebu, drżące, inni załamywali bezsilnie. U wielu słowo się klóciło z dłońmi, a mowa z pastwą.

Stary Jazdon słuchał, a już Wojusz i Pawlik, docisnąwszy się tu, mogli lepiej chwytać te rozbujałe słowa, latające jak wichry czasu burzy.

— Koniec nam! w więzy wszyscy pójdziemy, lub pod rzezak ich! Koniec nam! — mówił ogromny mąż z wąsy szpakowatemi, które zagryzał. — Nie oparło się nic tej dziczy, zaleje ona i nas..., a po trupach naszych powali się dalej, het póki świata stanie, póki ziemi, póki pastwy.

— Nie zjedliż nas Polowcy, ani drugich Prusacy, a i Jaćwa, choć nieraz tysiącami u nas bywali! — przezwiał drugi. Wszystkich nie pożrą i ci.

— Ale bo ich takiej mnogości plugawej nie było jak świat światem — wtrącił inny. — Posłuchajcie no tych, co od Lublina, od Żawistu, od Sandomierza zbiegli. Wojsko to nie, tłum nie, éma nie, aleć

ich tyle, że ode Dniepru het zawalili ziemię jako mrowię, jako gad. Sta stu tysięcy wylało się tego ze stepów—kto to zmoże?

Wśród mileczenia, począł jeden z dnochownych.

— Na zgubę poszło imieniowi chrześcijańskiemu, jako stoi w piśmie! A co woła Bożą i dopustem jest, przeciw temu człowiek mizerny nie może nie! Ruś w rękn ich cała; kneziowie służyć im muszą, a którzy głowy nie dał, w łykach strzemiona imi podają. Mało kto z nich ocalał... nie dają życia nikomu, prócz młodzieży, którą w niewolę na pastwę chuci bydlęcych pędzą. Starych rzeżą wszystkich, niewiasty, mężów, dzieci... a krew ich piją... trupy jedzą.

Sulisiaw słuchał mileczący, i trochę oczów spuszczał, rzekł zwolna.

— Toć nie mając już przed sobą nie tylko śmierć—trzeba ważyć resztę życia, aby pocziwości nie postradać. Co nas rycerstwa jest, musimy się zebrać do kupy i czoło stawić... a ginąć to ginąć!

— Będzie nas może jeden na ich sto!—zamruczał ktoś z boku.

— Choćby jeden na tysiąc—odpał chłodno Sulisław—śmierć zawsze równa. Albo musimy sami przeciwko nim iść. lub się z księciem Henrykiem łączyć, który pod Lignicą zbiera siły. Oni tam pono, wrocławskiego grodu nie dostawszy ciągną.

— A któż z księciem Henrykiem? Juści nie sam?—zamruczał siwy wąsaty.

— Garną się ku niemu wszyscy — mówił Sulisław—i nam iść tam potrzeba, a ginąć po rycersku. Niemieckiego żołnierza będzie tam dosyć, bo i na Niemce i na cesarza strach padł. Przez nasze ziemie oni na nich idą. Trwoga u nas, ale ogarnęła też świat cały, bo ich nie strzyma nic. Pójdą, wywrócą Cesarstwo i Rzym zawojują, przepowiedziane im panowanie nad światem!

— Tak mówią! tak oni głoszą—z westchnieniem rzekł duchowny—ale w mocy Bożej wszystko. Kto

może wiedzieć azali się nie nawrócą. bo do nich Ojciec Święty posłał kapłanów i apostołują u nich bracia nasi, a powiadają inni, że są między nimi, co w Chrystusa niewierzyli i chrztu pragną.

— Wiatry niosą baśnie i kłamliwe języki—odezwał się jeden z koła.—Tyle teraz fałszu, iż w nim odrobiny prawdy nie rozeznąć.

— Tylko to prawda, że za nimi pustynia i trupy, że się im nie oparł nikt—zamruczał inny, ruch czyniąc rozpaczliwy.

Zaczęto się sprzeczać. Jedni drugim zadawali strach i trwogę, aż wyrwał się Wierzbicka i począł na głos wołać:

— Żeleziec, chodź ino tu! Żeleziec! Ten ci był w Lubelskiem, gdy przyszli i wie najlepiej, co są. Patrzaj na nich, niech opowie.

Zaczęli się oglądać i rozstępować wszyscy, owego Żelezca szukając pilno między sobą. Ten się podczas w drugiej kupie znajdował, już pono po raz setny prawiąc, jak się z pod miecza i lyk tatarskich wyzwolił cudem łaski pańskiej. Ledwie Żelezca z pośrodku ciekawych wydobyto i ściągnięto.

Wojak to był niegdyś, stary już człek, chudy strasznie, wysoki, łysy, skóra a kości, blade, kaszlący tak, że mu co chwila tchu nie dostawało, a pierśiami robił jak miechy i ręką się za nie ustawicznie chwycił.

Odzież miał na sobie poszarpaną i oplamioną, na którą mu ktoś opończę dał z miłosierdzia, a ta mu ledwie do kolan sięgała. Szedł kaszląc i spluwając, choć tak mizernie wyglądał, przecie jako tu jedyny świadek czując się drugim równy na teraz i od wielu lepszy. Dawał się prowadzić starszyźnie, jakby na stolicę, a gdy wszyscy zamilkli, głowy ku niemu pozawracawszy, chrząknął, pogladził się po czole i rozpoczął.

— Już myśmy o nich, tych bestjach krwiożerczych, słuch mieli wprzódym nim nadciągnęli. Co no-

cy niebo gorzało. Nie chciało się temu wierzyć, co ludzie przynosili. W powietrzu smród był zgorzelizny i trupów na trzy dni przed nimi. Krucy niebo zaslaniali; nocą, gdy cicho było, coś czasem przeleciało z poświstem, jakby tysiąc płaczów i jęczenie konających.

Żegnali my i księża krzyżem świętym tamtą stronę—nie nie pomogło. Z lasów popłoszony zwierzę zaczął stadami biedz jak oszalały, bo puszcze gorzały. Pomyśleliśmy — przyszła ostatnia godzina. Trzeba było z chaty precz. Wzięliśmy się ładować na wozy... do lasów... na błota. Było rano. Smród i dym coraz straszniejszy, wiatr przynosił. Tętniała ziemia, ręce się nam już trzęsły.

Jedno zbawienie w las — jeżeli go nie zapalą, w głąb, za moczary. My ładujemy tu jeszcze, kiedy za nami trzęsie się, huczy, świszcz, wyją głosy dzikie, niby wilcy głodni. Pochwyciliśmy na ręce dzieci... wozy rzucając, aby prędzej do lasu z życiem.

Spojrzałem ja na lewo, gdzie dolina była jak okiem zajrzeć. Ruszało się coś jakby jedno wielkie ciało szare i plugawe... żmij. Po nad niem opary i dym jakiś, a głos jakiegom ja w życiu nie słyszał. Gdyby dzikich bestyj tysiąc wyło—nie! włosy wstały na głowie. Jakby chimura padła na dolinę — nie na niej rozcnać nie było można, tylko niby ścięrw ogromny, co się sunął naprzód. Przed nim, jakby nogi powyciągał z pod siebie, sznurkami wysuwały się stworzenia jakieś i ruszały szybko naprzód.

Wybiegliśmy szybko do lasu, bo się i to bestyjstwo chyżo dźwigało i pelzło jako gad coraz bliżej. Co żyło z nas pędziło, drudzy padali na drodze, z sąsiedniego przysiółka ludzie tylko co się dobywać zaczęli—po niewczasie! My z żoną i dziećmi zapomniawszy o wszystkim, jakeśmy stali, w koszulach jednych... puściliśmy się do lasu, aż na drodze z tego popłochu białogłowie tchu i sił zabrakło, z dzieckiem na ręku obaliła się na ziemię krzycząc.

Obejrzałem się ku niej, bo już była o staję za mną, chcąc biedz na ratunek—o! Boże miłosierny! już było zapóźno!

Dzicz ta, co przodem przed zgrają gnała, przypadła, jeden strzałę w pierś jej ugodził, drugi dziecko moje schwyciwszy za nogi, rozdarł je w sztuki. Inni na czeladź wpadli rzeząc i nikomu nie przepuszczając.

Stałem skamieniały — bom ruszyć się nie miał siły i nie wiem, jakim cudem łaski Bożej niepostrzegli mnie. Ocalały... dobiłem się do lasu sam o sobie nie wiedząc, tylko krew moją niewinną, przelaoną mając przed oczyma.

Jakiem się ratowałem — Bóg świadek, nie wiem, nierychło oprzytomniałem. Tak jak zwierz jaki bez myśli zbawienia życia szukałem, choć śmierć by mi miłszą była! Co mnie do lasu poniosło? jaka siła? Bogu tylko wszechmocnemu wiadomo. Za sobą slyszalem wycie i ziemi trzęsienie, świst i turkot, jakby sądny dzień nadszedł, jęki i płacz, bo tam całą wieś rzeźali już i palili. Gdym za siebie spojrzeł, już to czarne mrowie, wszystko na małych włochatych koniach, osmolone, z psiami pyski szerokimi zataczało tuż pod skraj lasu. Ledwie miał czas—nie pomnając co czynię—zwierzem się prawie stawszy—kroków kilkanaście uskoczyć w głąb. Jakem się na gęstą choinę dostał po gładkim pniju, prawie do wierzechołka—Boże mnie skarż, jeżeli dziś przypomnieć mogę. Od młodości nigdy na drzewa nie łaził, nawet dla własnych braci, a ze strachu i bólu, nogi i całe ciało drżały i dygotały... opatrzyłem się zaś dopiero, gdym na rosochatych dwu gałęziach się oparł. Już dalej leżeć nie było gdzie.

Tu dopiero mój popłoch i głupotę kłać począł, bom się wrzekomo zgubił tem drzewem. Lepiej było dalej biedz w puszcę... a tu już dobijała się ta dzicz, zajeżdżała pode drzewa, poczęła stawać i mieścić się.

Złazić nie było już czasu, bo by mnie łącno postrzegli. Polecivszy więc duszę Bogu, gdym u pasa wiszący nóż zobaczył — rzekłem sobie, że gdyby mnie go brać chcieli, to go sobie w pierś wrażeń, abym męczeństwa uniknął.

Psiarstwo to jednak zwijało się na skraju, mnie dotychczas nie widząc, tylko psy duże kosmate, na nogach wysokich, które zaraz za mną nadbiegły, poczęły tropem gonić. aż pod sosnę. Tu łby popodnosiły, pociągnęły nosami, łapami się pospinały i nuż ujadać. Bóg łaskaw, że nikt na to nie zważał. One też trochę tak naujadawszy za mną, nazad pędem zawróciły, żer gdzieś czując.

Jakom tu dzień cały przetrwał, żem patrzył i serce mi nie pękło, żem nie krzyknął, a nie padł z bólu, cud jest, jak to wszystko, co się ze mną stało, jednym cudem było. Poczęli się u lasu z wozami ustawiać, a były one, jakichem w życiu nie widział, na dwu kołach ogromnych, wysokich, ponakrywanych wojłokami, jakby namioty, ciągnione bawoły i końmi. W tych pół nagie baby gospodarzyły, wyglądały z nich śmiejąc się, wywijając rękami, gdy rzeź zobaczyły.

A tu zaczęli gnać a napędzać naszych. O! Jezu miłosierny! arkanami za szyję połapanych, niewiasty i dziewczęta ciągnąc, bijąc pletniami. Niektórzy żywym uszy i nosy nożami rzezali, drudzy głowy ucięte i krwawiące jeszcze na dzidy zatykali.

Tak mi Boże dopomóż, jakobym widział. gdy Salmonowej dziewce piersi poobrzynali i jedli je, a drugi do krwi płynącej przycisnąwszy usta, ssał, póki nieszczęśliwa żywą była. Spędzili z Dubinek naszych całe stado pod las, na koniach za niemi gnając. Dopieroż za włosy co młodszych wyrwać poczęli na stronę i pędzić, a który się opierał, bić i kaleczyć, potem, który kaleką był, dorzynać. W ostatku, gdy jeno starzy zostali, niewiasty i mężowie, padli na nich mieczami łby ścinając ze śmiechem na wyprzódki.

Uszy zasię wprzód im poobrzynawszy, które jeden jadący w kolo do wielkiego wora skórzanego zbierał.

Com cierpiał—Boże jedyny! na przemiany płacz mi się rwał z wnętrzości, jakbym krwią płakać miał, to szaleństwo napadalo, że się chciało rzucić i mścić jednemu przeciw tysiącom—bodaj paść! Oczy mi chwilami ślepy! Słuchałem głośno, a że mnie nie posłyszeli, nie wiem, jak się stało.

Prawda, że w owym tłumie, gwar był okrutny i z doliny, hen — huczało, jakby ciągłym, głuchym grzmotem: Czego się moje oczy napatrzyły tego dnia... żem nie oszalał!

Żeleziec umilkł trochę, łzy począł ocierać, drndzy stali posępni wstrzymując łkanie. Księża płakali wszyscy. Jazdon pięść zdrową ścisnął, tak, że mu długie paznogie w mięso się wbily i krew kapala na ramię Niusie — Pawlik zęby ściał, oczy mu się palily jako dwa węgle żarzyste.

— Com z sobą począć miał?—ciągnął dalej Żeleziec. — Powalilem się między gałęźmi oczy zasłoniwszy, ale eo wrzask się dał słyszeć, tom musiał jakby gwałtem powieki otwierać i patrzeć. Rozwierały mi się same. W końcu i one jakby skostniały, patrzałem jak trup niewidząc.

Zdawało mi się, nie mierzając, jakbym już nie był żyw, tylko śnił krwawo — i nie na świecie był, ale kędyś w otehlani za grzechy rzucony, szatanów mając przed sobą.

Ani bym przysiągł czy to ludzie byli, czy tylko podobne do ludzkiego lice pobrali—zwierzęty będąc, bo tam żadnej ludzkiej litości nie pokazał ni jeden. Na trupach się wylegali śmiejąc, a który nie dobity drgnął, biegh go chichocząc dorzynać i zacięć się nad konającym.

Na tem miejscu pod lasem, gdzie wszystek lud spędzili z wiosek okolicznych, aby z niego przebrać wyrostki, gdy poczęli starszych zabijać krew popłynęła strumieniami.

dnym postrzącał im z kadłubów głowy, a ścierwa wnet sprzątnięto.

Tchnął znówu Żeleziec, a jeden z duchownych wtrącił pytanie:

— Cóżście mówili, iż do ludzi mało podobni są?

— Bom takich mord jakom żywo nie widział— rzekł Żeleziec.—Wszyscy do siebie podobni, jako rodzeni. śniade, blade. na twarzy włosy mało albo i nie, policzki szerokie i wypukłe, oczy male głęboko wciśnięte, nosy płaskie a szerokie, twarze bydlęce i straszne. zęby gdyby u zwierza kły, ostre i białe. Nie olbrzymy to, choć na koniach się zdadzą duzi, bo nogi krótkie mają. przecie siła ich straszna. Widziałem jako naszymi ciskali tak. że się o ziemię rozbijali.

W głębokiem milczeniu słuchali wszyscy—szmer ustal. Żeleziec zakaszławszy się, już mówić nie mógł, gdy jeszcze go słuchano.

— A jakżeż się ztamtąd ocalił?—zapytał zwracając się ku niemu Sulisław.

— Jak, i po co? albo ja wiem? — jęknął Żeleziec. — Wszystko, co się ze mną tego dnia i nocy działo. stało się nieśmiadomo. Ani wiem, czym sobą władał, czy siła jaka obca. Ośchły mi oczy patrząc, w gębę i gardle ogniem piekło, głowa pękała. Tyłem przytomnym był, żem pacierz jeden zaczynał ciągle, dokończyć go nie mogąc.

Gdy mrok nadchodzić począł, nie wiedziałem czy się noc we mnie poczyna czy na świecie, czy rok siedziałem, czy dzień jeden, czym żywy, czym umarły. Wiatr jeszcze od ogniów ich dym precz mi pędził na las i oczy wygryzał. A kurzyło i od kotłów ich i z tych wozów, które u góry miały dymniki, przewijało się przedemną różnych. do siebie podobnych starszyny i szum mnóstwo. Niektóre ich wyrostki, okrutniejsze jeszcze od starych, pod wieczór szli jak na igraszkę do jeńców, aby ich kłuć, strzelać, dziewczęta za włos, wywlekać i pastwić się nad niemi.

Otroki te dusiły dla igraszki za szyję ujawszy

młodszych, na com wszystko patrzeć musiał, aż póki ciemności nie padły. Postawili nihy strażę jakieś, uczynili porządek i tuż kładli się na spoczynek. A jak surowe mięso gdyby wilcy żarli, tak i posłania im nie było trzeba. Mało który wojłok wziął pod się. Baby też ledwie płachtami pookrywane chodziły i jeździły.

Konia, który za grzywę lub łeb ułapił, to już na nim siedział. Widziałem też, gdy do kruków strzelali pod wieczór eo na trupy naciągnęły ze psy razem, że ich strzałami w powietrzu ubijali, nie chybując nigdy, a potem mięso ich jedli.

Żadnej tam modlitwy ani Bożego nic nie było, tylko u wozów, gdzie wojłoki wisiały u wnijscia, poczepiane były bałwanki jakieś, którym się baby kłaniały i palce do nich przykładaly.

Jednego, co krztę napoju jakiegoś na ziemię wylał, z wielkim krzykiem zaraz za to ścięto. Drugiego wrzeszcząc baby wygnały z żnamiotu, który się napitym zdał, a znać czemś splugawił swą chatę, bo go też zaraz za karę uśmiercili.

Gdy noe padła, a zimno się stało większe jeszcze, jużem czuł, że na drzewie nie wytrzymam dłużej, chyba padnę. Bestjalstwo to poczęło spać, opodał tylko niektórzy stróżowali. Wziąłem się spuszczać na dół po drzewie — więc o sęki i wystające suche gałęzie poraniwszy się i ciało do krwi podarłszy, więcej spadł niż zsunął się na ziemię lecąc. Myślałem, że od szelestu tego pobudzą się i wezmą mnie. Psy tylko zdala zaszczeakały, a niektórzy śpiący głosy popodnosili, z wozu jednego baba też się wytknęła, a jam leżał rozbity, ruszyć się nie mając siły.

Ucichło. Las przedemną był gęsty, noc ciemna, począłem się nierychło na nogi zbierać i na czworaku pełznąć, nim się zdołałem rozkurezyć, podnieść, a na ostatek, iść- albo wlec się. A że ciemności były wielkie, o drzewam się tłukł, na korzeniach padał. Nic mnie to nie bolało, ani rauny com je sobie poczynił z drzewa upadając. ani guzy od stłuczenia. Sze-

dłem, pełzałem, włokłem się nie wiedząc dokąd, pókim tylko słyszał za sobą gwar ich obozowiska. Wreście nie wiem kiedy i jak padłem pod kłodą pół martwy—i co się już ze mną działo—nie pamiętam.

Gdym do przytomności przyszedł, poczułem boleści wielkie i klócia. Całego mnie już mrówki czarne obsiadły. Chciałem wstać, ale siły nie miał, dopiero nierychło ostatek jej dobywszy ruszyłem się zgarstując z siebie to plugastwo całemi dłońmi, z twarzy, z szyi, z rąk, z ciała, bo wszędzie się już rozlały. Niemię się otarł i wyrwał, namęczyłem się nie mało.

Szczęściem, że obok woda była, choć jak lód zimna, w której obmywszy się, odzienie zrzuciwszy, potem wdziawszy je znowu, orzeźwiałem jakoś. Począłem się rozpatrywać po lesie, i nierychłom poznał gdzieś był. Na mroczysku Wąsoczem, z którem już drogę wiedział.

A na—gdzie iść? kędy była ta szarańcza? gdzie jej nie było? kędy uciekać?

Głód poczał mnie trapić straszny, którego nie było czem ukoić. Bóg łaskaw, że na grzyby jakieś natrafił, któremim życie podtrzymał, potem pączki młode gryząc. Same mnie nogi niosły ku Rządzinom.

Gdym z lasu wyszedł spojrzał na znaną okolicę, ręką zalał.

Wsi, gdzie stała, nie było śladu, kościoła jedna ściana okopcona sterczała, na polach wkoło żywego ducha. Nie zostawili po sobie nic, i no zgłiszczą. Stado krucze pokazywało kędy trupy leżały.

Dopiero nad wieczór w lesie innych zbiegów natrafił, co się nademną ulitowali. Z niemim w puszczy siedział, ażem od jednych do drugich w borach obozów włókąc się, tu dostał.

Gdy Żeleziec mówić przestał, na twarzach słuchających widać było politowanie—ale i niewiary trochę. Patrzeli nań niektórzy koso, chrząkali i milczeli, drudzy po sobie spoglądali. W tem Sulisław, brat wojewody, odezwał się do bliższych.

— To, co ja o nieb wiem, godzi się z tem, co powiada. Co się z nim działo, Bogu jednemu wiadomo, bo mn się i w głowie pomieszać mogło.

Ruszyli ramionami starsi. Żeleziec domyślał się może niewiary, bo się rłuc w piersi poczał mocno i przysięgać, że nie inaczej mówił, tylko tak, jak się rzecz działa, z dopustu Pożego, a że mu ludzie z pełną wiary dawać nie chcieli, nie dziwował się, gdy on sam nie pewien był tego, co oczy widziały.

Ścisnęło się kolo starszyczny, obradować ciszej zaczęto. Rady innej nie było nad tą jedną, aby do księcia Henryka Śląskiego kupić się, bo przy nim większa siła się zbierała. Po chrześcijańsku na śmierć iść, po rycersku ginać.

Jazdon, który słuchał narady, głowę na piersi zwiesił, pięść, którą trzymał zawartą, otworła się. Nogą, którą władał, kopnął Muchę i skinął, aby go nie niesiono do izby, bo Pawlika zobaczywszy i Wojusza, brew mu się namarszczyła i usta skrzywiły groźno.

X.

Razem z Jazdonem, którego niewolni wnieśli do izby, we drzwiach niskich opuszcivszy starca na rękach — wszedł też powołany Pawlik, a w ślad za nim Wojusz.

Stary mruknął coś niewyraźnie, leez ludzie do tej mowy nawykli, wiedzieli, że drzwi kazał za sobą zamykać. Pawlik pozostał trochę u proga.

Wojusz śmiało, chociaż posępny szedł za Jazdonem, groźno się oglądając ku chłopcowi.

Gdy stary legł na posłaniu, a Nincha i Mucha,

ocierając pot z czoł, pod próg wrócili wodę pić, odezwał się głos dziwaczny, a raczej belkotanie, które z ust na pół bezwładnych starca wychodziło.

Ci tylko, eo przyzwyczajeni byli go słuchać, mogli tę mowę niewyraźną, jakby z grobu wychodzącą, ponurą niby lkaniem poprzecinaną zrozumieć. Przypominała ona wycie jakiegoś zwierzęcia, gdy dogorywa, choć ludzką była. Połowa słów polknęta nie mogła się dobyć z tej piersi zeschłej i skostniałej.— Gdy starzec mówić chciał, a niemoc go ta okowywała, wpadał zwykle w złość wielką, rzucił połową ciała, okiem jedynem miotał groźno.

Wojusz stał przed nim.

— Gdzie teu niecnota był? gdzie? Jakes śmiał na jedną chwilę z oczów go spuścić? ty! ty!

— Winienem—rzekł krótko Wojusz—ale słuchaj, stary nie złość się. Ja tego twego żróbaka dłużej njeżdżać nie myślę i chleba twego nie chcę, łaski nie żądam, pójdę ztąd precz! Dosyć!

— O! o!—zagrzmiało z piersi Jazdona—o! ty!

Mów, gdzie był?

I pięść podniósł ku synowi. Ten stał ledwie nie wyzywająco patrząc ojeu w oczy.—Milczal.

— Pytasz gdzie? —przerwał, gniewem starego podrażniony Wojusz—a gdzież ta twoja krew szaleć miała, jeżeli nie tam, gdzie mogła ludzi i bydło dusić a znęcać się albo dziewczki dostać! Bo i to mu już pachnie! Spytaj go się, spytaj gdzie był, jak konia porwał, dwóch pachotków zmusił z sobą, psy wykradł i pojechał zagrodnikowi barany mordować, trzodę rozpędzać, a w końcu sobie na koń dziewczynę wzrostka wsadził, z którą już w las chciał biedz, gdy ja naskoczył.

Jazdon drgnął, ale złość, która miała zeń wybuchnąć, gdzieś w piersi w kłęb się zwiјаła i tylko chrapanie gluche a straszne słyszeć się dało.

— Do jamy z nim, na chleb i wodę, trzymać dopóki nie powiem! do jamy! Ażebym mi nad suchy

chleb uie miał nie! Wiur niech stanie na straży. — Jak stoi rzucić go do jamy! wnet! — wyjąkał stary.

Pawlik żywo podbiegl do ojca.

— Nie pójde do jamy! — krzykuał — nie! tego dość nie pójde!

Milczenie nastapilo straszne jakieś, a obry dwa stojąc u progu, dech w piersi wstrzymały ze trwogi.

— Nie pójde! — powtórzył Pawlik, nabierając coraz śmiałości. Jam już nie chłystek! was mi się sypie! W niewoli się trzymać nie dam, na Tatary pójde z innemi.

Jazdon ze spuszczoną głową słuchając, nie rzekł nic, Niusie tylko i Musie znak dał jakiś, wskazując syna. Zrozumieli, iż go wziąć mieli i wlec, ale ich trwoga, ogarnęła, gdy Pawlik na nich rzucił młodemi, pańskiemu swemu oczyma. parząc wejrzeniem jak nkropem.

Zawahali się. Stary powtórzył rozkaz nie słowem już żadnem, ale rykiem. Zadrżeli Niucha i Mucha, postąpili krok, w tem drzwi niezaparte otwarły się i w progu ukazał Sulisław Jaksa, brat wojewody.

Ujrzawszy go Jazdon namarszczył brew, czoło mu się ściągnęło, nie chciał mieć świadka sprawy domowej.

Za późno się opatrzył wszakże, bo Sulisław nim drzwi otworzył, rozmowę całą podsłuchał i zrozumiał. Pawlik ku niemu się zwrócił oczyma błagającemi, jakby go sobie chciał pozyskać.

— Ojcie miły — odczuwał się podebódzając Sulisław, którego rycerska, szlachetna postać mimowolnie wrażała uszanowanie — nie czas teraz krnąbrne karcić dzieci, gdy Bóg nas tak wszystkich smaga.

Nim Jazdon miał czas wyjąknąć odpowiedź, Pawlik go uprzedził.

— Chcę z wami iść! chcę iść! Dość mi doma gnić było! Weźmijcie mnie z sobą — na miłość Bożą! weźmijcie mnie z sobą.

I ten dziki przed chwilą chłopak do ręki Sulisława przyskoczywszy, — stał się ułemał pokoruyim.

— Dajcie mu iść ze mną, kiedy serec ma! — zawołał Sulisław.

Wojusz na bok ustąpił, nie mięszał się — czekał. Co się w starcu działo, Bóg jeden mógł wiedzieć, nie poruszał się, nie mówił, nawet jedyne oko przywarła powieka. Długo zdawał się nie dychać nawet, jakaś walka wewnętrzna nim miotala, i pół ciała mimowolnemi ruchy drgało tylko.

Sulisław smutnie a poważnie na stojącego przy sobie, proszącego o opiekę Pawlika — spoglądał.

Nagle ręka spuszczonej Jazdon podniosła się gwałtownie i opadła, wybuchnął z guiewem.

— Bierz go! bierz...

Pawlik piorunem do nóg mu się rzucił, ale Jazdon jedną nogą z łoża zwieszoną kopnął go tylko i nie patrząc nań, zwrócił się do Sulisława.

— Bierz go... tego łotra... ale na powrót!

Pawlik wstał z ziemi i cofnął się. Raz jeszcze spróbował się do ojca przybliżyć — odepchnął go Jazdon z jakąś rozpaczą.

— Ma być takim jakim był, niech liebo ginie poczestnie! — krzyknął... — Precz mi z oczów ty gadzie! precz!

Pawlik ku drzwiom się puścił i zniknął.

— E! e! — rzekł zwołna Sulisław — młode piwo! Kiedyż chcesz, aby w nas żywiej grała krew? Synowi przebaczyć..., nie o tem myśleć teraz.

Wojusz ciągle czekał na uboecu. Jazdon spojrział nań.

— Kiedy on idzie, toć i ja z nim! — zamruczał Półkoza. — Ja tobie tu na nie, dosyć masz bab i slug, a szalonego urwisza trzeba strzedz. Kto go za leb weźmie tam, kiedy nie ja? Na mnie się on ręki podnieść nie waży.

Gdy to posłyszał starzec, twarz mu się dziwnie zmieniła, spadł z niej wyraz surowy, rękę wyciągnął

drżącą ku Wojuszowi, który podszedłszy prędko, do piersi ją przycisnął.

Sulisław przysiadł na ławie.

— Jedź z nim! — odczuwał się przerywanym, niewyraźnym głosem Jazdon, — jedź z nim. Konie najlepsze bierz, zbroje najlepsze... Co jest, bierzeie. Dziesięć, piętnaście ludzi z wami, dobrze zbrojnych... ile znajdziesz!

Mówił coraz prędzej, Sulisław mu przerwał.

— A żwawo z wyborcem się zawijajcie, my tu leżąc i czekać nie mamy czasu! Dziś jeszcze ztąd ciągnąć potrzeba. Pod Lignicą na nas czekać nie będą. Przyjdzie paść to przynajmniej w kupie, ze swemi, nie gdzieś w kacie, schwytanym. Ks. Henryk i inni z nim ludzie wojenni, jeżeli się nie oprą — to już chyba nikt! ani Cesarstwo nawet.

Wojusz do drzwi się zawróciwszy, spieszył, lecz te się zaledwie otwarły, gdy inni ze starszyny w podwórzu stojący poczęli do izby się wdzierać z różnemi pytaniami i potrzeby. Od tatarskich zażgonów, co chwila nowe przybywały wieści, od Wrocławia i Lignicy nadchodziły gońce.

Wszyscy oni o tej strasznej śmierci najeźdców, którą na sta tysięcy liczono, bo całemi powiatami zalewano ziemie — opowiadali toż samo, że się jej nie oprzeć nie mogło, że szła jak ogień, rwała jak wody wiosenne, jak chmura pędziła, jak burza, która wszystko niszczy co spotyka.

Ci co szli przeciwko niej, pewni śmierci kroczyli z zimną krwią rycerską, jaka przychodzi w ostatniej godzinie, gdy już żadnego niema ratunku, a mężowi okazać trzeba, iż go postrach śmierci nie złamie.

Czasem wspomniawszy na swą cichą zagrodę, westchnął który i stłumił wnet nie męzki żal, a przeżegnał się opędzając słabości pokusę.

— Dopust Boży! — powtarzali.

Pawlik z izby wybiegłszy z zaiskrzonemi oczyma, wprost do swej komory spieszył. Drzwi ledwie

nie wybił, tak w nie się cisnął gwałtownie, na czeladź swą krzycząc. Jeszcze w progu stał, gdy mistrz Zula nadbiegł za nim przestraszony.

— E! Klecho! — wykrzyknął ujrawszy go Pawlik — bywaj mi zdrowy! Dosyć ty mnie nad księgami namordowałeś. Skończyło się panowanie twoje.

Ksiądz oniemiały stał i żegnał się.

— Co ci to? Pawlik?

— Co mi? Klecho! otom swobodny! Na konia siadam! Rozumiesz, na konia! i wylecę raz przecie z tej obrzydłej dziury na świat! Tak!

Czeladź nadbiegała. Wnet klechę porzucił, który stał osłupiały w progu, jeszcze się ruszyć niemożąc, tak był zdumiony tą mową.

— Konia siodłać! Zbroję dawać! słyszysz! Szmyga pójdzie podemie... Was dwu lajdaków ze mną a zbrojeie się po uszy!

Chwytał za miecz ze ściany, który zerwał niecierpliwie razem z kółkiem, na którym wisiał, tuż i za zbroję porywając, rozrzucając wszystko do koła siebie jak szalony.

Pijany był — pamięć postradał, nie wiedział co czynił.

Na tę chwilę nadbiegł Wojusz, do którego Zula się zwrócił, oczyma pytając go, co to wszystko znaczyć miało. Pawlik spojrzał nań z ukosa, podejrzliwie, bo Sowa zaczynał czeladzią rozporządzać i dawać rozkazy.

— Dziesięciu najmniej na koniu, z nami. Jontek, Brzyż, Duma, Kółek.

Pawlik zwrócił się dumnie.

— Co to, z nami? — spytał — nie z nami, tylko — ze mną!

— Nie z tobą tylko z nami! — zakrzyczał Wojusz. Tak! Jeszcze ty mi się z garści nie wyrwał nie! Pojedziesz ale ja cię poprowadzę.

Pawlikowi z rąk wypadł mieczyk, który trzymał, — O tak! tak! — burczał stary — nie zbędziesz się

muie łatwo. Trzeba będzie ginąć, poginiemy razem, a można będzie szaluna za uszy wyciągnąć z topieli, jeszcze się zda stary.

Pawlik się uśmiechnął, odeszła go nieco buta. Po chwili namysłu zaczął znów napędzać do pośpiechu.

W podwórcach już były wydane rozkazy do drogi, odzywało się z różnych stron trąbienie, ludzie zgromadzeni tu, skupiali się, nawoływali i zwolna na podzamecze wyjeżdżali.

Niektórych dokarmiano jeszcze z neculek, pojono z wiader, opóźniali się przy nich, inni nalewali w podróżne beczulki, chwyтали mięsiwo do torb, większa część z odrętwiałością jakąś szła bezmyślna, czując niechybną zgubę, nie dbając o nie.

Starszyzna jedna szła żegnać się ze starym Jazdonem, druga zmawiała się jak i kiedy ku Lignicy do księcia Henryka ciągnąć mieli.

Nie wszyscy przecie byli tak złej myśli, jak ci, co się o Tatarów już otarli. Wiedzano o wielkich siłach na Szlązku się gromadzących, i że im też czeskie posiłki w pomoc ciągnęły, krzyżacy (jak mówiono) całym zastępem z pod Prus, z Morawy książę i inni polsey Piastowicze.

Choćby mrowia pogańskiego najwięcej było, tym, co się jeszcze ludzię chciało, nie zdawało się podobnem, aby uemiecka broń i ład, tłumom dziłkim nie podołały; zwłaszcza, że owe Tatary, jak Żelcziec i inni opowiadali, zbroi żadnych osobliwych nie mieli, ale liche tylko skórzane, bawole pancerze z przodu, a miecze małe i kuszy żadnych, tylko łuki. Zdało się mężom okutym w żelazo, wojować umiejącym, iż tę cbałastrę, choć mnogą, znieść będą mogli i rozpędzić łatwo.

Tak sobie gwarząc serca dodawano. Inni słuchając milczeli i ramionami poruszali.

Pawlik rwał się, aby co najprędzej gotowym być, a tu mu z rąk w pośpiechu padało wszystko. Czeladź na pożegnanie rozbiegła się do dziewcząt,

konie ledwie odziewać zaczęto. Wojusz nawet stary głowę straciwszy latał i kłął, nie mogąc pozbiierać, co mu było potrzeba.

Pawlikowi tymczasem chłopey zbroję rzemyskami przymocowywali, ksiądz stał z zalamanemi rękami. Poczciwy klecha przywiązał się był do neznia swojego. Szalony chłopak choć do ksiąg ochoty wielkiej nie miał, gdy go do nich i do nauki przyparto, zdolności zdradzał tak wielkie, iż nieraz powolnego umysłu ks. Zulę w zdumienie wprowadzał.

Klecha powiadał czasem, że gdyby jeno Pawlik chciał, a łaska Boża nań zstąpiła, łatwo by mógł zostać wielkim kościoła świecznikiem.

Nie razy to mówił mistrz, Pawlik się za boki brał ze śmiechu i poświstywał, zaklinając się, że wolałby głowę stracić, niż się dać postrzydz i wdziać suknię kleszą.

— Jam się do tego nie zdał — wołał — a gdybym pastorał do rąk dostał, byłby w rękach moich kijem i dalby się we znaki grzbietom waszym.

Pamięć chłopak miał szaloną. tak, że raz przeczytawszy lub przesłuchawszy pieśń czy modlitwę, zaraz ją powtarzał bez omyłki, i już raz na zawsze umiał. Nanczył go był ks. Zula czytać dobrze, a i pisać podczas, gdy mu ochota przyszła potrafił tak jak najlepszy kaligraf lub skryba, wywijać okolo liter zygzaki i floresy, bo go to, gdy ze psami iść w las nie mógł — zabawiało. Miał zaś naturę tak rzeźką, że do góry brzuchem nigdy leżeć nie mógł i musiał zawsze coś robić, gzić się, prześmiewać, judzić drugich, biegać, psoty wyrządzać — byle spokojuym nie siedzieć.

Wyrывał się z rąk nauczycielowi, Wojusz go też utrzymać nie mógł, ludzie co mu służyli, choć który z nich miał łaskę, wszysey od niego eierpieć musieli, bo najmniejszego przeciwieństwa sw. j sa mowoli nie znosił

Gdy mu który odbaknął, gotów był nbić, a w unie-

sieniu namiętności nie zważał na nic. w ogień, w wodę, byle postawić na swoim.

Ojciec cicho czasem mruczał skarżącemu się Wojuszowi.

— Takim ci ja był!

Trzeba go było kochać albo nienawidzić, bo umiał zarówno łaskę sobie pozyskać gdy chciał, i wrogiem zrobić człeka, a -eo dziwna, większą mu pono radość sprawiało zalać komu sadła za skórę, do wściekłości doprowadzić, do szaleństwa rozlaskotać, niż się kochać kazać.

Natura była taka zjadliwa, co się cudzym bólem napawała z jakąś rozkoszą okrutną.

Ludzie jeszcze byli dzicy w tych czasach, przy najmniej ci, których religja nie czyniła namiętnie pobożnemi, wszystko przebierało miarę; wiara przechodziła w fanatyzm, męztwo, w okrucieństwo. pokora we Franciszkowe splaszczanie się i nędzę.— Dzieci rodziców takich jak Jazdon, dziedziczyły po nich krew wrzącą

Znal to najlepszej piastun Pawlika Wojusz, który od dzieciństwa przy nim będąc, nieraz słowy nie mogąc mu dać rady, pięści nań zażywać musiał. Przychodziło do walki z wyrostkiem, który jak zwierzę kąsał swego dozorcę. Naówczas Sowa silniejszy jeszcze, brał na ręce rozwścieklonego i spętanego kładł na pokutę, dopóki się nie wyburzył.

Rosło to niepoprawne, tak, że z oka go spuścić nie było można na chwilę. Wojusz widział to i wiedział, że żadne wyrwanie się na swobodę bezkrawne i bezkarne być nie może.

Wszystkie namiętności rozwinęły się w nim bujno i przedwcześnie. Zapamiętałe gnał na łowy, na dzikie, nieujędzone skakał konie, chłopców dających mu do posługi mordował, czeladź niewieścią ścigał po kątach bezwstydnie. Chłosta, głód, łajanie nie pomagały nic. Czasem już Wojusz z rozpaczą próbował łagodności, słów dobrych, ksiądz Zula czytał

przykłady, kazania prawil. Lecz, że klecha powolny i trwożliwy, a dziecko zuchwale, najczęściej się na tem kończyło, że mistrzowi gębę zamknął szyderstwem bezbożnem, które posłyszawszy truchlał.

Kajać mu się kazać próżno było: nie lękał się nieczego, siłę w sobie czuł niewycieżoną.

Wojusz myślał czasami, że gdy się to piwo wyrobi, rycerz z niego będzie dzielny, bo był łowicie namiętny, a we wszystkich igrzyskach wojacznych hardzo zręczny. Mimo to ducha prawdziwie rycerskiego nie miał. Przykrzyło mu się myśliwstwo, gdy długo trwało. gonitwy, gdy się przeciągnęły, nawet koń i psy, potrzebował ciągłych zmian, aby mu smakowało życie.

Jedno tylko tkwić mu się zdalo, jak gwóźdź w głowie i sercu—to chęć przewodzenia wszystkim i rozkazywania. On sam słuchać nie umiał, lecz wolę swą gotów był przemocą narzucać drugim. Na gródku, gdy się jeno ukazał, ludzie uciekali, starych i młodych natychmiast brał w garść, a rozkazywał im takie szaleństwa, jakie sam popełniał.

Naumyślnie wydumywał niemożliwe rzeczy, aby czeladź dręczyć niemi. Toż samo robił z innemi stworzeniami. Oparł mu się koń, to się z nim borykał, tłukł, bił, aż najczęściej i sam się pokalcezył i jego zamordował.

Pokaśał go pies podrażniony, to go za gardło chwycił i zdusił!

Bali się go we dworze jak ognia, a mało było takich, co by śladów igraszek nie nosili na sobie.

— Rycerzem ci nie być, chyba zbójem!—mrucał Wojusz.

Pawlik ramionami trząsł.

— Albo ja wiem czem będę?—odpowiadał śmiejąc się—będę takim co rozkazuje. Mnie jedno czy z konia, czy ze stołka, czy z pod ołtarza..., byłem nikogo nie słuchał, a za łby wodził drugich.

Wojusz kręcił głową.

Biskupi też rozkazują, jak i książęta — mówił szydząc zeń — łatwiej zostać biskupem niż księciem... Chce ci się widać plechy na głowie pierścienia, a co naówczas będzie z dziewczętami, na któreś tak łasy?

Pawlik pogardliwie się uśmiechał.

— Czem ja będę? — wołał do mnie, — ani ja wiem, ani twoja głupia głowa odgadnie. To pewno, że zginąć zginę, a słuchać nie myślę, bo mi karku nikt nie ugnie.

Takiego to wychowanka miał na krwawą wojnę prowadzić Wojusz, który się doń przywiązał i żał mu go było puszczać samego. Wiedział, iż ocalić go może i że zginie pewnie. Staremu już ochłap życia pozostały, nie wiele był wart, cenny doń nie przywiązywał. Śmierć lekcewżył i wybierał się obojętnie na tę wojnę, pewien, że z niej nie powróci.

Jazdon przemyślał dumając, ażali już syna zobaczy, ale trzymać go nie miał siły, ani on, ni Wojusz, nikt.

Miedzy ludźmi mógł się otrzeć i guza napytawszy złagodnieć. — Wola Boża.

Gdy Pawlik przywdziawszy zbroję, przypasawszy miecz, dumny swą rycerską postawą, która go jak dziecko bawiła, przyszedł do ojca żegnać się i do nóg mu padł, stary się rozrzewnił, milcząco go do pierśi wyschlej przycisnął, zapłakał i pobłogosławił.

— Statkuj, nie szalej! — zajęczał — Wojusza słuchaj, ja zdaję nań władzę ojca! Bóg z tobą, Bóg z wami.

Wskazał im ręką, aby odeszli prędzej bo mu tak we łzach rozmięknąć wstyd było.

Gdy za sobą zamknęli drzwi izby i wyszli siedzieć na konie, już było owo rycerstwo, z którym jechać mieli, wytoczyło się z gródka na pole i szło nie czekając dalej. Pawlik wiedział, że je łatwo dogoni, a tu jeszcze czeladź chciał żegnać, która mu się, choć pobita i potłuczona — kłaniała do ziemi, uwało nie szlochając.

Żal im go było.

Dalej stały u drugiego dworu białym pasem, ściśnięte w gromadę, stare i młode niewiasty, które wszystkie powybiegały patrzeć na wyjeżdżającego pana. Niektóre fartuszki łyż ocierały. Nie mógł wstrzymać się Pawlik i choć zgroza była wielka, a Wojusz mu drogę zapierał, wyrwał się z koniem wprost na ten zastęp babi.

Jadąc śmiał się i mrugał na nie bezwstydnie.

— Słuchaj ty! mała Dońka, żebyś mi wianka nie straciła, dopóki ja nie wrócę! — krzyczał na głos. — Kto ci go weźmie, łeb mu nkręcę, tak mi Boże dopomóż. Stara Rędzicha pilnuj mi jej jak oka w głowie, bo i tobie bicz plecy poskrobie.

Ty, Marusza! nie szalej też, a do parobków zębów nie szczerz... Jeszcze ja powrócę!

Niektóre się pochowały przed nim, inne śmiejąc się głowy podniosły. on do konia się przytuliwszy, rygotał też i znaki im dawał.

— A to srom i hańba! — krzyknął Wojusz — co by miał, psia wiara, jechać do kaplicy, żeby mu Zula choć pobłogosławił na drogę, idzie do dziewcząt, niezdara, po błogosławieństwo! A dam ja ci, ty...

Zamachnąwszy się z koniem za nim popędził Wojusz. aby go od bab odegnąć, ale Pawlik już umknął, i w drugi koniec dziedzińca poleciał. Tam w istocie stał kleryk Zula z kropidłem i książeczką, z modlitwą i łą w oku.

Strzymał przed nim konia chłopak.

— Słuchaj, Zula! co ty tu będziesz siedział sam jeden w tej dziurze? Albo ty to dwóch rąk nie masz? Nibyś ty klecha, ale nie święcony pono ze wszystkim. Na koń ci lepiej z nami sięść, niż ze starymi babami zostać, bo do młodych masz obrzydliwość! Jedź i ty ze mną! Coś ty, nie mężczyzna? a no? — jedź! Będziesz nam błogosławił po drodze i modlitwy czytał, abyśmy o Panu Bogu nie zapomnieli. Zula! na koń! z nami!

Blady klecha drgnął. Głos był nakazujący jak-
kiś. nie pozwalający, by mu się opierano.

— Zula, na koń—powtórzył Pawlik.

Wojusz obok stojący milczał z podziwienią. Widział, że powolny klecha już się wahał i nie le-
dwie go był gotów słuchać.

A Pawlik — śmiał się. Właśnie mu to robiło
rozkosz wielką, iż klechę gził i stawiał go w trudnem
położeniu.

— Zula, na koń! Czykor, podaj kleszc woło-
chatego, tego co lekko nosi. To dla niego sam koń!
Baba by na nim z garnkiem mleka jechać mogła,
a nogi żelazne.

Z Zulą stało się coś takiego, iż gotów był już
usłuchać rozkazania i zamiast w podróż błogosławić,
sam się w nią wybrać. Sowa ciągle ramiony ruszał
i spluwał,—na przekorę jemu chłopak nalegał.

— Zula, jedź! Przynajmniej z tobą dusz nie
pogubiemy, o Bogu nie zapomnim, a padniemy, bę-
dzie komu *Requiem* zaśpiewać.

Dwie sfory psów i klechę — dodał zuchwale —
muszę z sobą wziąć... to darmo... Nie pojedę bez
nich.

Wojusz buchnął łajaniem

Wtem stała się rzecz niepojęta, klecha jakby
rażony nagle myślą jakąś, zawołał, aby mu dano
oponęczę i poszedł do konia.

Rzekł stanowczo:

— Jadę!

Widząc to, pacholankowie śmiechem parsknęli.—
Wojusz się gniewał.—Zaczął burczeć.

— Jedną tylko głową więcej! Ciemniźtwo bę-
dział klecha się podpije i zostanie gdzie.

Lecz w mgnieniu oka Zula już był odziany,
agendkę do kieszeni kładł.

— Tak — rzekł—słuszna rzecz, Boga wam przy-
pominać będę, zdam się. Chleba nie odjem wiele.

Postawiwszy na swoim, Pawlik zdawał się

już o to nie wiele dbać. Odwrócił się od księdza, który z tyłu pozostał.

Konia ściągnął chłopak, po podwórcach butnem rzucił okiem, jakby je żegnał i nim się Wojusz opatrzył, w czwał puścił się za bramę. Za nim konie czeladzi, nawykłe go ścigać, wyrwały się jak szalone, nie było ich strzymać.

Wojusz i Zula musieli doganiać. Stary Półkoza kłął:

— Bodajś karku nakręcił!

Z tym szaleńcem nie można było inaczej.

Rycerstwo z Jaksą Sulisławem, już dobrze się od gródka odbiwszy, wjeżdżało w las i ogon tylko poehodu widać było w dolinie, gdy Pawlik z wrót wyskoczywszy, gonić począł jak szalony.

Po koniu i po nim znać było, że się z długiej niewoli na swobodę wyrwali. Zamiast jechać wprost na ludzi, Pawlik począł kręgami wywijać po dolinie na złość Wojuszowi, sadząc przez rowy i opłotki. Psy za nim, czeladź za niemi. Harce się niepotrzebne zawzięły, a Sowa piersi zrywał, wołając opamiętania.

Zula, którego koń nosił, trzymał go z sił całych nie mogąc powściągnąć, aż zdawszy się na wolę Bożą, dał szkapie szaleć jak chciała.

Nagle Pawlik zerwał swojego i stanął jak wmurowany, wyprostował się i jechał stępia.

Popłatawszy się chwilę, wszyscy zdyszani zaczęli się przy nim i za nim ustawiać. Wojusz dopadłszy, lajał i kłął w niebogłasy. Chłopak śmiał się.

Jechali tedy już po ludzku, naprzód krok za krokiem, aby się szkapy wysapały, potem klusem, by dogonić Sulisławowych, którzy się mieli czas oddalić.

W lesie przed niemi słyhać było nuconą przez wojsko pobożną, starą pieśń do Bogarodzicy.

Jeden bowiem Pawlik może jechał tak rozszalały, reszta wszystka smętna była i poważna. Wie-

dzieli, że życie niosą na ofiarę za wiarę, kościoły, rodziny i domy.

Każdy jechał na śmierć się sposobiąc. Obawiano się, aby z niewielkim oddziałem zdążając ku Lignicy, nimby się z księciem Henrykiem połączyli—nie wpadli gdzie na zagon tatarski, któremnby ze słabą garścią opierać się nawet nie mogli.

Trzeba więc było lasami się przedzierać, słać na zwiady przodem, aby bezpiecznie się prześliznąć. Rzadko gdzie dzicz tatarska, i to tylko popłoszona, zapuszczała się w gąszcze i lasy.

Nawykli do stepów najezdniczy, czuli się w polu bezpieczniejszemi.

Sulisław mądrze swoich prowadził. O Tatarach też wieści łatwo było dostać. Szli, prawda, i spadali na nieopatrzone ziemie, kędy się ich nie spodziewano, lecz poprzedzały ich łuny i dymy, a małemi oddziałami nie wyrwali się naprzód.

W lasach też wszędzie spotkać było można tych, co pospieszyli uchronić się przed nawałą. Zbieg był najpewniejszym znakiem zbliżania się dziczy. Spustoszenie, które ona niosła z sobą, rozciągało się na mil kilkanaście w koło, lecz pascem szło, szerokim szlakiem, jedną wielką ławą — a co zbieżało w czas, ocalało z żywotem.

Dla tego po owych najazdach tatarskich, morderczych i strasznych klęski były niezmierne, straty niepowetowane, ale się kraj prędko odżywiał, bo więcej zawsze uratowało się zbiegając, niż padło.

Gdy z małą swą drużyną Pawlik nareszcie się z oddziałem Sulisława połączył, trafił w nim zaraz, na niemal tak młodego jak sam był rycerza, do którego — śmiałym będąc zawsze — natychmiast się zbliżył, podjechał i zagadnął go poufale jako brata po mieczu.

Był to mężny, sławny już z niejednego rozgłośnego czynu Janisław, młodzian urodziwy, pięknej postawy, w którym widać było rycerskie męstwo,

ale razem statek i powagę, nad wiek może. Nadrabiał miną, aby się starszym wydawał.

Pawlik mu dość w oko wpadł, domyślił się w nim kto był. bo już po wojsku rozpowiadano, że syn Jazdona miał się do nich przyłączyć. I, jak zawsze, dwie natury sprzeczne ku sobie ciągną, Janisław ten, co z karności słynął, upodobał sobie warchołę.

Pawlikowi też nikt miłszym być nie mógł nad takiego jednolatka, z którym mógł być jakby z bratem.

Poczęli rozmowę, naprzód o koniach, bo Tata-rów w głowie nie miał syn Jazdona, a był im bardzo wdzięczny, że mu do wyzwolenia z domu w pomoc przyszli.

Miał i ten przymiot Pawlik szalony, że gdy o myślistwie albo o koniach rozpowiadał, niestworzone rzeczy lubił wymyślać. Śmiał się z tego sam, bawiło go, gdy ludzie się zdumiewali i sarkali. Poważny Janisław dał mu się tem rozrywać.

A że reszta oddziału srodze była posępna, Pawlik zaś pustował i śmiał się, wszyscy się za niemi oglądali, radzi temu, że im jeszcze ktoś trochę wesela przyniósł do ich czarnego smutku.

Radzi mu byli jakoś, że on jeden serca nie stracił, co drugim go dodawało.

Niemal do nocy, jadąc przy nim, gdy mu się gęba nie zamykała, Janisław więcej słuchał niż mówił. Aż gdy już ku spoczynkowi noclegowemu się zbliżali i zaczęto obozowisko wytykać, z którego przed świtem ruszać mieli dalej, nowy towarzysz rzekł do swobodnie poczynającego sobie Pawlika.

— Patrzajcie no, abyście gdy na spoczynek zatrąbia, nie szaleli, bo z naszym panem Sulisławem igrać nie zdrowo... Słuchać potrzeba i patrzeć skinienia.

Pogroził mu nieco.

-- Słuchać? — powtórzył oniemiały na chwilę Pawlik, patrząc mu w oczy ciekawie.—Słuchać! No! ciury juściż powinni tchu słuchać, ale my??

Janisław uśmiechnął się doń łagodnie.

— My tu wszyscy ciurami— rzekł—gdy władza przy jednym. Ktoby się ważył na co przeciw woli wodza, łeb mu zetną jak nie.

Pawlik brał to na żarty, poruszył ramiony... i, stanęli na nocleg w lesie obozem.

IV.

Klasztor w Krośnie ledwie mógł pomieścić gości, którzy doń, szukając schronienia, zbiegli z Trzebnicy.

Księżna Jadwiga, po Henryku Brodatym wdowa, pobożna pani, której życie upływało w najsroźszej katowni własnego ciała a posługach najpokorniejszych siestrom zakonnym i ubogim, pani, która już na pół duchem była w niebieszczach, a po ziemi szła zdając się jej nie czuć i nie tykać, przybyła do warowniejszego Krośna, ciągnąc za sobą kilkadziesiąt sióstr Cysterck, swój dwór cały i tych trzynastu ubogich, na których nędzy i chorobach uczyła się bezmiernego miłosierdzia.

Uchodziła ze swej Trzebnicy, z pięknego klasztoru, od swego drogiego kościoła i szpitala, z tych miejsc, które na jej skinienie wśród trzęsawisk i moczarów jakby cudem murami się okryły — nie dla własnego bezpieczeństwa, bo męczeństwo dla niej upragnionem było, ale dla tych sióstr swych, co z trwogi marły w Trzebnicy, modlić się nawet nie mogąc i Boga chwalić.

Napróżno tę ich lekliwość karcąc surowo, księżna Jadwiga przypomniła im, że bez woli Bożej włos nie spada z głowy człowieka, a przed wyrokiem Bożym żadna warownia nie obroni, lekkiego ducha

siostry błagały ją tak, że w końcu litując się im księżna wszystkim, co Trzebnicę zaludniałi, ruszyć kazala do Krośna.

Tu świeżo wzniesiony klasztor dla klarysek, przyjąć ich musiał i dać schronienie mężnej pani z jej trwożliwemi towarzyszkami.

Jej jednej w najstraszniejszych życia próbach nigdy spokój nie opuścił, na który patrząc truchleli ludzie, tak do nieczułości i odrętwienia był podobnym.

Nigdy łza niepostała na jej licu, chyba, gdy rozgorzala na samotnej modlitwie, nigdy jęk się z jej piersi nie dobył.

Tego czasu księżna Jadwiga była już chodzącym posagiem świętej.

Wychudła, wybladła. woskowo-żółta niewiasta, w jednej zawsze sukni welnianej, na włosiennicę narzuconej. bosonoga zimą i w lecie, z poranionemi stopy—jak cień jakiś dzień i noc snująca się po korytarzach, po kościele, po barlogach najwstrętniejszego ubóstwa, którego plugawe rany całowała z rozkoszą—żyła już tylko jakimś cudownym nadziemskim żywotem.

Nie miała nigdy spoczynku, nie znala łoża, nie siadala do stołu, żyć się zdawala nieczem, krwią własną, siłą woli. Nocą znajdowano ją w kościele na extatycznej modlitwie, dniem albo wymiatającą śmiecie klasztorne, lub całującą ślady sióstr i pijącą wodę, w której się myły.

Pokora jakaś okrutna nad sobą, nadawala jej majestat dziwny.

W twarzy tej zastygłej, martwej, nieporuszającej się nieczem. oczy zaiskrzzone, śmiało patrzyły tak, jakby człowieka aż do wnętrza duszy jego na wskroś przejrzeć mogły.

I miała tę moc. że go widziala w istocie. Nie jeden raz przychodzącą zakonnicę, gdy oczyma zmierzyla, dobyła z niej, o czem Bóg jeden mógł wiedzieć.

— Idź stąd — mówiła do strwożonej—idź i spo-



wiadaj się z tego ciężkiego grzechu, którym obrzmienia tu przychodzisz.

Zawstydzona grzesznica uciekała zasłaniając oczy, rażona tem jasnowidzeniem cudownem.

Gdy Henryk Brodaty, mąż jej, z którym już oddawna nie żyła, nawiedzał ją w Trzebnicy, a zapytywał o śmierć swoją, westchnąwszy radziła mu, ażeby nie wyjeżdżał z Lignicy.

Pomimo przestrogi udał się książę Henryk do Krośna i tam nań śmierć przypadła.

Nim jej o zgonie jego wiedzieć dano, wiedziała już o nim, ale gdy klasztor rozległ się płaczem i żalem po dobroczyńcy swym, poczęła karcić siostry surowo.

Sama nie wylała łzy jednej.

— Należy się zgodzić z wolą Bożą, a nie szemrać przeciw niej i wyrzekać—mówiła spokojnie.

Widok zwłok męża nie zmienił tej żelaznej bezlitości pobożnej a strasznej, bo ona w niej ludzkie wysuszyła serce.

Patrzano z trwogą na tę istotę błogosławioną, której śmierć sama zatrwożyć, ani poruszyć nie mogła.

Z tego wyrzeczenia się wszelkiego uczucia ludzkiego, nic ją wyrwać nie zdołało; nie była już żywą niewiastą, ale cieniem z drugiego świata, wygnanym na ziemię.

Miała litość w sercu, ale tylko nad temi malczkami a nędzunami, którzy swą nędzą spadli już na ostatni szczebel, dzielący zwierzę od człowieka.

Trzynastu takich nędzarzy, pokrytych rany obrzydliwemi, krostawych, brudnych, ropiejących, połamanych, miała przy sobie zawsze na wyprobowanie chrześcijańskiego miłosierdzia. Tych ona sama wybierała sobie najpoczwarniejszych, najwstrętniejszych, najdzikszych, wpół oszalałych, aby od nich i przez nich jak najwięcej cierpieć mogła.

Tych trzynastu kaleków obchodziło się z nią bezlitośnie, wiedząc, że im wszystko wolno było.

Ludzie ci, albo raczej potwory, znęcały się nad świętą niewiastą, która od nich z rozkoszą znosiła wszystko. Im więcej ją dręczyli tem szczęśliwszą była.

Wszystka ta gawiedź potworna, na wozach, jak najdroższy skarb księżnej, do Krośna za nią przewiezioną została.

Tuż u drzwi klasztornych musiała mieć tę wrzawliwą gromadę dobrocią jej rozzuchwalonych bab i dziadów. Dla nich szło najlepsze jadlo, okrycie najdroższe, napój najczystszy, gdy ona sama żyła się tem tylko, co wstręt obudzać mogło.

Oprócz tego osobliwego dworu, wiodła z sobą księżna Jadwiga synowcę, nieszczęśliwą a zboliałą niewiastę, żonę Henryka Pobożnego, matkę kilkorga dzieci, której mąż właśnie się przygotowywał w Lignicy na odparcie dziecizny tatarskiej.

A gdy Anna zalewała się łzami o mężu myśląc, kamienna święta matka, zawczasu już widziała, że syn jej polegnie śmiercią męczeńską i synowej nie czyniąc żadnej nadziei — powiadała jej:

— Zabiją go! zabiją! Ty stracisz męża, ja syna, ale umrze święcie za wiarę chrześcijańską w walce z pogany i odkupi krwią grzechy swoje.

Bezlitośnie, okrutnie, nie szczędząc synowej ni siebie, powtarzała te słowa nieczowe, wprost je miotając do jej serca.

— Tak jest, Auno, padnie mąż twój, padnie syn mój, a nam się go oplakiwać nie będzie godziło. Łza grzechem by była.

Taką była Jadwiga, wyschła od postów, z poraunieniami od mrozów i chodzenia po kamieniach nogami, z ciałem, od chłost codziennych popadanem — ubłogosławiona za życia, lecz nie już ludzkiego nie mająca w sobie.

Czczono ją też jak świętą, lecz na widok jej nie miłością a trwogą napelniały się dusze.

Dorównać jej nie mógł nikt, wstydzić się musiał każdy—spojrzenie napelniało strachem.

Był dzień wczesnej wiosny, zimny i wietrzny. Księżna, która i tej nocy do snu się nie kładła, spędziwszy ją na modlitwie w kościele, gdy rano wyszła ku dworowi swemu, rzekła, obracając się do kapelana swego Lutolda i komorników.

— Patrzajecie, aby na stół była strawa gotowa, bo tylko nie widać Henryka, który tu nadbieży z Lignicy.

Przytomna synowa, księżna Anna, stojąca za nią, zbliżyła się w rękę ją całując.

— Matko kochana—zawołała żywo i rumieniec na twarz jej zbladła i zmęczoną wystąpił — matko! mieliście więc posłanie od Henryka?

Księżna Jadwiga potrząsa głową.

— Posłaniec niebios powiedział mi na modlitwie, iż go tu dziś widzieć będziemy! Tak. przybędzie tu raz jeszcze po błogosławieństwo moje, na pożegnanie z tobą... raz ostatni.

Spojrząwszy na synową, zachodzącą się od płaczu, zamilkła ks. Jadwiga, ale twarz jej smutna zawsze, przybrała wyraz smrowy.

— Nie płacz że—dodała sucho — nie godzi się przeciwieć woli Boga, ani żałować tych, co idą ku niemu do wiekuistej światłości.

Księżna Anna, nie śmiejąc odpowiedzieć, słuchiła łzy swoje.

Przepowiednia przybycia radośna waleczyła w niej ze straszną wieszczbą śmierci, w której nieochybuść wierzyć się nanczyła.

Niepornszona temi łzami, które lkanie zdradzało, księżna Jadwiga poszła wedle zwyczaju do ubogich. Izby n furty dla nich wyznaczone, niskie, ogrzane i okadzone — peluc były dzikiego, niesforne-go gwaru. Wybrańców tych księżnej żadna siła pokonać nie mogła, czuli, że tu panami byli.

Izba przedstawiała obraz wstrętliwy i ohydny

Na posłaniu ze słomy do koła leżeli ludzie z nieczłowieczymi twarzami, ranami okryci szpetnemi, z naroślami, które ich twarzom i głowom nadawały potworne, niebywale kształty.

Zaraz u drzwi leżący. kijem wywijając klócił się wszerecznemi słowy ezlek z okiem wysadzonym z powiek, ogromnem, sinem, sterczącem jak szyszka.

Był to najzuchwalszy z nich—krzyk jego, a raczej wycie namiętne. rozlegało się po izbie. Dalej na przemiany, w łachmanaach brudnych i kosztownych plachtach, przez księżnę darowanych, które się wśród śmiecia z niemi tarzały — leżeli garbaci, chromi, okryci trądem ślizzącym, ranami ciekącymi, ulubieńcy księżnej.

Wszystko to rwało chciwie z mis stojących między niemi, pilo z kufłów drewnianych i rozzuchwalone, waśniło się, wyrazy plugawemi i sprośnemi w oczy sobie rzucając.

W chwili, gdy się otwarły drzwi, a księżna stanęła w nich z dwiema towarzyszkami. ulubioną Rasławą i Pianozą—syknał jeden z ubogich. i nagle nastąpiło milczenie. Nie trwało ono długo, wrzawa nastąpiła straszniejsza jeszcze.

Blizsi drzwi, wyciągając ręce, poczęli za szaty chwytać wchodzącą, która się ku nim z kolei dobrotliwie pochyliła—drudzy przywoływali ją ku sobie. Nie unikając zetknięcia z niemi, szukając go, księżna szła zwolna, lubując się widokiem tego cielesnego plugastwa, które dla niej wszystką światą marność i brzydotę uosabiało.

Tu na tej męczarni oczów i oddechu, wśród tych wyziewów choroby i zgnilizny było jej najlepiej, tu uczyła się pogardzać skorupą życia, tu nie spotykała ani zwodniczego wdzięku, ani mrocznej młodości, ani tego co światu kusi ponętą. Tu się jej usta nieco uśmiechnąć umiały, nawet niezdarnym wyrazom tych istot potwornych, które uszanować jej nie nauczyły się.

Dwie towarzyszki księżnej szły za nią strwożone, ale posłuszne, na licach ich widać było obrzydzenie, wstręt od tej rozpasanej zgrai.

Drgały i bladły, a gdy spowiednik księżnej, opat Gunther, otworzył drzwi, wołając iż książę Henryk przybywa — odetchnęły lżej, bo księżna iść musiała na powitanie syna, które dla niej ostatniem było żegnaniem. Żywym oglądać go miała, a widzieć martwym w duszy.

Orszak księżęcy nadciągał właśnie. Był on nie wielki a świetny. Nie ustępował blaskiem ani okazałością żadnemu z najwspanialszych niemieckich książąt, a cudzoziemski miał pozór i był w istocie prawie z samych obcych złożony.

Rycerstwo już na śmierć przeznaczone, jakby po raz ostatni wystąpić chciało pańsko, świeciło całe zbrojami polerowanemi, helmy pozłocistemi, przepaskami jedwabnemi, pasami sadzonemi i łańcuchy. Sam książę Henryk miał na sobie płaszcz fioletowy sobolami podbity, zbroję misternie rysowaną, a na głowie szyszak zamknięty, którego wierzchołek zdobił czarny orzeł rozpięty.

Mężka to była postać i ojca przypominająca, z twarzą ogorzałą wyrazu dumnego, z wżgardą jakąś na ustach, z wielką siłą we wzroku.

Za nim jechali dobrani doń, dorodni, butni towarzysze broni, przednich rodów niemieckich i ślązkich mężowie, wszyscy niemal tego co i książę wieku, lat dojrzałych, ale jeszcze trzymający się dzielnie i młodzińczo.

Na widok matki, jak najuboższa zakonnica odzianej, bo Jadwiga tylko w razach, gdy obcych przyjmowała, lepszy płaszcz ciemny na ramiona sobie narzucać kazala; — Henryk wzruszony z głową spuszczoną pośpieszył ku niej. Za nią stała z zapłakanemi krwawo oczyma ks. Anna, żona jego, której się uśmiechnął smutnie.

Śklonił się do kolan matce, która rękę położyła

na głowie jego i razem z nią weszli wewnątrz klasztoru.

Rycerstwo księcia pobożnego, choć samo też pobożnem było, a o płochości teraz myśleć nie miało czasu—przecież do młodszych zakonnic, które z za furty ciekawie wyglądały, uśmiechać się zaczęło.

Takie to były — czasy. Z jednej strony surowość bezlitośna, z drugiej namiętności ludzkie niezem się poskromić nie dające, wyrrywające z żelaznych oków, jakie na nie wkładano. Nie za jedną też nowicyuszkę tej najsroższej reguły ręczyć by trudno, by się zapłoniona rycerzowi nie uśmiechnęła nawzajem. Tem gorętszą była potem modlitwa.

Księżna za sobą wiodąc w milczeniu syna, który żonę trzymał za rękę i po cichu szeptał coś do niej, weszła do małej komnaty, w której obcych zwykła była przyjmować. Nie była to ta cela, w której się biczowała i nocę trawiła czasem na twardem z desek posłaniu, gdy znużenie już jej się na nogach utrzymać nie dawało.

Tu jeszcze księżnę poznać w niej było można po bogatym sprzęcie, gdy w celi swej jako zakonnica uboga mieszkała. Tam wisiały tylko krzyże, obrazki patronek, Maryi Magdaleny, Katarzyny, Tekli, Urszuli—i lampki gorejące przed niemi.

Jak zwykle księżna Jadwiga nigdy nie wypuszczająca z ręki małego z kości słonowej wyobrażenia Matki Boskiej, które z sobą ciągle nosiła — zbliżyła je naprzód do ust bladych i pocałowała, nim do syna mówić zaczęła.

W tej praktyce pobożnej czerpała jakąś siłę. Wychudle jej palce, kości skórą powleczone z namiętnością obejmowały, ścisnęły ten wizerunek Matki boleści. Ona sama była nią też w tej chwili, ale ból okrywała chłodem, tak, że oko ludzkie dostrzedz go nie mogło.

Rozmowa toczyła się, jak zawsze, po niemiecku.
— Przybyłem po błogosławieństwo wasze west-

ehnął książę Henryk.—Dzicz z pod Wrocławia, którego dobyć nie mogła, ciągnie na nas na Lignię—czekamy na nią. Na Dobrem Polu rozstrzygną się losy nasze, a może — dodał książę — i całego chrześcijańskiego świata, a pewnie tej całej ziemi naszej stojącej otworem.

Księżna słuchała całując wizerunek Matki Bożej i nie przerywając synowi, oczy jej patrzyły gdzieś daleko, zdawała się go nie widzieć.

— Pięć silnych oddziałów—ciągnął dalej syn—postawimy przeciwko nim, mąż w męża dobrani ludzie... każdy z nas przeciw temu gadowi, jeden na dziesięciu ustoi.

— A ich jest stu na jednego z was—zawołała księżna Jadwiga.—Widzą ich oczy moje, widzą! Jest ich mnogość wielka, nieprzeliczona, tak, że gdybyście zgnetli jej połowę, starczy drugiej, by was pochlonoła. Plaga to niebieska... karanie Boże za grzechy... Umrzeć musicie za wiarę waszą, aby krew zmyła winy.

Księżna Anna słuchając matki, zanosić się z płaczem zaczęła — surowe wejście jej zmusiło łzy potknąć.

— Nie zwyeiężycie ich! nie! — mówiła powolnie.—A jakżebyście mogli, Henryku mój, tam pobić nieprzyjaciela, na tem Polu Niedobrem, gdzie — w piersi się uderz—ty, z własnym niegdyś walczyłeś bratem?

Tak było w istocie, na polu pod Lignią w krwawej walce potykali się zwaśnieni Henryk z Bolesławem, rodzonym swym. Usłyszawszy to wspomnienie, drgnął książę.

— Nie mogłem uczynić inaczej—zawołał—wyzywany był!

— Lecz walczyłeś z bratem i nie o sprawiedliwość, ale o panowanie narne, o ziemię tę lichą, której na grób tak mało potrzeba, a dumie waszej zaw sze jej nie staje do syta. Więc dziś, gdy o życie

swe i za sprawę świętą, bić się będziecie poginieć! bo taki jest—sąd Boży!

— O, matko moja! — jęknął Henryk, którego głos powtórzył się w piersi żony.

— Wyrok to nie mój, a Boży! — chłodno odparła Jadwiga całując pobożnie wizerunek — ja go tylko wam zwiastuję, abyś ty i rycerstwo twe wiedziało, że na śmierć idziecie, żebyście się pojednali z Bogiem, wzięli błogosławieństwo kapłana, tak jak ja wam moje daję.

To mówiąc, ręką, w której trzymała posążek, krzyż zakresliła nad schyloną głową i usta jej cichą jakąś poczęły szeptać modlitwę, którą łkanie tylko księżnej Anny, spartej na ramieniu męża i płaczącej — przerywało.

Henryk stał z twarzą smutną, ale męczką. Przepowiednia ta może godziła się z przecznięciem jego, chociaż po cichu starał się uspakajać żonę.

Przypomnienie tej krwawej rozprawy z bratem pod Lignicą, serce mu boleśnie ścisnęło.

— Mamy — odezwał się, chcąc rozmowę odwrócić — mamy rycerzy niemieckiego zakonu z sobą i polski oddział nadciągnął niepośledni. Morawianie też przyjdą i Czesi. Wszystek lud dorodny i mężny.

Księżna Jadwiga potrząsnęła głową.

— Stę na jednego i więcej ich będzie — rzekła — nie zmożecie! Stoi w piśmie, iż przyjdzie lud ze wschodu, który chrześcijaństwo wytrzebi, aby ono zakwitło może bujniej na pognoju ludzkich ciał i grzechów.

Wartli ten świat i ten wiek, aby nad niemi miał Bóg miłosierdzie? — dodała wzdychając ciężko. — W grzechach brodziemy, brniemy w nich. Usty wyznajemy Chrystusa, a sercami ciało miłujem, pruchno i zgniliznę! kto z nas godzien miłosierdzia?

— Ty, matko kochana! — zawołał książę Henryk przejęty — ty! I gdyby Bóg, jak stoi w piśmie, dla

jednego sprawiedliwego gród był gotów ocalić, czyż dla cnót twych nie powinienby nas uratować?

Z groźnym krzykiem oburzenia przerwała mu matka.

— Nie bluźnij! Azali wiesz, ile ja grzechu na daszy mej niosę? ile słabości — ile plam, których pokuta zmyć nie może?

I pocałowała obrazek gorąco.

— Inne są sądy Boże, a sądy ludzkie, bo On na serca patrzy, nie na twarze.

Książe Henryk spuścił głowę smutnie. Milezała, modląc się księżna stara.

— Ciało posilić trzeba — odezwiała się po prestantku, słysząc dzwonek, który się odzywał zdaleka. — Tam dla was już stoi przygotowane jadło. Idźcie więc, a ja do kościoła muszę.

Zawróciła się prędko ku celce swej, księżna Anna ujęła męża pod rękę i wywiodła go z sobą do izby jadalnej, która po za klasztorem żeńskim dla gości była przeznaczoną. Tu towarzystwo księcia Henryka znajdowało się czekając nań.

Osobny stół zastawiony był dla książąt na podwyższeniu. Siadła przy nim księżna Anna posługując mężowi, który mimo smutku i złych wróżb. znudzony drogą, chciwie począł głód zaspokajać.

Inni też przy stołach zasiadłszy chwytali już z mis i drewnianych naszyń mięsiwo.

Uczta była więcej klasztorna niż książęca, a życie wówczas nawet po dworach pańskich dostatnie bardziej niż wykwintne. W dzień powszedni mięsiwo, polewka, kasza, składały całą zastawę, w post ryby i mączne potrawy. Piwo stało przed panami, wino przed księciem, woda obficie.

Całe prawie towarzystwo, gdy głośniejsze odzywać się zaczęło, okazało, iż wcale nie straciło ducha. Była chwila zwątpienia, gdy Ślężacy sadzili się osamotnieni, teraz przy nadciągających posiłkach nabrali otuchy.

— Hej!—odezwał się Henno z Rohrsteinu—nie dziw, że to chłopstwo pogańskie Ruś pokonało, bo tam nigdy dobrego oręcza i sprawy wojennej nie było. U nas w Niemczech inaczej jest. Pogańska wojna wszędzie jedna, dosyć popatrzeć, jak krzyżacy prusów motłochy rozpędzają i Litwę gonią a mordują kupami. Ta hołota zbroi nawet nie ma.

Kilku ich zabitych nasi ludzie pod Wrocławiem widzieli — rzekł drugi. — To bydło i nie rosło nawet, chuderlawe, mizerne, tylko zuchwale na śmierć idzie. Z przodu ledwie cokolwiek okryci są, a polspolity lud ledwie w łachmanach, na pół goły.

— Zbroje nasze pewnie coś warte—odparł zdala zasłyszawszy zaspłony książę Henryk—ale liczba też znaczy! Liczba nie jest bez wagi. Nie zmożą nas. Jeden przeciw drugiemu stojąc, ale zasypią i zduszą...

— O! o! Bóg przecie z nami!—ozwał się jakiś głos z eicha.

— A grzechy nasze przeciwko nam—wtrącił duchowny, który siedział w końcu stoła.—Gdyby nie one, bylibyśmy zwycięzcami w Palestynie i odzyskalibyśmy grób Pański a ziemię Świętą, przecież i tam Pan Bóg nie chciał błogosławić orężowi naszemu dla grzechów i przestępstw naszych. Saraceni przez wyganiają Franków, z tych miejsc, które już zajęli.

— Cesarz by nam przyszedł pewnie w pomoc—rzekł książę Henryk, bo niebezpieczeństwo i jemu grozi, gdy nas zmożą, ale ten jest we Włoszech zajęty.

— I Krzyżacy niepewni — szepnął jeden z rycerzy.—Obieenją się oni przybyć do nas, ale wątpię czy staną w słowie, bo im ze Światopełkiem na Pomorzu wojna grozi, a poganie, których tylko siłą ponawracali, bardzo się burzą.

— Nie odbierajcież sobie serca! — odezwał się książę.—Wola Boża! Stanie się co on postanowi my nasz obowiązek spełniemy.

Rozmowa ciągnęła się tak niebardzo ochoczo

przy stole, bo choć ją kto na weselszy ton nastroił, wnet drugi posępniejszą nutą chmurzył czoła.

Już poczyniała czeladź misy nprzątać, gdy pacholę księcia Henryka wpadło wołając od progu:

— Do Miłości Waszej, goniec przybył z Lignicy!

Drgnął książę, wszyscy przytomni ku drzwiom się zwrócili, niektórzy z ław wstawali, ciekawi i niespokojni, bo się dobrego poselstwa spodziewać nie mogli.

W całej sali poruszyło się wszystko. Księżna Anna ręce w górę podniosła i zakryła niemi oczy. Książę Henryk posunął się ku drzwiom, pomyślał trochę i gońca przywołać kazał.

Ten stał niedaleko za progiem cały zbłocony, słaniając się od zmęczenia, oparty o ścianę. Nie potrzebował mówić, bo z twarzy jego czytać mógł każdy, że był posłańcem Hiobowym.

— Książę Mieszko wysłał mnie tu — rzekł osłabłym głosem. — Tatarzy już ciągną, ledwie czas W. Miłości powrócić do Lignicy!

Zagony już codzień się bliżej ukazują. Wstrzymało ich to tylko, że gwałtem grodu we Wrocławiu chcą dostać. Wszyscy błagają, abyś W. Miłość powracał, bo bez Was w pole nie wyjdą.

Książę usłyszawszy to, z krwią zimną i energją wielką zawołał natychmiast:

— Na koń! na koń wszyscy!

Zła wieść zdawała mu się dodawać męztwa.

Mówiąc to, spostrzegł, iż żona o stół się oparła, ażeby nie paść, podtrzymał ją słowem i ręką.

— Na koń! — powtórzył raz jeszcze — i wypadł z jadalni.

Rycerstwo sypnęło się z wrzawą i szczękiem precz z izby, nie czekając już na księcia, który szedł zwolna, ledwie włokącą się za sobą, prowadząc żonę.

W mieszkaniu księżnej matki nie znaleźli jej, poufne jej służebne Katarzyna i Demunda micząc na kościółek wskazały.

Stał on pusty, gdy z żoną wszedł do niego książe Henryk, posępny dzień jeszcze ciemniejszym niż zwykle czynił wewnątrz. Jedna lampka paliła się przed wielkim krucyfiksem na ołtarzu. Księżna Jadwiga, bosa jak zawsze, klęczała na kamieniach zimnych z podniesionemi do góry rękami wysehlami, modląc się duchem nie ustami. Oczy jej pływały we łzach, ale twarz wybladła promieniała uniesieniem, jakby z tego krzyża czarnego, na którym wisiał Chrystus, spłynęło na nią świeżo słowo pociechy. Zatopiona w sobie nie usłyszała kroków syna i synowej. Musieli stanąć za nią i czekać, nie śmiejąc jej przerywać modlitwy. Księżna Anna nklekła i płacząc modlić się też zaczęła.

Książę Henryk stał zadumany, tylko ręce złożyły mu się jak do modłów. We wnętrzu kościołka cisza panowała uroczysta, a przez drzwi otwarte od podwórza niekiedy wpadał odgłos wrzawy, gdyż towarzysze księcia gwarząc i wykrzykując, co prędzej koni dosiadali.

Księżna matka padła nareszcie n stopni ołtarza, całując ziemię z taką gorącością, jakby na niej świętych jakich stóp chciała uczcić ślady, podniosła się, zwróciła i przeżegnawszy, a ucałowawszy trzymany w rękę wizerunek, zaczęła syna powoli prowadzić od ołtarza ku drzwiom. Lice jej promieniało natchnieniem, ona sama wydawała się ubłogosławioną.

— Idź, synu mój — mówiła — idź. Wybila godzina ofiary! Bóg cię woła! Idź i nieś życie twe za świat chrześcijański, albowiem u trupa twojego stanie wał i fala, która miała świat zalać i pochłonać — cofnie się potop krwawy, i chrześcijaństwo ocaleje! Idź, męczenniku mój, którym ja dnmna jestem, po wieniec i koronę twą! Idź! Nie będą po tobie płakać oczy moje! ani serce moje, albowiem wybrany jesteś i błogosławiony. Idź w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

Księżna Anna płakała ciągle, tuląc się do męża

żowskiego ramienia. Stali w progu kościoła. Dotąd nieporuszony książę Henryk schylił się drżąc do nóg matki, łza mu błysnęła w oku. Nie mówiąc nic, żonę ucałował w czoło, ta z uściskn ostatniego puszczać go nie chcąc, uwiesiła mu się na szyi i księżna Jadwiga ujęła ją słabemi na pozór rękami, aby oderwać od męża.

— Niewiasto małego serca! — rzekła — nie stawaj mu grzeszną miłością swą na drodze, nie odwódź go od przeznaczenia, nie kuś go łzami. Niech idzie! niech śpieszy!

Henryk stał jeszcze, gdy w podwórze wpadł posłaniec drugi od Opolskiego księcia.

— Tatarzy ciągną! — wołać począł z konia, — Wszyscy wodza wołają. Przybywajcie!

Na głos ten, któremu rycerstwo wtórowało okrzykiem zapалу razem i trwogi, książę spojrział już tylko na żonę, na matkę i skoczył na konia, stojącego przed nim. Chłopię podało mu strzemię, drugie małą tarczę, którą u siodła przywiesił.

Zdjął helm, żegnając kościół, matkę, żonę i cały oddział z łoskotem ogromnym rzucił się z podwórzka, cisnąc we wrota. Czeladź klasztorna i niewiasty, zanośliły się od płaczu.

Księżna Anna zmożona żalością wielką, jak stała padła na stopniach kościoła i rękami oczy zakrywszy, płakała. Księżna matka jak posąg stała wryta, nie nroniwszy łzy, z oczyma w dał wlepionemi, jakby tam gdzieś, widziała więcej niż ludzie wszyscy — przyszłość całą, krew co się przełać miała i chwałę, co z niej miała wykwitnąć.

Po niebie gnały się szare obłoki jakimiś krwawemi blaski z dołu zarumienione — niby krew też przelaną, przełać się mającą, zwiastując. Wiatr pędził je z tamtej właśnie strony, zkaąd lała się owa czerń mongolska na nieszczęśliwą tę ziemię. W powietrzu, mimo wichru, brak było, czemby pierś ludzka swobodnie odetchnąć mogła. Wszystkim zatruty

wyziew jakiś tamował technienie, gryzł i szarpał spalone gardła.

Klasztorna służba długo nie mogła odejść od progu, patrzala osłupiała na tę garść ludzi, która pędziła drogą wprost na śmierć wiodącą!

V.

Na wieży kościoła Pauny Maryi w Lignicy stali oknem wazkiem rozpatrując się po okolicach, książę Henryk pobożny, Mieczysław Opolski. Bolesław Morawski, od poplątanej mowy Szepiółką zwany i Sunisław Jaksą, brat krakowskiego wojewody, stali i patrzali niemi.

Widok, jaki na skrajn doliny nad Nissą mieli przed oczyma, na chwilę myśli im odjął i mowę.

Tam, czerniały pola szerokie zasypane jak mrowiem czarnym tiumem, którego ruchy ledwie się ztąd dostrzedz dawały.

Wśród tego całuna olbrzymiego, co się po ziemi rozścielał, wznosiły się słupy dymu, wiatr z tamtąd przynosił wycia jakieś i huczenie głuhe.

Wiało trwogą i groźbami ku Lignicy.

— Siedzmy tu zamknięci w wałach i murach— odezwal się ponuro książę Mieczysław — to jeszcze ze wszystkiego najrozumniejsza.

Przecie ani połowy ich nie było w Krakowie, tych co się n Ś. Jędrzeja obronili tej nawale i wziąć nie dali.

W polu.

Nikt mu nie odpowiadał, wszystkich oczy wlepione były w tę potworę leżącą na widnokręgu, która dziś, jntro do stóp grodu przypelznąć miała.

Książę Henryk po namysle obrócił się ku niemu.

— Nie—rzekł—lepszą wyjść i z tą ezernią się rozprawić, niż opasany tu się męczyć i dusić, wystawionym na szyderstwo. Mężom po męzku stanąć przysłało, a choćby i ginać.

— Mamy wiadomość pewną, że król Wacław za dwa dni nadejdzie—począł belkocząc niewyraźnie Szepiółka—czekajmyż na niego. Silniejsi będziemy.

— A któż ręczy, że brat Wacław zastraszony tą powodzią nie cofnie się? My próżno się wyczekawszy nań, głodni i słabi na duchu, będziemy musieli iść sami. Krzyżacy obiecani nas zawiedli, Wacława nie jestem pewny.

— Mistrz zakon umiał przyjść tam z całą siłą—rzekł Mieczysław—a przysłał nam, jak na urągowsko kilku braei i knechtów garść licha, bez której byśmy się obeszlili

Milezeli znowno zadumani.

Książę Henryk sparł się o mur, wychylił głowę, popatrzył i dał znak schodzenia z wieży, pierwszy wstąpiwszy na drabinę, która wiodła do górnego piętra.

Za nim ze spuszczonemi głowami, milcząc, zwołna schodzić zaczęli drudzy.

Od kościoła do zamku było niedaleko. Tu na dziedzińcach, w ulicach, na placach, wszędzie wśród wałów tłumi ścisniętego w szczupłym ich obrębie rycerstwa stały wyczekując niespokojnie rozkazów

Henryk Pobożny nabrawszy mocnego postanowienia, by na nikogo nie czekając, stanowiącą stoczyć walkę, wpadł do wielkiej izby na dole, do której za nim wtoczyli się wszyscy.

Twarz jego, nigdy nie tracąca rycerskiego wyrazu siły i energii, teraz zdawała się podwójną potęgą przekonania napiętnowana. Braw miał ściągniętą i stała zacisniętą dumnie.

Inni patrzyli nań, jak na tego, któremu wyrokować przysłało:—mniej pewny siebie Szepiółka był zmieszany i podrażniony. Opolski dumiał zasępiony.

Sulislaw nieco na uboczu stanawszy czekał, rozglądał się do koła.

Książę okrążył, wielkimi idąc krokami, do koła stół stojący w pośrodku sali. Kroki jego śmiałe i pewne rozlegały się, mówić zdając równie wyraziście jak jego słowa, iż niezmiennie już powziął postanowienie. Zgadywano, iż chciał Bogu się poleciwszy, stanąć do walki. Zwrócił się do Mieczysława, dłoń mu podając.

— Bracie—rzekł—wystąpię przeciw nim jutro. Każdy dzień zwłoki nas wycieńcza. Zamek nie starczy żywności dla tylu ludzi—w piersiach męztwa przebrać się może, gdy mu wystygają damy. Idźmy!

Słowo to wyrzekł głosem podniesionym, z tak silnym i głębokim wyrazem przekonaniu, tak nakazująco i stanowczo, z męstwem tak wielkiem a ufne siebie, że wszyscy nim porwani, odezwali się jednogłośnie z zapalem.

— Idźmy!

Było to stanowcze słowo, nie wahał się już nikt, nie rozprawiał, nie przeczył. Pierwszy ruszył się z miejsca Sulislaw do swoich iść i wydać na jutro rozkazy.

Książę Henryk klasnął w dłonie i przywołał Roścysława, komornika swego, który go prawie nigdy nie odstępował. On i Jan Iwanicz, drugi przyboczny księcia sługa, oba w sile wieku, mężowie dorodni, straż przyboczna—natychmiast się w progu ukazali.

— Na jutro się gotować—wszystkim! Wydajeje rozkazy!—rzekł książę. O świcie u Panny Maryi nabożeństwo i spowiedź—potem—ciągniemy!

Przeżegnał się i ręką w powietrzu zakreślił, jakby mieczem zamachnął.

— Dać hasło na jntrol Noc została do spoczynku i przygotowania.

Posłuszny wyszedł natychmiast książę Mieczysław do swoich ludzi w podwórce, śpiesząc z podobnemi rozkazami.

Szepiołka, zawahawszy się, w ślad za nim po-
ciągnął.

Rościśław spełniwszy zlecenie księcia, powrócił
śpiesznie ku niemu, gdyż książę Henryk znów wy-
dawał rozkazy.

— Patrz, Rostek — odezwał się do niego z przy-
mieszoną wesołością — co jutro przyniesie jeden Bóg
wie, w którego rękach losy nasze, dziś powinniśmy
być dobrej myśli. Nie potrzeba jadła i napoju
oszczędzać. Daj rozkaz piwnicznym i tym co wa-
rzą, aby nam wieszczę ostatnią zgotowali jak nale-
ży dla tych, co jutro... już może jeść nie będą. Nie
żałować nic, ani dla rycerstwa co tu ze mną siedzie,
ani dla tych co indziej wieszczę będą.

Rękę położył na ramieniu Rościśławowi.

— Każ, by mi było po książęcu, po królew-
sku, bośmy tego wszysej godni. Ostatnie sobie
sprawmy gody, niech nam nie nie żalują! A słów
przymnożcie, abym sam nie był i w dobrem otocze-
niu zjadł pożegnalną wieszczę.

Rościśław skłonił się, śmiechnął do pana, rękę
jego całował i wybiegł śpiesznie.

Zamek i okolica wieczora tego wyglądały, jak-
by walka za chwilę rozpocząć się miała. — W ruchu
niezmiernym było wszystko, ludzie wśród wrzawy
i ścisku ledwie się poroznać mogli. Jeden ostrzył
pośpiesznie miecz na łada toczydła, drugi strząły li-
czył i próbował ich ostrza, inny obcych nasadzał
krzepko, — inni konie opatrywali.

Czynność wszędzie widać było pośpieszną, go-
rączkową.

— Jutro! jutro! — powtarzano, spotykając się.

Kościół stał ciągle otworem. W tym wieku
wielkiej swawoli i pobożności nie mniejszej — cisnęli
się wszysej do ołtarzów, bo każdy miał kamień na
śmierci. Szukano księży, aby od nich błogosławień-
stwo uzyskać, duszę oczyścić, wreszcie dostać coś mo-
że, relikwję jaką, błogosławiony krzyżyk, medalik,

talizman, któryby od śmierci ochronił, albo od cięższego nad nią kalectwa i niewoli.

Po domkach rozsypani żołnierze, od bab brali węzły i ziela, które również obraniać miały.

Wierzono również w enda jak w gnsła i czary. Byli nareszcie i tacy, co niewiele dbając o życie, używali tymczasem dostatku napoju i mięsiva, którego im dodawano obficie—tyle jak skazanym w przededniu stracenia.

W orszaku pana Sniława Jaksy złożonym z przedniego krakowskiego rycerstwa i ziemian innych okręgów, nie mniejszy rneh panował. Oddział ten cały miał swe osobne obozowisko, ku któremu ciągle z innych taborów goście napływali. Tu też najlęczniej było, najochotniej, najwesелей.

Pawlik ze swemi, klechą Zulą, Wojuszem i czeładzią wojenną, wprosił się był do mieszczanina, który mu izby świetlnej dość przestronnej ustąpił, ale ta nie starczyła nawiedzającym, bo syn Jazdona częstował z taką szaloną, rozpasaną szczodroblivością, tak weselo, iż się tu wszyscy cisnęli.

Wabił ku sobie ludzi, dodawał serca, ochotę wielką budził, tak, że wszyscy lgnęli do niego.

Pierwszy raz w życiu panem będąc, mogąc trochę po swej woli wygadać się, wyśmiać, z ludźmi swobodnie drażnić—zażywał tego chłopak tak, że Wojusz ciągle go musiał hamować. On go ani już chciał słuchać.

Popierali młokosa nowi przyjaciele, nie było rady.

Do pustego śmiechu wszystko mu powód dawało. ludzie, miejsce, słowa i rnehy. Niemilosierpie sztydził, z tych zwłaszcza, którzy o jutrze mówili z obawą, lub powątpiewaniem. On najpewniejszym był, że Tatarów pobiją i pola zaściela trupami. Ta bnta gniewała Wojusza, a gniew jego ją pomnażał. Znła z agendą ehodząc, modlił się, zżymał na swawolnika, a że mu przeszkadzano do modlitwy, często się aż na podwórze wysuwał. Tu mu też nie lepiej było,

wrzawa młokosa i niepokój o niego, ciągnęły go na powrót. Po chwili zjawiał się we drzwiach i nie mogąc w ścisku wytrzymać, nieukał znowu.

Wojusz siedział na lawie o stół się podparłszy, a głowę położywszy na ręk. Coraz to na młokosa zerknął, i ramiona mu się trzęsły.

A Pawlik dokazywał.

Zmierzchało już. Sulisław, który na wieczерze do księcia Henryka miał prawo z sobą wziąć kilku przedniejszych przez pamięć na ojca, przysłał do Jazdonowego syna, aby mu towarzyszył. Wojusz go samego puścić nie chciał, lecz młokos szybko na się wdziawszy suknię co najlepszą, miecz co najpiękniejszy przypasawszy, wyrwał się nie pytając. Byłby mu uszedł, gdyby stary silną dłonią nie ujął go za poły i nie przymusił iść z sobą.

Choć Wojusz tam miejsca mieć nie mógł, gotów był bodaj z tyłu stanąć za chłopcem, aby go w danym razie od szaleństwa jakiego powstrzymać.

Wielka izba na dole w zamku wypełniała się jakby na uroczystość jaką zbierającemi się gośćmi. Na twarzach ich widać było pogodę, jaką daje mężkim duszom nieunikniona konieczność. Chmurzą się i marszczą czoła, póki na dwoje głosować, na obie strony chylić się można, dopóki trwa losu niepewność; — gdy raz wyrzeczono słowo, naówczas umysł mężki z niem się godzi, śmiało patrząc w oczy temu co nienebrowne.

Tak teraz było z ludźmi wahającemi się przed godzinami niewielu. Książę Henryk pogodny był i spokojny — on co posiłków króla Wacława czekać nie chciał, i drudzy z niego jak z wodza czerpali nadzieję zwycięstwa, odwagę do walki nierównej.

Szepiółka patrzył nań jak w tęczę, potakiwał mu jakby sam siebie chciał przekonać. Mieczysław poprawiał długich włosów, usta zaciął, głową potwierdzał co mówiono. Sulisław pomny mężnej śmierci swego brata, poległego w walce z Tatarami, nie chciał

onieśmielać innych. I jemu dodawała otnehy mężna rezygnacja księcia Henryka.

Inni zapomnieli może o jutrze dla tego wieczora, który się wesoło zwiastował.

Izba trochę niska, ale przestronna, oświecona pochodniami, które czeladź u ścian stojąca trzymała, przedstawiała obraz ruchomych światel i cieni, pełen wyrazistych sprzeczności. Jedne postacie oblewał mrok gęsty, gdy drugie świeciły w pełnym blasku, iskrząc się swymi kruszcowymi ozdoby, płonąc barwami jaszkrawymi, połyskując złotemi bramowaniami.

Gdzieniedzie wychylała się z mrocznych cieniów, głowa napiętnowana rycerskim wyrazem męztwa, zbladła twarz zawiędłego stareca, jakby z szarego knta kamienia, lub kwitnące lice młodzieniaszka, jeszcze coś w sobie niewieścięgo mające.

Światło pochodni drgające poruszało i suwało cienie, które po ścianach i ludziach przechodziły, osłaniały ich, spadały, nikły i powracały. Czasem świeżo otarta, gorętszem światłem zapłonęła pochodnia i jedną część obrazu pomarańczową barwą oblała—inne przygasając i dymiąc, miękkimi oblekały półcieniami postacie.

Mienili się w tych światłach zmiennych ludzie i twarze do niepoznania; nikli jedni i występowali drndzy

Duchownych kilku zbliżka otaczało księcia. Jeden z nich, gdy Henryk miejsce miał zajmować, stanąwszy począł modlitwę i stołn błogosławieństwo. Nigdy jej może rycerstwo nie słuchało tak cicho, nie powtarzało tak pobożnie. Każdemu przychodziła myśl, wróci on się jeszcze do spokojnego stołu, do rodziny—pod strzechę! Ten pokój domowy zdawał się teraz stokroć droższym, nieopłaconym skarbem. Śmierć niczem była, ale zwycięstwo takiego wroga, ale niewola w pętach tej dziezy, o której srogości i barbarzyństwie opowiadano tyle—ścinało krew w żyłach.

Stół był, jak książę przykazał, zastawiony obficie,

pańsko. Całe pieczenie olbrzymie domowych i dzikich zwierząt, stały na deskach, wyziewami mięsiva izby napelniając. Ogromne misy cynowe i srebrne, mieściły potrawy z maki, sera, kasze z przyprawami różnemi. Dzbany i kubki nie dawały dojrzeć gości, tak gęsto między niemi stały, a do góry się podnosiły.

Książę, który pragnął umysły rozweselić i wlać w serea otuchę, kazał i grajków zawołać, którzy u drzwi poczęli na głosach i skrzypicach ochocze zawodzić pieśni. Nie była to zbyt głośna muzyka, biesiada głuszyła ją, rozmowy — lecz i taka trochę wesela budziła. Nazajutrz zamiast niej, mieli wrzaski tatarskie posłyszeć.

Brzmiała dziwnie, jakby wesolą jej być kazano, a smętną być musiała. I co zabrząkła raźnie, rozkwiliła się tęskno i płaczliwie.

Choć gospodarz pilno chciał unikać wszelkiej o Tatarach mowy i o tem co się w nieszczęśliwym kraju działo — niepodobieństwem było spętać tak myśli i słowa, aby nie potrafiły ezemś o tę stojącą za wrotami rzeczywistość, która już do nich pukała. Gdy nadeszła noc, wszyscy widzieli z wałów na ogromnej przestrzeni porozpalane ognie tatarskie. nad niemi unoszące się, kołyszące krwawe dymy, poszarpane w kłęby ogniste.

Wiedziano, a przynajmniej tak naówczas opowiadano sobie, że Mongołowie w szczególnej ezci ogień mieli, że przezń oczyszczali wszystko, posłom do uich wyprawianym przez ognie przechodzić kazali, różne u ognisk odprawując obrzędy i czary.

U stołu książęcego siedział podżyły już rycerz, wiele bywały, eo się do jego dworu przybłąkał, a niedys w Syryi wojował i widział tam Saraceuów, a bywał gościem u Tempiarjuszów, w ich Castrum Peregrinorum. Ten o wojnach z niewiernemi prawie uniał, ale to eo o nich powiadał, nie godziło się wcale z obyczajami Tatarów, i z obliczem ieh nawet.

Rycerz ów, Bertrand imieniem, zachował pamięć o niewiernych niemal dla nich przyjazną — tak, że nań z podziwem, gdy rozpowiadał swe przygody, patrzano. Lubił sławić ich szlachetność w hoju, bogactwo i piękność ich zbroi i obyczaje rycerskie. Za złe mu to miano, ale z zajęciem słuchało.

I tego dnia rozpoczął on dłuższą powieść o oblężeniu Damietty. Nic znalazł jednak tak ochoczych słuchaczy, jak dni innych, przerywano mu, a książę Henryk nie dając ucha obcemu, Sulisława, który nieopodal siedział, spytał co słyszał od swoich o sposobie wojowania Tatarów,

— Miłościwy panie — rzekł Jaks — wiemy to od Rusinów i od naszych niedobitków, że u nich w liczbie cała siła. Pędzą też nawet przodem niewolników kupami, aby na nich pierwsze strzały nieprzyjacielskie padaly. Jeżeli w natarciu gwałtownem nie zwyciężają, uchodzą, ale gonić za nimi zdradna rzecz, bo na zasadzki wiodą i do kola opasują.

— Stara to sztuka! — odparł książę Henryk.

— Ale się ona zawsze powodzi — rzekł Rycerz Bertrand. — Widząc uchodzącego wroga, zapomina się o niebezpieczeństwie, puszcza się na oslep.

— Najrzadsza to rzecz w zaciętym boju, krew zimna — ozwał się książę — a najpotrzebniejsza. Mieć męstwo i nie szaleć, to prawdziwa sztuka.

Mówili niektórzy o tatarskiej broni.

— Strzały puszcza ją gęsto — dodał Sulisław — chmurą one lecą, ale rzadko która ntkwi w zbroi. Mają też obuszki i o jednym ostrzu miecze, krzywe i proste, a gorsze niż niemieckie. Zamiast tarczy, skórzane napierśniki z przodu. Na głowie też żelaza mało. Ale bawolich skór ich w kilkoro zbitych, ani luk, ni kusza nawet beltem nie przebiję.

— Mają słusność — wtrącił Bertrand — ci co ich do plagi Bożej tajemniczej porównywiają, szarańczą zwanej, na której skrzydłach napisano, że zesłana jest za karę na ziemię. Tak oni też chmurą lecą,

tak pola okrywają, tak wyglądają plugawo i jak one co napadną gryzą aż do ścierva.

Gwar coraz stawał się większy. Pawlik, który w końcu stołu siedział między Niemcami, rozmówić się z nimi nie mogąc, platał im psoty, minę strojąc na swój wick do zbytku poważną. Wojusz nieopodal stojąc go pilnował.

Skarcić nie było jeszcze za co. Jeden z Niemców zagadał doń swym językiem. Pawlik, który go nie rozumiał, rażno mu odpowiedział, ale bełkotem przez się stworzonym, a do żadnej mowy niepodobnym.

Niemiecczdziwił się mocno temu językowi obcemu sobie, zagadał powtórę i odpowiedź dostał jeszcze dziwaczniej brzmiącą.

W przekonaniu, iż to język przecie ludzki jakiś być musi, Niemcy między sobą sprzeczać się zaczęli o to, jaki by był. Czuli, że nie polski, bo z tego dźwiękami i wyrazami byli oswojeni.

Pawlik trwając przy swem, niekiedy im, twarz nakładając poważną, po kilka słów najosobliwiej wykręcanych dorzucal — tak, że wszyscy się ponachylali ku niemu.

Stańco na tem między Niemcami, że mowa ta być musiała jakaś przyniesiona z południa, lecz do zrozumienia trudna. Tyle było Franków różnego rodzaju i Italów ze swemi dżalektami, iż się to prawdopodobnem zdało.

W pół wieczery rozmowa ogólna ożywiła się bardzo, a goście na gromadki się podzielili. Pawlik nie mając z kim mówić w bliskości, wyrwał się z ławy, na której siedział i poszedł krążyć do koła stołu, przysłuchując się rozprawom, szukając nowej zręczności do splatania psoty jakiej. Wojusz nie spuszczał go z oka i krok w krok chodził za nim.

Tak się naprzód zbliżył ku Sulisławowi, potem do księcia. Henrykowi twarz zuchwała młodzieńszka wypadła w oko, skinął nań, aby podszedł.

Śmiało przystąpił doń Pawlik. Z twarzy poznał

książe, iż polakiem być musiał, i złą polszczyzną zapytał go, kto by był.

— Jestem syn Comesa Jazdona z Przemankowa—odparł chłopak rażno — przybyłem tu z panem Sułławem, pragnę się dorobić rycerskiego pasa.

Nie pokryta jeszcze puchem młodzieńczym świeża twarzyczka młodo bardzo wyglądającego chłopaka, uczucie jakieś politowania obudzić musiała w księciu. Żał mu się zrobiło tego dziecka, które tak zawczasie na śmierć szło z takim w obliczu weselem i rzekł, przyglądając mu się z uśmiechem.

— I ty się więc z nami na wojnę wybrałeś?

— Wyprosiłem się u ojca, bo gdy drudzy idą, niegodziło mi się doma pozostać — zawołał Pawlik, nie spuszczać oczów.

— A siłyż ty masz? — niedowierzająco odparł książę.

Uśmiechnął się syn Jazdona. Mieczyk miał u pasa, który mu się właśnie pod rękę nawinał. Niewyjmując go z pochew, podniósł nieco, ujął w obie dłonie, pocisnął i złamał.

To była jego odpowiedź na książęce pytanie. Potem z pańską butą, złamany nóż odczepił i choć bogato był okowany, rzucił go od siebie precz, stojącej z pochodniami czeladzi pod nogi.

Książę Henryk rozśmiał się wesoło, pokazując go siedzącym obok siebie. Ci głowami potrząsali, wpatrując się w niego ciekawie.

— Kiedyś tak siłny a ochotny do probowania się i zapasów—rzekł książę—stańże jutro z Rościławem i Janem Janiczem przy mnie. Rad patrzyć będę na spotkanie się wasze w pierwszym polu... Niech Bóg szczęści.

Sklonił się Pawlik radośnie zarumieniony—choć Wojusz, zdala stojący, syknął. Nie było już na to rady. Wiedział stary Sowa, że przy księciu stać, było to na największe narażać się niebezpieczeństwo,

bo Henryk tam musiał być zawsze, kędy bój wrzał najsroższy.

Nie nie dorównało radości Pawlika, który здаwał w oczach urastać i nadymał się okrutnie. Buty mu przybyło jeszcze.

Wtem opodal u drugiego stołu zanucił ktoś pieśń niemiecką i wszyscy, zwróciwszy się doń, przysłuchiwać zaczęli. Henryk tylko namarszczył się, bo to był śpiew miłosny a dość płochy i chwila na nucenie źle dobrana. Dano jednak dokończyć ów Minnelied, a książę po ostatniej strofie odezwał się głośno, iż jeżeli śpiewać chciano, przystało tylko pobożną lub rycerską jaką pieśń zanucić.

Do tego jednak nie przyszło, a gwar coraz większy powstawał. Książę przepijał do sąsiadów, zachęcając ich.

— Dobrej myśli bądźmy — mówił — jako prawi rycerze. Serca sobie zagrzewajmy, aby i w rękach silniej krew płynęła.

Zmagano się na wesołość — ale myśli odbiegały ko domom. W pośród żartów i śmiechu, ten i ów szepnął nowinę o zniszczonych klasztorach, o miastach leżących w gruzach, o Sandomierzu i Krakowie, o liczbie jeńców, pędzonych w niewolę.

Nasz książę — wtrącił Sulisław — dzięki Bogu ocucony. Nie chcieliśmy tego, co nam najdroższe, ważyć na niepewne losy, musiał do Niemiec uchodzić, bośmy dlań sił dostatnich nie mieli.

— Lepiejby był zrobił — zabełkotał niewyraźnie Szepiolka, spozierając ostro na Sulisława — żeby był żonę do Węgier wyprawił, a sam przybył do nas. Pobożny pan — dodał — to prawda, a ona, dosyć rzec, że Jadwigi siostrzenica, ale do rycerskiej sprawy za mało pochozny.

Sulisław ujął się gorąco za pana swego.

— On radby był iść, wyrывał się nam — rzekł — ale myśmy go nie puścili. Żył jeszcze brat mój podówczas, gdyśmy go na Węgry zmusili. Zamkowi

krakowskiemu nie było co dowierzać, a w polu stanąć samym nie mieliśmy z czem.

Nikt już nie odpowiadał na to. Książę Henryk poruszył się z miejsca swego.

— Czas — odezwał się — bodaj północ blisko! Rozejdźmy się wypocząć trochę, by wstać rzeświejszemi o świcie.

Ręką skinął ku swym gościom.

— Dzisiejszej nocy mało kto snu zakosztuje — odparł Szczepiółka, powstając.

Poczęli się ruszać inni, lecz powoli. Niemców dużo przy kubkach zostało. Pawlik też z wielkiej niecierpliwości wcale się kłaść nie chciał do snu. Z sali wyszedłszy, pośpieszył do Roścysława i Jana Janicza, oznajmując im o rozkazaniu książęcem, a prosząc, aby go do orszaku przyjęli. Biegł potem do chaty, a za nim Wojusz niespokojny.

Tu, choć dobrze na noc już było, po drodze uzbierawszy towarzyszków, Pawlik, nie słuchając starszego, naganiającego do spoczynku, swawolę na nowo rozpoczął. Nie było sposobu dzbany mu podbierać, ani gości rozpedzić. Rozległy się piosnki wcale nie pobożne, których słuchając nieszczęśliwy klecha, zmuszony już w izbie na posłaniu zostać — uszy sobie zatykał.

Tak noc przeszła prawie cała.

W miarę jak się ku ranu zbliżało, poważniały lica, ruch w całym obozie zaczął się dawać czuć coraz żywszy. Niektóre oddziały już za wały wyciągały.

Tymczasem co przedniejsze rycerstwo do kościoła Pańny Maryi śpieszyło, do którego się już docisnąć było trudno. Światła płonęły w wielkim ołtarzu, a ksiądz jeden nieustannie klęczących obchodził z komunią świętą. Drudzy duchowni tu i owdzie poprzyśiadawszy na stopniach, w ławach, stojąc nawet, spowiadali przychodzących żołnierzy, prawie wyznań ich nie słuchając, rozgrzeszając co żywiej, bo dru-

dzy tuż z płaczem i błaganiem naciskali się i wprasali.

Tłum wlewał się i wylewał nienastannie z kościoła, msze jedne wychodziły po drugich, zaczynało świtać.—Kwietniowe noce krótkie już były.

Rycerstwo ks. Henryka szykowało się do boju, wedle jego rozkazów, on trwał na modlitwie jeszcze.

Języka miano pewnego, że Tatarowie na pięć knp byli podzieleni, więc i książę Henryk na tyleż chciał swoich ludzi rozłożyć.

Szykowali się żołnierze zwolna, bo wielu z nich jeszcze przy kościele na wiatyk oczekiwało, a tego nikomu odmawiać się nie godziło.

Z wieży kościoła Pauny Maryi, postawiona na niej straż, dawała znać co widziała. Tatarzy już się z legowiska ruszali. Można było ztąd nawet rozpoznać ich niby pięcioro kup oddzielnych, a po nad niemi powiewające płachty jakieś, niby chorągwie.

Zdała wiatr czasem przynosił jakby głuche wrzaski. Dzień się zdawał na pogodę wybierać, lecz rannych chmur jeszcze nie mogło rozpędzić słońce. Starszyczna się na koniach tu i owdzie zwiżając, napędzała i stawiała do szyków.

Ks. Henryka na placu nie było jeszcze, tylko u wrót kościelnych czekał uń przyboczny oddział jego z Rościslawem i Janiczem, a Pawlik z niemi. Niemeów stało już siła na koniach, pookuwanych, w żelazo, poodziewanych w koszule druciane, w hełmach ciężkich, na których rogi, trąby, skrzydła i ptaki różne sterczały.

Każdy z tych mężów zbrojnych tak pięknie, zdawał się niezwyciężonym. Cóż mogły przeciw nim strzale? co mogły choćby i tatarskie miecze? konie nawet zbrojami od nich obwarowane były.

Na polu coraz się ludu roilo więcej, a ks. Henryka nie było jeszcze.

Modlił się długo u stopni ołtarza, nie trwożąc ale czerpiąc coraz mężniejszego ducha. Duch matki

zdał się wstępować w niego i wlewać mu męztwo wielkie.

Od ołtarza ksiądz starszerek siwy, skończywszy obdzielanie hostją, błogosławił do góry podniesionym kielichem — chyliły się głowy, robiła cisza, książę Henryk w piersi uderzył, wstał.

Za nim wszyscy ruszyli się z kościoła — godziny była już późna, słońce wstawalo.

Cisnęli się za nim ci co jeszcze modlili, gdy w samym już progu stojący książę usłyszał trzask nad głową swą i kamień z górnego muru nagłe spadając, legł u nóg jego, tak, że kęs szyszaka, który książę wkładał, potrącił*). Książę Henryk cofnął się na krok, zbladł trochę.

Pawlik, który tu też stał i patrzył na to, półgłosem odezwał się wesoło.

— Dobra wróżba! kamień padł a nie obraził pana naszego. Czartowska moc go cisnęła, a o bożą opiekę się rozbiła! I ta, co nas tam czeka w polu, bezsilną będzie.

Książę usłyszawszy to, smutnie się uśmiechnął i wdzięcznie spojrzał na śmialka. Kamień, zgruchotany upadkiem, wielki jak spory bochen chleba czarnego leżał u nóg jego — potrącił go ze wzgardą, zszedł z proga i konia kazał podawać.

Kto żyw, pośpieszył za nim.

Na tak zwanem Dobrem Połu, nad Nissą, szykowały się zastępy.

Pierwszy, który się już był naprzód wydał i był gotowym, gdy książę go oglądać przyjechał, składała różna drużyna, zbierany lud, rycerstwo, ze stron wielu nadbiegłe, Niemców na przodzie dosyć, którzy tu rej wodzili, Bertrand stary, co był pod Damiettą, i tak o jej oblężeniu rozprawiać lubił, stał tu także.

Nierówno zbrojny ta był żołnierz i nie jednaki,

*) Historycz.

a że niewiele się go zebrało, przybyli też górnicy ze Złotogóry, lud silny, krzepki, zahartowany, ale zbrojny więcej we młoty i obuchy, niż w oręż, łuki mający ładajakie. Niektórzy z nich tylko nieśli tarcze proste, skórą jako tako obleczone.

Co niestało prawego żołnierza, dopelniano górnikami, wiele okazującemi serca. Na wodza się tu wybrał Szepiółka, którego, że trudno było czasem zrozumieć, Morawianin Stempek, półkowódzca jego, rozkazy zaś wydawał.

Górnicy, z których sobie lepiej uzbrojone rycerstwo niemieckie żarty stroić chciało, wzięli to tak do serca, iż wołać i domagać się zaczęli, aby pierwsi do walki wystąpili.

Książę Bolesław wcale sobie tego nie życzył pono, lecz górnicy nalegali coraz mocniej i gdy książę Henryk się zbliżył, krzycząc poczęli z szeregów.

— Pójdziemy przodem!

Obuszki podnosząc w górę—powtarzali zgodnie.

My przodem! my pierwszy!

Niemcy też im w męstwie ustąpić nie chcieli i spierać się nie śmieli.

Książę Henryk zgodził się na ich żądanie.

— Bóg jeden wie w czem siła — rzekł — prawda, że pierwsze starcie często o losie bitwy stanowi, lecz gdy ochotę mają wielką i serce.

Szepiółka zgodzić się na to musiał.

Tak za przekasy krwawo się pomściwszy, górnicy wyciągnęli przodem na Dobre pole, rażno zagnęli do N. Panny.

Rozległa się nią wnet okolica, bo inne wszystkie oddziały za nimi śpiewać zaczęły.

Z wieży Panny Maryi, coraz lepiej sunących już ku polu Tatarów widać było. Z góry patrzący, mierzyli oczyma, jaką przestrzeń swoje i ich oddziały zajmowały.

Niestety! każda z tych kup pięciu tatarskich,

dziesięćkroć liczbą przechodziła gromadki wojska, skupiającego się na równinie nad Nissą.

Drugi szyk, którym Sulisław dowodził, cały był z Krakowian i Wielkopolan złożony, dobrze zbrojny, w jasnych pancerzach, chorągiew nad nim czerwona, co się już nieraz we krwi skapała. Tu było miejsce Pawlika, lecz chłopię rade, że się wyrwało, jechało przy księciu. Wojusz tuż za nim w ślad. Krakowian i poznańczyków nie było więcej niż pierwszych, a choć się rozstawili szerzej, nie celowali liczbą, pokaźnością i postawą znaczyli.

Sulisław obyczajem rycerskim wybrał się do boju jak na gody. bo naówczas brał każdy co miał najlepszego, gdy się miał z nieprzyjacielem potykać i dzień starcia nroczyością był wielką. Więc i on wdział pancerz lśniący. a na helmie rozpierał się mu Gryf złoty, godło wszystkich jego rodu. Na tarczy też Gryfa miał z paszczą otwartą i językiem wywalonym, malowanego i złoczonego.

Opolanie składali nie dostatniejszy też liczbą oddział trzeci. Lud rzeźki, postawny, zbrojny dobrze, bo tu niemiecki oręż wprowadzony był dawno i obyczaj też niemiecki panował. Mieczysław Opolski prowadził swoich, a przy nim sporo różnych przybłędów, szwabów, sasów. franków, turyngów, bo się w nich kochał, jak wszyscy Ślązcy Piastowicze, co z Niemiec matki mieli.

Gdy książę Henryk nadjechał i zbliżył się, pozdrowili się i objęli po bratersku, ale słowa rzec nie mógł żaden. Godzina to była, w której usta nie miały, godzina wielka, w której mówiły oczy.

Słońce powoli, ciężko z po za chmur się dobywało. Wiatr od Tatarów smród przynosił końskiego potu i spalenizny.

W czwartym oddziale stało kilku braci i trocha knechtów, których niechętnie przysłali Krzyżacy, ale na tych wiele rachować nie było można, tyle tylko, że z sobą na obludę chorągiew zakonu przy-

nieśli, jak gdyby ich tam więcej było... W rzeczy garść przyszła licha, a resztę niewielkiej kupki. różny lud, niezbyt rycersko wyglądający, zapelniał. Tych książę Henryk pomiął, ledwie pozdrowiwszy.— Nie wiele z nich spodziewał się korzyści.

W ostatnim oddziale widać było przedni wybór rycerstwa księcia samego, na którym waga była największa. Tu się kwiat i śmietanka zebrała. Więc naprzód Niemcy zaciągowi i dworscy, Franki, Szwaby, Sasi od Brandeburezyków, wszystko ludzie, co już nie w jednej ziemi i nie z jednym wojowali napastnikiem. Dużo też było od Wrocławia i z całego Ślązka osiadłych ziemian, co na wszystkie wojny chadzali, a wówczas na nich nie zbywało. Dobry lud, wojacy ogromni, zbroje doskonałe, szyk zręczny. Każdy z nich gotów na dziesięciu, z kopją, mieczem, z obuszkim, z łukiem, niektórzy z cepami żelaznemi. Wielu też kusze miało silne, których belty czleka na wylot przebijały. Ci jak mar twardzi byli, ale jak kamień też ciężcy w ruchu.

Już się tak wszystko ustawiło. chorągwie podniesiono męźnie, i pieśń brzmiała znowu pobożna.

Każdy miejsce swe zajął i trzymał je... Tatarska moc owa z przeciwka już się okazywała.

Szary tłum, niepokaźny był a ruchliwy. Plugastwa tego oddziały sunęły tak wielkie, że każdy z nich polkowałby był wszystkie razem Henrykowe, gdyby się one nie rozstawiły szeroko.

Ziemia poczęła tętnić i drgać pod stopami koni i ludzi. Szmer zrazu dolatywał dziwny, jakby wody płynęły wiosenne, potem gęste stad konskich stąpanie.

I zdało się patrzącym, jakby tam same niemal konie były, a ludzi mało gdzie wytykała się głowa; mało gdzie sterczał łuk górą lub włócznia.

Z szumu tego coraz wyraźniej wyrywały się balasy, pisk jakiś, wycie, nawoływanie.

— Surun! Surun!

Z tysiąca piersi brzmiało coraz dobitniej:

— Surun!

W szykach księcia Henryka spokojnie kończono pieśń pobożną.

Stały murem, konie tylko niektóre niby spłoszone, wylekłe, pod jeźdźcami drżały, przysiadają i ledwie je w miejscu utrzymać było można.

Chrapanie ich głośzyło śpiew ludzi. Pieśń w końcu wyciem Tatarów przemożona, ucichła. Usta przestały dźwięk wydawać, dech zaparto, oczy wszystkich zwrócone były na ten tłum, który rósł w nich, posuwał się, olbrzymiał—rozpościerał coraz szerzej.

Dostrzedz już było można przodem jadących luźno ludzi i u każdego z jeźdźców konia na sznurze bez czelaka, tak, że gromada niemi zwiększona, straszniejszą się jeszcze wydawała.

Trochę otuchy dodało to Słazakom, nieprzyjaciela więcej się widziało niż było.

Liczba jednak i tak straszną była... z wieży, jak zająrzeć, końca temu wylewowi nie widziano... Sunęli się, sunęli, rośli, nieprzeliczeni.

Zdawali się wyrastać z pod ziemi, mnożyć jakimś czarem.

W prawo i w lewo zabiegali kołem, zatarzając się szeroko, obejmowali jako gad, który ofiarę swą obwija pierścieniami, nim zdusi ją i pożre. Rzeka tylko od nich zdawała się osłaniać z jednej strony, lecz dla tych stworzeń dzikich, woda nie była przeszkodą żadną. Rzucili się w nią gęstą kupą, gromadą, tak, że rzekę zdawali tamować, która się pokryła całą mnóstwem łbów końskich i ludzkich.

Książę Henryk zza wzgórza stał za swemi, patrzył.

Po za sobą tylko już miał plac wolny, przed nim Tatarzy zajmowali go ze stron wszystkich.

Wtem od dziczy, razem z krzykiem—Surun! zaszaleściło, niebo się zaćmiło chmurą gęstą strzał tatarskich, które nagle bić poczęły i dźwięczyć na żelaznych zbrojach.

VI.

W oknie na wieży kościoła Panny Maryi stał siwy jak gołąb ksiądz z rękami załamanemi, w których krzyż trzymał ściśnięty. Nie czuł tego, iż ręce znak zbawienia skruszyły w konwulsyjnym nściśku. Usta jego usiłowały szeptać modlitwę, lecz co chwila kostniały od trwogi.

Widok był straszny, potop ludzi jakichś ledwie do stworzenia Bożego podobnych, wściekłych, rozhułkanych, szalonych—upojonych... jak fala morską poruszał się i płynął rozbijając, co spotkał przed sobą. Nigdy wiatr jesienny co jęczy po górach i skał czeluściach, nocami nie wyje takim głosem zniszczenia i śmierci bezlitośnym.

Staruszek zatykał uszy, krzyż schowawszy za pierś i słyszał wrzask zawsze..., zamykał oczy i widział tę czerń jak dokoła opasywała, ścisnęła rycerzy bożych. Zaćmiła mu niebiosów chmura pocisków, zakryła tych, co stali przeciw nim. — Opadła wnet, ksiądz odetchnął — rycerze stali jak mur nietknięci. Wtem drugi taki obłok świszczący zakrył mu ich znowu.

Na czele posuwali się ze zbieraną drużyną śmiałych górniczy. Rzucili się na dzicz z siłą wielką i jak klin wbili w tę potworę. Widać było Tatarów, którzy gnali przeciw jak się od pierwszego uderzenia zgięli, ulegli, zachwiali. Zwracać się zaczęły małe ich konie i padać... Niektóre pozrywały się z sznurów lecąc samopas na swoich i mnożąc zamieszanie. Ksiądz staruszek dziękczynnie dłużej położył do góry.

Dzicz płynąca potęgą wielką, z równą gwałtownością odparta cofać się i dusić zaczęła. Górą płynęła chorągiew górników Złotej-Góry, pędzili nie dając się powstrzymać. — Naprzód! Naprzód!

Ksiądz poczał modlitwę na chwałę Bogu zwycięstw, gdy oczy otworzywszy znowu, chcąc dojrzeć swoich, zobaczył już tylko wrzątek jakiś kipiący. tłum, w którym nikogo nie mógł rozeznąć.

W pośrodku ciżby nie widać już było tych co w nią jak w oteblań wpadali. Chwilami coś się poruszało w tym motłochu samym, coś błysło niby ci zwyciężcy. Pożarła ich w końcu ta nawała. Nie zostało nic, tylko znowu tłum ten sam szary, warczący, pełznący i wyjący dziko:

— Surun!

Książę Henryk stał. patrzył i modlił się... żelazny, nieporuszony. Widać go było z orszakiem.

Pułki co na przedzie stały za górnikami, którzy znikli, znowu ten grad strzał zasypał.

Niebyło wątpliwości, że Bolesław i cały oddział jego, co tak mężnie padł na nieprzyjaciela, już przezeń został pożarty. Z wieży widać było wśród czarnego urowia, jakby plamę krwawą, w której się promienie słońca gdzieś tam gdzieś świeciły odbite — i trupem nślaną polankę. Dziecz okrażała ją, naciskała się i rozpierzchnęła znowu.

Sulisław z Krakowian i Opolanie ruszyli się naprzód śmiało. Nie stracili oni męstwa, straciwszy przodowników. Zamęt wielki widać było na polu i okrzyki doleciały na wieżę. Dwa polskie oddziały stały przeciwko trzem tatarskim i walczyły zajadle — nie mogły uaprzód się posuwać, ale nie ustępowały ni kroku.

Jak dwaj zapasniacy, co się za barki pochwycą, tak sparły się owe dwa pułki i dziecz w gęste zbite ciało. Padali z koni i z koni Tatarzy, lecz na ich miejsce cisnęli się nowi. nie przebierało się ich, zdawali mnożyć z trupów poległych. Sulisław dotrzymywał im kroku, Opolanie mu posilkowali, dwa oddziały w jeden się zlały. Jak opoka stali w miejscu, aż z oddziału ks. Henryka ozwały się okrzyki radośne. Chcieli na obronę

swoich lecieć pozostali w odwodzie, książę wstrzymał.

Nie czas byłol

Ostatnią siłą nie mógł szafować. Z wieży widać było, jak dzicz się znowu zachwiała, jak zawirowała w miejscu, sparła się hardo, złała w jedną bryłę, ani chcąc ustępować — ani mogąc zwyciężyć. Wtem drgnęło coś w tych kupach, zachwiał się. Krzyknęli Polacy, Tatarzy złamani zostali. Sulisław powoli postępowal za nimi, Opolanie równym z nim szli krokiem.

Pułki z tyłu stojące poruszyły się. Książę Henryk dał znak. Jechali zrazu wolno — lecz kipiało w nich, a jakąż siłą wstrzymać można żołnierza. Wódz i ciórę stracili głowę — nieprzyjaciel uchodził, wymykała się z rąk zemsta. Naprzód! naprzód!

Książdz zakrył oczy. Znikły mu pułki wszystkie wśród ruchomej powodzi ludzi. Kto zwycięzca? kto pobity? zgadnąć nie można. Pasami gdzieniegdzie świecą żelazne zbroje, staremi płachty ruszają się tatarskie zgraje

Wężem zwijają się pułki wśród otaczającej je dziczy, która ucieka i okrąża, uchodzi i zasypuje strzałami.

Z wieży nie widać nic. Książdz pokłakł, czoło położył na krawędzi zimnego kamienia i patrzeć już nie śmieć.

Jak zasłona, którą wiatr miota, cała ta gąszcz to się sunie naprzód, to ugina, to przechyla, jak strzępki przy rąbku zasłony, po brzegach widać rozpięchłe mrowie. Wrzawa ludzkich głosów, końskiego rżenia, jęków konających, okrzyków zwyciężkich — wszystko się zmieszało w jedno wycie i huk potężny, niby szum wałów morskich, co biją o brzegi.

Książę Henryk pędził z oczyma palającymi, Tatarzy mu uchodzili, pierzchali, lecz stało się, że w tej ucieczce razem zjawili mu się ze stron wszystkich; strzały ich sypały się ciągle. Wśród własnych ludzi

wytykały się ich głowy, które gnietli i ścierali, a pęzły i wyrastały nieprzebrane.

Książę Heuryk znalazł się już obok Opolan. Sulisław gdzieś był na przedzie, Polacy kupkami, rozbici lecieli walcząc i mordując.

Nikt już nie wiedział gdzie jest i w którą sunie stronę—ciemność i zamęt był wszędzie. Opolski prac konia naprzód coraz nowe i coraz twardsze spotykał zapory. Uchodzący drogę mu zapierali sobą.

Wśród wrzasku usłyszał nagle głos z góry:

— Biegnijcie! biegnijcie!

Kto mówił te słowa? Zdały się z tatarskiego wychodzić tłumy. echem jakimś słychać je było powtarzane ze stron wszystkich:

— Biegnijcie! Zbiegajcie!

Książę Mieczysław zbladł, obejrzał się w koło. Lignickie mury widać za nim było jeszcze.

Sam koń czy on się zawrócił?

Ci, co go otaczali chwiewają się, kręcą—uchodzić zaczynają. popłoch się mnoży—pojedynczy zbiegają, pochyliwszy się na kark koniom.

Henryk odrętwiał—nie umiał słowa znaleźć na okrzyk boleści i począł wołać:

— Gore! gore!

Spostrzegł Opolan, którzy zwrócili się do ucieczki, pędzi, aby zabiedz im drogę; Tatarzy mu ją zastępują.

Opolanie uchodzą!

Dzicz naciska za niemi. Jak fala odepchnięta od brzegu, idą, wracają nazad, są wszędzie.

Wśród tej czerni zbitej, pułk Sulisława z chorągwią swą czerwoną jeszcze kupą się przerzyna, brodzi w niej, trzyma się spólny. Padają przed nim walami lupy, ale na nich żywy ów zwierz pustyni podnosi się, mrówi, naciska.

Dziw nad dziwy! Po nad głowami czarnego tłumy coś nagle zaszeleściło, wiatr powoli rozwiewa chorągiew jakąś ubarwioną krwawo.

Lśni się ona jak posoka, gdy zastyga, purpurą, zółcią i zielenią, które się na przemiany mieniają; a pod nią tkwi głowa ludzka olbrzymia, rozczochrana, straszna, z otwartemi usty, z językiem wywisłym, z oczyma trupio zesklonemi, blada i niby żywa.

Z nozdrzów jej bucha kłębami para smrodliwa, jakby wyziew zgniłych trupów; oczy jej łzawią i dymią. włos zdaje się szeroko rozplywając obracać w dymy. które się nad pobojowiskiem wloką — kto spojrzy na tę głowę poczwarną, mdleje na siłach; komu do piersi dym od niej zalcei, ten słabnie i pada. Trwoga bezimienna, bezprzyczynna ogarnia serca, biją niespokojne, zmuszają do szalonej ucieczki.

Chorągiew szatańska, zda się rosnąć w powietrzu, głowa olbrzymić. rzekłbyś, płaszczem krwi okryła pobojowisko. Dym czy ona ciąży nad wojakiem i gniecie go. Pod fałdami tego złowrogiego proporca zastęp pana Sulisława się chwieje, ale walczy. Jeszcze gna i naciera, lecz słabiej coraz. Piersi rycerzy nie mają czem tchuąć, oczy ich nie nie widzą, w uszach tętni tatarski — Surun! i śmiech jakiś jak świst szatana szyderski. Szyk polski, który się rozpościerał szeroko i odbijał od siebie napływające fale zmujejsza się, zwęża, skupia, maleje, rozbija, niknie. Jeszcze chorągiew jego czerwona podnosi się w powietrzu, ale po nad nią tkwi jakby ją pożreć miała owa głowa olbrzymia, dymiąca trującym smrodem, z której śmiech się trupi rozlega. I nie nie widać tylko pluskające czarne fale Tatarów.

Książę Henryk ze swemi mężnie się trzyma, został im na pastwę ostatnią. Dano mu było dla zwiększania męczarni patrzeć jak ginęli drudzy, jak nadzieja oparcia się nikła, jak śmierć męczeńska przystępowała wolnym krokiem.

Musiał cierpieć za nich i za siebie, ale nie zwiliżyło mu się oko. Spojrzał na swą wierną gromadkę, podniósł do góry miecz i z nią padł na niewiernych i tłuny.

— Miłościwy książę—zawołał Rościsław—życie wasze więcej warte niż wszystkiego żołnierza, bo wy ludom wodzem jesteście! Ocalić was musimy, przebić się trzeba przez nich—do lasu... tam bezpieczni będziemy!

Książę nie słuchał—rąbał i siekł zajadłe. Poznali w nim wodza Tatarzy i opasali go kołem, które się jak pierścień ścisła. Co zaskoczy śmielszy to ginie.

Rościsław, Janiez, Słazaków i Niemeów co najsiłniejszych garść dostają kroku przy księciu, zasłaniają go pierściami. Pawlik dzieciak zwija się jak szalony, z nieopatrnością tego, co nigdy w boju nie był. Wojsz zabiega i zasłania.

— Naprzód!—krzyczy Rościsław.

I naprzód prą się rycerze—ale napróżno. Konie się potykają i padają na trupach, na konających, co im rzeżą wnętrzności. Ludzie zsuwają się na ziemię i już z niej nie wstają. Rycerze jeżą się strzałami, które w nich utkwiły.

Na Klemensa z Peleznicy bies jakiś zarzucił sznur, zdusił go za szyję i z konia obalił.

Rościsław nie przestaje naglić,

— Naprzód!

Ale ścianą jedną stoją naprzeciw w jedno ciało zbici konie i jeźdźcy tatarsey. Łyskają im oczy z pod czoła, bieleją zęby w ustach rozwartych, śmieją się policzki kościste.

Wśród tego zastępu, nawet trupy stoją jak żywi, zabite konie, jak kamienie w murze się trzymają. Ani go złamać ni obalić.

— Naprzód!—woła Rościsław i Janiez.—Tną po łbach końskich i ludzkich... krew tryska..., ale ściana stoi..., wyłomu przebić nie można.

Pawlik, który stał z tyłu, przebija się z koniem przed księcia, ogromny miecz trzymając w ręku. Spuszcza go na obnażony miecz Tatarza. Raz uderzył i drugi, koń wyrwał się naprzód tam, uchodząc

między Słazaków. Pawlik się rzuca w tą szczyrbę, Janicz za nim, Henryk z niemi.

— Naprzód!

Cisną się i siekają.

Cudem jakimś rozstąpiło się tatarstwo, a raczej przypadło na ziemię — konie spłoszone wyrwały się, próżnią wśród tłumu ciśnie się Słazkie książe, a mieczem rąbie co dosięże.

Wśród dymu las, zbawczy las zamajaczał już przed niemi. Suche jego gałęzie zarysowują się w dali.

— Naprzód! — nie przestaje wołać ochryply Rościśław.

Pawlikowi krew leje się z rąk i z piersi. Wojusz ma twarz przeszytą, hełm mu strącono. Strzala utkwiała w polieczkę, która napróżno wyrwać się sili.

Od zbroi księcia Henryka odbijają się pociski, ale koń pod nim broczący pada wycieńczony ranami.

Zastęp otaczający księcia maleje, Wojusz stary zachwiał się, zsunął na ziemię, zniknął. Pawlik utonął w gąszczu.

W tem Sulisław znalazł się u boku wodza, z nim Klemens wojewoda glogowski, Konrad. Janicz, Rościśław.

Garstka ich już tylko — lecz dotąd jeszcze zwyciężka. Las widać. Tatarzy pierzechnęli w bok nieco, ostatkiem sił książe bieży naprzód.

Wtem zadudniało, tłum wraca. oblega ich z wrzaskiem. zaparł drogę od lasu! otoczył.

Bój o życie lub śmierć się poczyna.

Janicz z Pawlikiem, który już pogrzebiony pod trupami zmartwychwstał znowu, konia chwycił i otłuczonym mieczem się broni przodem idąc, torując księciu drogę. Tatarzy ustępują im — poznali po hełmie wodza, na niego ezykają.

Jednego już tylko widać mężnego księcia, jak coraz miecz podnosi do góry. Obnażył pachwinę, na której zbroi nie było, Tatarzyn pchnął z ciałych sił w nią i przebił. Hełm księżęcy zadrgał i padł

z głową, włosy rozsypały się na ramiona, padł syn Jadwigi.

Wnet knąp dzicz się rzuciła na tą zdobycz z wrzaskiem, który jak grom poszedł po bojuwisku.

Na wysokiej żerdzi sterczy szlachetna głowa męczennika odcięta, drgająca jeszcze... wargi jej zdają się kończyć modlitwę.

Głowa to Henryka Pobożnego — zginał ostatni!

Janicz z Pawlikiem gwałi tymczasem, niewiedząc, co się działo za nimi — przecznięli się cudem przez tłumy — goniał!

Dziewięciu Tatarów na małych koniach ich ściga. Janicza hełm ich kusi, a Pawlika młodość.

Lecz konie obu rycerzy prześcignęły tatarskie. Co się obejrzą za siebie, widzą pogon tylko. Gdzież książę?

Janicz i Pawlik myśleli, że ocalał. Pędzili więc naprzód, mając za sobą tylko tych dziewięciu pogoni. Z boku przyskoczył do nich oszalały z trwogi Lutzman niemiec, na pół ze zbroi odarty.

Zostało ich trzech na pogan dziewięciu.

Oglądają się ciągle, ich mając za sobą. Tatarzy pokładli się na koniach, wyją i gonia. Czasem poślą im strzałę, która świsnie w powietrzu, czasem puszcza powróż długi, który opada na ziemię.

Uchodzą — uszli!

Obejrżeli się, z dziewięciu zostało sześciu — obejrżeli, tylko trzech widać jeszcze — otóż i znikli wszyscy.

Lecz i koniom ich tchu już brakuje. Potrzeba stanąć. Właśnie wygorzałą wieś znaleźli na drodze.

Żywego w niej nie było ducha, a jeszcze niby żywa stała. Z chat opalonych widać było prosty statek wieśniaczy, który ocalał po kątach. Studnie z żórawiami, które wiatr poruszał, całe w podwórkach, gdzieś plot i wrota gwałtownie rozwarły. Na drodze chusta krwawa legła jak zabita, trup dziecka rozejęty w proggu nagi i poczerniały.

Pawlik, Janiec i Luzman strzymali konie.

Niemiec skoczył do studni po wodę, zajrzał w głąb i krzyknął, pełną trupów była. Tuż płynął strumień, poszli z niego czerpać, brzegiem widać było zastygłą krew.

Pawlik tymczasem z sukni, siebie i z ciała powbijane strzały wyrывał.

Janiec dyszał sparty o słup. Luzman jęczał, patrząc na poranione ciało. Z dala z wiatrem dochodziły ich krzyki zwyciężkie tatarów.

Ledwie odetchnęli trochę, gdy niemiec wskazał na drodze migających trzech Tatarów. Biegli za nimi, a raczej toczyli się po gościńcu, jakby trzy kule czarne.

Janiec drgnął, Pawlik na koń już siadał. Z tych trzech pogońców wnet urosło sześciu. Chwila, a oto dziewięciu znowu napędza drogą i krzyczą.

— Janiec, konie już nie pójdą dalej! — zawołał Pawlik — ale my bić się z tem plugastwem możemy jeszcze. Trzech na jednego? nie duży!

Dzikie chłopię pomimo grozy, od której tylko co uszło, rozśmiało się sercem więcej zuchwałem, niż rycerskiem.

— Bijmy się!

Janiec siadł też na konia, Luzman mileząc, poszedł za jego przykładem.

Stali ścisnawszy się, zwracając ku nadbiegającym Tatarom, którzy jak wieher, konie okładając pletniami, parli na nich. Janiec i Pawlik mieli jeszcze ostatek włóczni w garści, Luzman obuch, który nim cudem u siodła pozostał.

Gdy pierwszy z pogoni przyskoczył do Pawlika, ten jednym cięciem w łeb, trupem go położył. Zwalit się z konia. Nim drugi pośpieszył go pomścić, Luzman skrwawił go i okaleczył, a że konia wściekłego miał, gdy Tatarzyn padł, stratował go gniotąc pod sobą.

Janicz się też mężnie potykał, a wśród boju powtarzał tylko ciągle:

— Jeśli żywot ocale—Bogu go na ofiarę złożę!

Pawlik żadnych ślubów nie czyniąc, rąbał i siekł. Ośmiu Tatarów leżało pobitych, dziewiąty ranny brocił się rozpaczliwie, gdy Luzman padłszy nań, sznurkiem go oplątał i skrepował.

Tak bój się ten skończył. Na gościncu nie było widać więcej pogoni.

Znużeni wojownicy siedli na ziemi, trupom się przypatrując. Pawlik jak dziecko ciekawe poruszał ich końcem strzaskanej włóczni, aby się stworzeniom tym przyjrzeć lepiej. Podobnych ludzi niewidzieli jak żyli. W krzyku ostatnim usta im podrętwiały, obnażając wilcze zęby białe, a oczy wywrócone do ślepi dzikiego zwierza były podobne.

Pawlik westchnął—na myśl mu przyszedł jego Wojusz stary. Widział, jak goniąc za nim i osłaniając go, upadł.

— Wieczny mu spoczynek!—szepnął—a nom ja teraz wolny!

Niedługo spoczywać tu mogli, szczęściem Janicz w okolicy znał dobrze drogi.

Zdało mu się obowiązkiem przedzierać do Krośna, aby być posłem nieszczęścia biednej matce, bo choć niewidzieli padającego księcia Henryka, nie mogli wątpić, że pozostał na Dobrem Polu.

Żałośnie milczący puscili się powoli ku lasom.

Z wieży kościoła Panny Maryi nikt już nie patrzył na pobojuwisko, na którym mężni ludzie śmierć przeczuwając, zginąć poszli. Kilku nędznych zbiegów do bram dotarło, brocząc po drodze. Przynieśli zamkniętym w murach żałobne słowo:

— Książę Henryk padł w boju. Bolko Morawski padł w boju. Zginął Opolski, zabity Suliśław mężny i Klemens głogowski wojewoda i Konrad i wszyscy, którzy szli na to, aby za wiarę ginęli.

Na zamku Lignickim niewielka garść załogi została, trochę księży i mieszczańskiego ludu.

Zamknęli bramy — czekali.

Nazajutrz o świcie, gdy do kościoła dzwon na mszę wołał, horda mu krzykiem odpowiedziała z wałów. Zamek był ze wszech stron opasany.

Naprzeciw wrot stal na koniu tatarzyn, na żerdzi wetkniętą trzymając głowę ludzką. Stary ksiądz, który z wierzchu murów patrzył, poznał zsiniałą twarz pana swojego i padł z płaczem na ziemię.

Z tą głową poganie zaczęli do koła zamku obiegać, a gdzie na wałach ukazał się lud, podnosili ją i nachylali.

— Patrzcie, oto pan wasz!

Rusinów, których z sobą wiedli, posłali naglić, aby się im zamek poddawał. Odpowiedziano milczeniem. Mieszczanie zawarli się, postanowiwszy bronić do ostatka.

Dzień, dwa, leżeli pod wałami Tatarzy, trzeciego ranka ich nie stało.

Wrota zawarte trzymano jeszcze przez dzień cały. Obawiano się podstępów i zdrady.

Czwartego dnia wysłano nocą na zwiady. Zagon odsunął się ku Odmuchowu i tam legł obozem.

Dopiero gdy z Bolesiska nawrócili ku Morawie, ostrożnie otwarto wrota, aby iść na pobojeństwo i ciałom chrześcijańskich rycerzy pogrzeb sprawić pocziwy.

Leżały jeszcze kupami jak popadały trupy poległych, bez głów, bez uszu, porąbane i zeszpecone strasznie. Odarte z odzieży, ołupione ze zbroi, z ciała przez kunki i wilków poszarpanemi.

Poznać ich już nie mógł nikt, więc do mogił składano je razem, a zwłoki księcia Henryka po szóstym palcu u nogi cudownie poznane, przewieziono do Wrocławia.

Pawlik z Janiczem dobili się do Krośna; oni tu pierwsi przynieśli straszną nowinę.

Janiczowi, gdy u wrót stanął, zabrakło serca by zwiastować matce i żonie, że syna i męża nie miały.

Gdy im furtę otwarto, zwiłkł się przez nią Janicz, na wszystkie pytania odpowiadając tylko, że ranni uszli, bitwa była przegrana, a o losie księcia niewiedzieli.

Obstąpiono ich kołem, posiadali na ziemi ranni wszyscy. zboleli, niemi, na pytania potrząsając głowami.

Wtem z boku rozwarły się drzwi kościelne. Stała w nich blada niewiasta w sukni szarej, zbrukanej, wychudła, z zapadłemi policzkami, w ręku trzymając białą posażkę Matki Boskiej.

Oczyma szukała przybyszów. Za nią jak cień sunęła się z oczyma zamkniętymi, wyplakanemi księżna Anna.

— Nie pytajcie ich—odezwiała się księżna starsza—nie pytajcie z nadaremna nadzieją, albowiem co przeznaczonem było, stać się musiało. Polala się krew chrześcijańska na odkupienie ziemi tej. Syn mój padł. Widziałam go z głową odciętą, leżącego na pobojo wiszku krwawem, widziałam we śnie i na modlitwie.

Cześć Ci i chwala, Panie, i dzięki ci, żem wydała na świat takiego syna, który był dla mnie dziecięciem milującym, a nie wycisnął mi łzy żadnej. Radowałam się życiu jego i szczęściu, ale radnę się śmierci pobożnej.

I nie wylawszy łzy jednej, księżna się modlić zaczęła.

— Matko—odezwiała się księżna Anna.—O śmierci jego nicma jeszcze wieści! Ocalał może, gdy ci co z nim byli najbliżej, uratować się zdołali. Janicza poznaję! Ten nie odstępował go nigdy.

Wtem przedzwinił wciśnął się człowiek odarty i strwożony, do ziemi skłaniając się, pozdrowił księżnę.

— Z Lignicy mię posłano!—wyjąknął.

— Mów—przerwała mu mężnie księżna Jadwiga—mów!

Posłaniec ręce tylko podniósł ku niebu i opuścił je ku ziemi milczący—słów mu zabrakło.

— Zginęli wszyscy?—spytała księżna.

— Zginęli!

Placz rozległ się za księżną, która z surowym obliczem zwróciła się ku niewiastom za nią stojącym.

— Nie grzeszcie, oplakując śmierć rycerską chrześcijańską!

— Książę, pan mój!—krzyknęła Anna wychylając się ku posłańcowi.

— Polegl—rzekł krótko poseł.

Księżna zachwiała się i osłoniwszy twarz, siadła na ziemi rękami obejmując głowę, księżna matka głosem mężnym, odezwiała się po chwili:

— Znalczliście ciała poległych? syna mego!

Poseł łkając i płacząc odpowiadać nie miał siły, księżna Jadwiga patrzyła nań z politowaniem.

Nieugięta boleścią zwróciła się ku kościolowi i szła z marmurową twarzą do ołtarza — dziękować Bogu.

Pawlika, Janicza i Niemca zabrano do klasztoru, aby się z ran leczyli. Wszystko tu było w żalobie, po tej klęsce, która ani jednej nie oszczędziła rodziny. Jęk i płacz słychać było od rana do wieczora, tylko Pawlik trzeciego dnia już, poobwiązywawszy rany, począł z izby się wykradać, aby narzekań Janicza i opowiadań innych ocalonych nadciągających tu nie słuchać.

Wracała mu ta szalona natura, niecierpliwa, gorąca, potrzebująca kipieć ciągle, śmiać się, dokazywać i bujać.

Gdy Janicz oplakiwał poległych, Pawlik ramionami ścisnął.

— Zdrowaś Marya za duszę zmówić, juści się należy—mówił doń—a wyplakawszy się myśleć o życiu. Ci co pomarli, oprócz mszy nie potrzebują już

nie. Tatarzy przecie nie wysickli wszystkich, zostanie choć trochę ludu.

Niewiasty i służba przy klasztorze, której powierzone było dogładanie rannych, najmilszem się stały towarzystwem Pawlika. Nie zważając na ich zakonne i półzakonne suknie, widział w nich tylko białogłowy, a do tych pociąg miał wielki.

Szczególniej nowicjuszka Łucja, dziewczę ze spuszczonej oczyma, z jasnymi włosy, z których ledwie się pukielek z pod osłony wykradał, wyrostek bojaźliwy, rumieniący się — wpadła w oko synowi Jazdona. Zwano ją po klasztorsem siostrą, chociaż wiek jej nie dozwalał złożyć ślubów zakonnych, i była tu tylko na próbie.

Gdy ze starszą Gaudencją wsuwała się, niosąc koszyk z jadłem lub bielizną, Pawlik już był zawczasu na czatach. aby go od niej odebrać, pozdrowić eicho i coś szepnąć. Dziewczę w surowej karności klasztornej utrzymywane nie odpowiadało, ale mimo woli podnosiły się jej długie ręce i powieki i wzrok padał na mroźnego młodzieniaszka, dziecinny, niewinny. a tak mówiący wiele, iż Pawlikowi mrówię przechodziło po kościach.

Gdy sam na sam z Janiczem siedział, choć ten, już ślub uczyniwszy, gotował się wstąpić do Dominikanów, a wszelkiej płochy mowy unikał, Pawlik niemiłosiernie go drażnił, rozpowiadając jak mu się ta Łucja podobała okrutnie. Janicz snrowo go gromił i łajał.

— Panu Bogu byś dziękował—mówił—żeś cudem uszedł śmierci, i to życie, które ocaliła Opatrzność, powinienbyś jak ja na usługę kościoła poświęcić—a tobie chłystku! ledwie z ran wylizawszy się trochę, już ladajakie myśli po głowie się zwijają. Już ci ta służebnica Boża w oko wpadła... a toć świętokradztwo.

— Cóżem ja temu winien — odpowiedział Pawlik — takim grzesznym mnie Pan Bóg stworzył, że

niewieściego, młodego wzroku strzymać nie mogę żeby we mnie niepoczciwa krew nie zakipiała. Matka Gaudencja choćby na mnie patrzała dzień cały — nie nie szkodzi, ale ta! ale ta!

— Milcz-że paskudny trutniu! — gromił Janicz!

Łajanie wcale nie pomagało. Pawlik coraz częściej wymykając się z izby, stał w progu i czatował, dziewczę łąpał, drogę zachodził i zmuszał niemal do rozmowy. Napastliwy był nad wyraz wszelki.

Rany od strzał prędko mu się jakoś goić zaczęły, bo krew miał zdrową, i siły młode, byłby się już mógł śmiało czy do Przemankowa do ojca, czy gdzie w świat wybrać, ale ta nieszczęсна pokusa przy klasztorze go trzymała.

Było mu tu zresztą niezgorzej, bo księżna matka, jak ubogich tak rannych i chorych z miłosierdziem pańskim we wszystko opatrywała, a roboty nie mieli żadnej. Janicz z kapłanem Lutoldem godzinami całemi o swem przyszłem powołaniu rozprawił. Spierali się o to tylko, czy miał zostać synem Dominika czy Franciszka.

Pawlik, pusta głowa, za Franciszkiem był dla tego, że i książę Bolesław krakowski i księżna Jadwiga synów jego po kraju rozmnażać chcieli, łaskami ich obsypywali — a może też, iż więcej swobody mieli Franciszkanie chodząc po świecie niż Dominikanie w celach klasztornych pozamykani.

Janicz zaś Dominika synem być wolał, bo piśma cokolwiek znał, nauki łaknął, a tej tu więcej potrzebowano.

Trzeci ich towarzysz, Niemiec Luzman, który się też tam wylegał z ranami, a jako Niemiec miał u księżnej łaski szczególne, nie mieszał się do niczego, jadł, pił, spał, do kościoła chodził, gdzie też drzemał w kątku, ale się mógł księżnie zalecić. Piwo klasztorne bardzo mu było do smaku.

Pawlik w krótkim czasie wielu tu sobie przyjaciół i znajomych zjednał. Nie mówiąc już o sio-

strze Łucyi, którą powołał sobie zyskiwał, ukradkiem zawsze nastroczając się jej po kilka razy na dzień, łaził do izby chromych i kaleków, wszędzie go było pełno. Pomiędzy żebrakami po swojemu sobie poczynął, największą dłań rozkoszą było jatrzeć ich przeciw sobie, swary ich oliwą podlewać, i doprowadzać do tego, aby się kłócili, zajadałi i tłukli. Gdy tak wrzawę okrutną wywołał, dopiero sam śmiejąc się wymykał i cicho w izbie wspólnej przysiadł, jakby nie wiedział o niczem.

Trwało życie takie do Maja, więc niedziel cztery. Pawlik był już zdrow zupełnie, ale mu się jeszcze z Krosna w świat nie chciało.

Janicz uważał, że z izby się coraz częściej wysuwał, w podwórzach dłużej bawił—zaczynał być zadumanym i mniej mownym.

Jednego dnia stękać począł, że mu już do domu potrzeba, a tylko tęgiego konia do podróży braknie. Koń na którym przyjechał, na nogę nakułiwał.

Janicz mu swojego dać był gotów, aby się go pozbyć, bo mu już płochością i prześmiewaniem się ze wszystkiego dokuczył.

Poczęły się targi o dodatek, stanęło wreszcie na umówionej liczbie groszy pragskich, które Pawlik dopłacić obiecywał. Lecz dostawszy konia, wyjeżdżać znowu mu nie było rażno. Zwlekał.

— Ojcie mój—mówił Janicz do kapłana Lutołda—wy tego młokosa przekłętęgo miejcie na oku. On świętego miejsca uszanować nie umie i za dziewczętami pono się włóczy. Żeby zgorszenia nie było.

Ksiądz się oburzył mocno.

— Co za myśl—zawołał—a toż tu są niewiasty pobożne. Bogu poświęcone, klasztor jest przecie, w którym duch księżnej naszej ożywia wszystkich.

Zmłczał Janicz i już więcej mówić się o tem nie ważył.

Jednego wieczora Pawlika długo w izbie nie było,

a się ku nocy zabierało. W klasztorze szmer jakiś i bieganie posłyszał Janicz. Wpadł ktoś z czeladzi, obejrzał się po kątach i wybiegł.

Po chwili kapelan Lutold z rękami załamanemi, dysząc, przypadł do Janicza.

— Gdzie ten Pawlik wasz?

— Alboż ja wiem.

Uderzył się ksiądz po głowie i z izby nazad wypadł co żywiej.

Janicz domysleć się nie mógł, co się stało. Luzman, który już po piwie spał, rozbudzony poszedł na zwiady.

Wrócił nie rychło, chmurny, ramionami poruszając, kręcąc głową. Janicz dowiedział się od niego, że Pawlik konia pochwycił, ale i siostry Łucyi w klasztorze nie stało. Domysłano się, że dziewczę porwał i uwiózł z sobą.

Pogoń już na wszystkie strony rozesłano za niemi.

Słuchał osłupiały Janicz, bo mu się takie zu-chwalstwo w głowie nie mogło pomieścić. O godzinie, w której tu zwykle wszystko spało, ruch jeszcze był wielki, niepokój straszny.

Wracali ludzie z pogoni nadaremnej, o zbiegłych ni śladu, ni słuchu. Dopiero po północy zawrzało coś u furty. Klimek, dworzaniu ks. Jadwigi, z dwojgiem czeladzi wysłany, prowadził związanego Pawlika, ale poraniony był, pocięty, bo mu się bro-nił wściekle.

Wzięto i siostrę Łucję, zaklinającą się, iż bez jej woli, usta jej zawiązawszy, swawolny chłopiec na konia porwał i z łupem swym poczwalał w lasy.

Skępowanego, tak jak stał, posadzono wino-wając do kuny. Kara mogła go czekać sroga, bo księżna podobnych napaści przebaczać nie była zwy-kłą. Ludzie zuchwalstwu i złości, z jaką było dokonane, wydziwić się nie mogli. Mówili wszyscy zgodnie, iż za to szyję powinien był dać.

Nazajutrz, gdy się właśnie coś o sędzie i wyroku spodziewano usłyszeć, przyszedł Luzman do Janicza, splunął i rzekł:

— Otóż go już nie ma!

— Co? dano go ściąć?—krzyknął Janicz — a spowiadał że się?

Niemiec ręką zamachnął.

Z kuny się po nocy wylamał, lotr. o, już go nie kazano gnać.

Gdzieś przypadnie w lesie. bo się bodaj wyrwał bez broni.

W Przemankowie. u łóża starego Jazdona, cudem się z Lignicy wydobywszy, siedział ksiądz Zula, opowiadając mu opłakane dzieje najazdu tatarskiego, gdy drzwi się otworzyły i—ktoś stanął w progu.

Nie mógł zrazu poznać Zula kto był, bo strasznie odarto wyglądał przybyлец.

Zbliżywszy się doń dopiero, radośnie wykrzyknął, poznuając, iż ten, którego za zaginionego mieli, żyw przed nim stoi.

Stał się zarazem cud, bo stary Jazdon. który od lat tylu w połowie ciała władzy nie miał, na jedno oko nie widział, gdy o synu posłyszał i ruszył się, aby go uściskać, rękę obumarłą podniósł, oko zagasłe otworzył, na nogi obie powstał.

Niucha i Mucha, którzy przygotowani byli go podnosić, przerażeni widokiem tym, rozbiegli się krzycząc.

I była w domu radość wielka. ale krótka. Stary ojciec. któremu Bóg dał oburącz dziecko uściskać, tejże nocy usnąwszy, na wieki zamknął oczy.

Radość wielka uleczyła go i zabiła.

Zostal tedy sam nieletni chłopiec panem włości wielkiej i woli własnej. Zula, który pozostał przy nim, modlił się, aby teraz eugli sobie puściwszy, rychło nie przepadł.

Chociaż wychowawca swojego kochał bardzo, choć mu tu dobrze było i zaciszno, klecha po pogrzebie starego ledwie mógł kilka miesięcy przetrwać w Przemankowie. Istne się tu piekło poczęło, z którego ani wyrwać się z razu nie miał siły, ani mógł patrzeć obojętnie na to, co się działo. Walczył z sobą długo pocziwy klecha, aż dnia jednego, agendę pod pachę wzięwszy, parę swoich ksiąg w rękę, pieszo z gródka wypadł o kiju, i już go więcej tam nie widziano, bo do Ś. Jędrzeja do Krakowa powrócił.

KONIEC PROLOGU.

I.

Ćwierć wieku upłynęło od opisanych wypadków, i ci co wyrostkami pamiętali Dobre Pole pod Lignicą, mężami się stali, ci co starcami byli za pierwszej tatarskiej powodzi, do grobów dawno poszli spoczywać.

W wigilję Mateusza świętego, roku tego (1266), zmarł świątobliwy pasterz krakowski, Prandota. Jako błogosławionego już za życia, czczono go uroczystym pogrzebem. Cuda się działy u grodu.

Po osieroceniu stolicy krakowskiej, nowego potrzeba było obierać pasterza i kapituła cała zebrała się dla narady.

W izbie niezbyt obszernej, dosyć ciemnej, nim się jeszcze rozpoczęły rozprawy, z obecnych twarzy i postawy poznać było można, iż wiedzieli zawczasu, że zgodnego wyboru nie będzie.

Byli to po większej części duchowni lat średnich i podeszłych, twarze jednych wywiedłe i blade, drugich krągłe i mocno zaognione, wychudli i otyli — przedstawiali dwa obozy, tych, co żywot wiedli duchowy, zapominając na ciało, i tych, którzy pielęgowali je, staranie o duszy zostawiając ostatniej godzinie.

Jednym z tych, około których najwięcej się skupiano, z wielkimi znakami uszanowania, był ksiądz Jakób ze Skarzeszowa, starzec już bardzo

w lata podeszły, nic wielkiego wzrostu, niepozorny, szczupły, niziutki, z czarnemi ale mocno przczędzonemi włosami, skromny i bojaźliwy.

Był on i dziekanem krakowskim i scholastykiem bamberskim, i kanonikiem wrocławskim i papięzkim, a króla czeskiego kapelanem. Uczony prawnik, człek pobożny, miał u ludzi sławę, a zachowanie i w kapitule głos przeważny. Ten milczący stał, nachmurzony, z głową spuszczoną, zafrasowany, a zarzucającym go pytaniami, odpowiadał tylko ruchami dosyć obojętnymi, jakby zwątpił, iż tu się na co przydać może.

Ksiądz Gerard, proboszcz wiślicki, należący do rumianych, mistrz Szczepan otyły i słusznego wzrostu, a silny mąż, kanonik Wyszon, na którego okrągłym licu zdrowie bujno wykwitowało—na boku z sobą po cichu rozmawiali.

Iuni księża zbierali się też w gromadki i szepotali. Niepokój już się dawał czuć w kapitule, choć jeszcze nie zasiadła.

Na ostatek odnówiono modlitwę do Ducha świętego i wszyscy, miejsca zajmwszy, czekali, aż się kto odezwie pierwszy.

Z oczów widać było, iż na księdza Jakóba ze Skarzeszowa, jako najstarszego wiekiem, przodującego dostojęństwem, oglądano się.

Więc gdy ten i ów go potrzącał z lekka, staruszek jakby zmuszony, odezwał się słabym głosem:

— Mili bracia! Wzywaliście Ducha świętego, ten niech was natchnie. Kościołowi potrzeba takich ludzi, jakim był świętej pamięci, za życia ubłogosławiony Praudota i poprzednicy jego, wielcy kościoła obrońcy, wielcy kraju opiekunowie. Silnego męża obierzcie, takiego nam na nasze czasy potrzeba.

— Was by okrzyknąć! — przerwał mu jeden z bladych—uczeńszego nie mamy. pobożniejszym nikt być nie może, ani gorliwszym o wiarę.

Staruszek rękę podniósł i kończyć mu nie dał.

— Brzemie to nie na moje ramiona — o grobie myślę nie o infule

Ruch żywy ręki drżącej i głowy dokończył, czego ks. Jakób powiedzieć nie chciał. Stanowczo wyborn odmawiał.

Rumiano wyglądający kanonicy spojrzeli po sobie wesoło, dając sobie znak porozumienia. Uśmiechali się.

Mistrz Szczepan, ów mąż poważny, otyły, wesoły. pogodnej twarzy, dodał.

— Nam potrzeba pasterza w sile wieku, do tegiej walki zabartownego. Kościolowi zewsząd grozą książęta, nawet wrzekomo najpobożniejsi, jak ten pan nasz Bolesław. Potrzeba nam na stolicę żołnierza! żołnierza!

— Byle szermierzem Bożym był—odparł jeden z bladych z przekazem. I znacząco odchrząknął.

— Jeśli głosować mamy, a zdania podzielone—wtrącił kanonik Wyszczon—mówmy wprzód otwarcie.

— Tak! tak! otwarcie!—potakiwali mu drudzy.

— Zatem—przerwał Stefan głośno—ja mojego wnoszę i z innemi braćmi wielą. Mąż jest ducha wielkiego. Wprawdzie święceń niema, ale te otrzyma. gdy nań wybór wypadnie. Na Pawła z Przemankowa głosujemy. Pan jest możny, głowa otwarta, mąż żelazny.

Szmer się dal słyszeć, który różnie tłumaczyć było można. Wszyscy bledzi i wyschli kanonicy wstali jako jego jeden mąż. Kanonik Janko z oczyma ognistemi, ascetyczną twarzą, nderzył ręką niecierpliwie o lawę.

— Nigdy w świecie się na niego nie zgodzimy. Wilka chcecie wprowadzić do owczarni! Osławiony człek, na żołnierza zdatniejszy, niż na biskupa, cielesnym chnciom brzydko ulegający, praw naszych kościelnych mało świadomy. Człowiek. rzeknę śmiało, zepsuty i niegodny.

Halas powstał, zakrzyczano mówiącego.

— Potwarze to są, głosy nieprzyjaciół tego do-

stojnego męża! Mocnego ducha i dloni człowiek. My za nim! za nim!

— A my przeciwko niemu! — odparli niemniej gwałtownie drudzy.

— Nie wiecie chyba — wołał, usiłując się dać słyszeć kanonik Janko — nie wiecie, jakie życie wiódł, ile popełnił gwałtów, ile rozsiał zgorszenia. Człek to, któremu suknia nasza nie przystała. Niech Bóg nas uchwowa od pasterza takiego.

Rumiani i opaśli zahuczeli tak, iż dalszą mowę kanonika stłumili. Na ławach i siedzeniach ruch powstał gorączkowy, mistrz Szczepan wołał:

— Ten, lub żaden! ten, lub żaden! Gdy ksiądz Jakób nie chce, Pawła wybierzemy!

— Zlitujcie się, ludzie zaślepieni! — krzyknął z wysiłkiem Janko — kościołowi płamę na białą szatę jego rzucicie!

Rozwarł ręce jak do modlitwy.

— Panie! odwróć od nas ten srom i klęskę!

Paweł z Przemankowa biskupem! — krzyczeli tłusci, — kapitały znaczujeś za nim.

— Chyba dla tego, że was karmił i poił zjechawszy tu umyślnie, żeście u niego dobrej myśli zażywali nad miarę — wołał blady ksiądz Janko. — Na dusze wasze baczcie, nie sprzedawajcie kościoła za półmisek soczewicy!

Rumiani i tłusci śmiechem go szyderskim gluszyli.

— Nam tu nie świętoszków potrzeba, ale dzielnych jak ten człek! — krzyczeli, głosy podnosząc.

— Nieuk jest! — przerywano.

— Co? nieuk? — podchwycił ksiądz Szczepan.

On, nie nie umiejąc, więcej wymyślił i zgadnie, niż wszyscy, co nad pergaminami i papierem zęby zjedli. Bystry umysł, serce gorące! Pójść on górą a z nim i biskupstwo nasze, i prawa, i dochody.

— Nigdy w świecie sprośnemi obyczajami skażonego gwałtownika, nie dopuścim na stolicę — zawrzał

ksiądz Janko. — Pół kapituly protest zaniesiel Pójdziemy do Rzymu! Nie dopuścim go! Syzma będzie.

Żagotowało się mocno, kanonicy rozstąpili na dwa obozy przeciwne. krzyki za i przeciw wyrywały się równie namiętne, powstało zamięszanie i wrzawa... Ruszano z miejsc na środek, a koryfeusze obu stronnictw gorąco się z sobą ucierać zaczęli.

Ksiądz Jakób ze Skarzeszewa siedział w swem miejscu z głową ku ziemi spuszczoną, w twarzy jego ból się malował i smutek przejmujący. Do sporu jednak czynnie mięsząc się nie chciał.

Zapomniano prawie o starcu, a on zatopiony w myślach, może też równie odbiegł od kapitularza.

Nie było najmniejszej nadziei, aby do porozumienia przyjść mogło.

W końcu nadaremnym sporem wszyscy byli znużeni, otyli ocierali pot z czoła, bladym usta zasychały. Narada skończyła się stanowczem rozłamaniem na dwa stronnictwa nieprzejednane, które sobie wojnę wypowiedziały.

Tymczasem noc nadeszła, kapituła rozpiezchła się rozgorączkowana. Domowa wojna gotowała się w jej łonie.

Gdy jedni śpiesznie ztąd wychodzili, rozprawiając jeszcze z sobą głośnie w sieniach i podwórzu, coraz śmielej i zuchwalej, ksiądz Jakób pozostał w swej ławce, czapeczkę tylko wdziałwszy na głowę.

Wiek jego, rozum, doświadczenie, czyniły go na wszelkie ludzkie słabości wyrozumiałym. Co drugich rozjątrzało, dla niego zwykle wytłomaczonem było. Litował się tylko.

Patrzył na wychodzących, sam już zwolna przygotowując się do wyjścia, gdy ujrzał przed sobą stojącego kanonika Janko z głową na piersi spuszczoną, rękami na piersiach skrzyżowanymi. Brwi miał ściągnięte i usta zagryzione. Był to mąż surowy, nieustraszonego ducha.

— Złe czynicie— odezwał się otwarcie do sta-

ruszka. — Przebaczcie mi, że do was odzywam się tak zuchwale! Żle czynicie, odrzucając infułę! Należała wam ona! a wy jeszczeście jej potrzebniejsi niż ona wam. Choćby dla tego należało po nią rękę wyciągnąć, aby jej nie pochwycił kto inny — niegodny!

I pięść jedną podniósł do góry.

— Polowę kapituły spoił, nakarmił, drugą obietnicami ludzi. Wszystkich obalamucił człowiek ten, który będzie nam zakałą. Paweł z Przemankował biskupem! — dodał ironicznie — toćby równie na Lucypera i Belzebuba głosować mogli! Ojczu Jakóbie! ratujcie! póki czas!

— Janko miły — rzekł łagodnie ksiądz Jakób — nie unście się. Nic to nie pomoże. Niedoścignione są wyroki Boże! My we dwu czy w kilku nie przeżyjemy kapituły! Oni go obiorą!

— Tośmy zginełi! — namiętnie wykrzyknął Janko.

— Ale nie! — rzekł zimno ksiądz Jakób. — Przez jednego człowieka ani kościół, ani dyeceza zginąć nie może.

Wybiorą — różgę Bożą na samych siebie.

Spuścił głowę.

— Choćbym sam jeden przy swem pozostać miał — dolożył Janko — nie ustąpię! protestować będę. Sumienie mi nakazuje.

— Ja z wami protestować będę — dodał starszek — ale bez gniewu, tak jak mnie widzicie... spokojnie! Namiętność nawet w dobrem złą jest, bo zaślepia. Strzedz się jej potrzeba zawsze.

To mówiąc, małeńki człowieczek wysunął się z ławy, rękami objął księdza Janko — i potupał ku drzwiom wyjrzeć, czy chłopak nań z latarką czekał.

Kanonik chodził jeszcze po izbie kapitułnej, uspokoić się nie mogąc. Mierzył ją krokami wielkimi, sam do siebie mówił, zżymał się, śmiał szydersko — gdy kroki dały się słyszeć z sieni, pytania jakies

powtarzane żywo i do kapitułarza wpadł pośpiesznie ks. kanonik Szczepan.

— Ja was szukam, bracie — odezwał się od progu.

Zagadnięty podniósł głowę i zmierzył go oczyma z wyrazem nieukrywanej pogardy.

— Jeszczeście się nie wyburzyli! — dodał pierwszy.

Ksiądz Janko nie odpowiadał.

— Wróciłem umyślnie, aby pomówić z wami — ciągnął dalej. — Wasz opór przeciw wyborowi Pawła nie zda się na nic, a narazicie sobie człowieka, który nigdy nie przebacza. Radzę wam, bo was szacuję, nie chcecie głosować? macie sumienia wątpliwość, usnąć się.

— Właśnie to sumienie stać mi każe! — odparł dumnie ksiądz Janko.

— Nie sprawicie nic.

— Ale spełnię powinność — począł rozgrzewając się ksiądz Janko. — Księżu Szczepanie! Boga miejcie w sercu, pamięć miejcie na świętych poprzedników, co siedzieli na tej stolicy; nie prowadźcie na nią człowieka, któremu byście ochmistrzostwa w domu nie powierzyli. Znaćcie go jakim jest! Psy mu są droższe niż ludzie! Życie wiódł bezżenne z nałożnicami, które do dziś trzyma. Mężobójca! gwałtownik, pieniacz, mściwy! A wy go chcecie postawić na świeczniku tym, obok najstarszego księcia, którego on jest wrogiem!

— Właśnie dla tego, że mu jest wrogiem! zgadliście — przerwał Szczepan. — Księżu Bolesław pobożny, czystych obyczajów jest, ale słaby, ale niedołężny. Nam tu innego potrzeba!

Tu się wstrzymał.

— *Ranae regem petentes!* — rozśmiał się szydersko a boleśnie ksiądz Janko. — Chwycił czapkę z ławy i chciał uchodzić, gdy ksiądz Szczepan go zatrzymał.

— Ojczel! to wasze ostatnie słowo?

— Dwu ich nigdy nie miałem. Pierwsze moje jest zawsze ostatniem! — odparł sucho ksiądz Janko.

I stuknąwszy drzwiami, wyszedł.

Ksiądz Szczepan wziął się za boki, popatrzał za nim, podumał trochę, ale po krótkiej chwili, gdy sługa się wsunął do kapitularza, aby w nim lampki pogasić—i on wyszedł w ulicę.

Dziesiątek może drewnianych domów z ogrodami dzieliło budynek kapitulny od dworu, do którego dążył. Można było zdala poznać, że tu ktoś zamożny przemieszkował. W podwórzcu paliła się beczka smolna, jako zwyczajnie stawiano tam, gdzie wieczorną dobą goście byli proszeni, a koniom i ludziom w podwórzcu przyświecać było potrzeba. Około niej gromadziła się czeladź służebna, konie i wozy. Beczka piwa, do której szli czerpać, służyła do rozrywki i wesoło wykrzykiwały pacholeta z niej obficie czerpiące.

Okna domu jaśniały wszystkie oświecone, a za każdym drzwi otwarciem słychać było rozhovor i śmiechy wybuchające ze wnętrza.

Od kuchen w podwórzcu szli ludzie z misami do dworu nieustannie, służba zwijała się rażno. Sieni pełne były psów, które z trudnością ludzie drzwi pilnujący precz mogli odegnać, bo się jak nawykle dobijały do komnat pańskich i skomlały.

Gdy ksiądz Szczepan wszedł tu, znalazł wielką izbę już gości pełną. Przeważnie byli to duchowni, lecz niezbyt ściśle przestrzegający przepisy, które strój, włos i powierzchowność ludzi tego stanu określały. Ledwie ich od świeckich i rycerskich panów można było rozróżnić z tego, że trochę mieli głowy wygolone w pośrodku, oręża nie nosili, a suknie ich ciemniejszej barwy były.

Ale pasy, bramowania, kolnierze ich ubrań zdradzały niemal u wszystkich chętkę emancypowania się z surowych ustaw synodalnych.

Wszyscy ci panowie zażywni byli, twarzy okrągłych, barczysci, rumiani i pokory, a świątoliwości wcale po nich domyślać się nie było można.

W pośrodku między niemi, pół głową ich wszystkich przerastający stał mężczyzna, jak żubr zbudowany, w siłę wieku, z twarzą, dosyć przystojną w stroju pół świeckim, rozpiętym wygodnie, obiema rękami żyłastemi trzymając się za boki

Postawę miał pańską, dumną, nakazującą. Oblicze to było godnem wpatżenia się w nie pilnego, bo jedno wejście nie starczyło do zbadania go. Miało ono i dar przypodobania się i razem coś odpychającego. Oczy naprzemian były to wabiące, to groźne. Twarz, która jeszcze zachowała pewną świeżość młodzieńczą prawie, dziwnie ruchliwa, potargana, konwulsyjnie się fałdowała i drgała, niestając bynajmniej ukryć uczuć wewnętrznych, których była wiernym obrazem. Człowiek był co klamać nie umiał i nie chciał, zbyt będąc na to dumnym.

Wśród otoczenia swojego, gdy po niem okiem wiódł, widać było, że tu nikogo równym sobie nie uznawał, że czuł się wyższym nad tych ludzi, a pewnym, iż z niemi uczyni co zechce.

Był to ten sam Pawlik, co kilkunastoletni walczył pod Lignicą, co potem szalał lata długie, co młodość przeszałał, przepołował i przeucztował, a któremu przyszła myśl w ostatku, gdy mu się wszystko przykrzeć zaczęło, zostać—księciem kościoła!

Była w tem fantazja pańska, ale i duma człowieka pragnącego panowania. do którego czuł się stworzonym. Można pan nie mógł się jednak dobić stanowiska jakiego pożądał.

Najłatwiejszą ku temu drogą zdało się obrać stan duchowny, a w niem energią się dorabiać tego, co na innej drodze zdobyć było niepodobieństwem.

Biskupi stali wówczas na równi, jeżeli nie wyżej, niezależniej od książąt świeckich. Rzym był daleko, a władza potężna.

Raz postanowiwszy to Paweł, z tą siłą woli, jaką miał, gdy czego pożądał, zgrzybiałego dawnego nauczyciela swego, dziś księdza Zulę, będącego

gdzieś wikarjuszem około Bochni, wydobył z ukrycia, wziął się z nim do nauki nanowo, i chwycił co było stanowi duchownemu niezbędnem.

Obdarzony pamięcią nadzwyczajną, zdolnościami wielkimi, łatwo sobie przypominał to, czego początki wziął był niegdyś od klechy. Resztę chciwie polykając, jeśli nie zupełnie przyswoił sobie, to dotyla zrozumiał, iż obejść się bez niej zręcznie potrafił.

Na myśli już mając przyszłe opanowanie stolicy biskupiej w Krakowie, zawczasu Paweł zaczął ugaszczać i jednać sobie kapitułę, z razu przybierając postawę skromną, a gdy lepiej ludzi poznał, oswobadzając się od przymusu tego. Siedział w Krakowie umyślnie, stół trzymając zawsze dla kapituły nakryty, obdarzając kanoników, śląc im beczułki z winem i zwierzynę, na którą polować nie przestawał po swoich i cudzych lasach, choć nieco już się z tą namiętnością ukrywał.

Pierścienie i łańcuchy ze skarbca pana Pawła szły na palce i piersi kanoników. Staruszkowie wielbili szczodroblivość jego, podobała się im wesołość, a ci, których wielka surowość i świętobliwość Prandoty znużyła, znajdowali go daleko wygodniejszym, bo i sam dla siebie ostrym nie był i dla drugich obiecywał patrzeć przez szpary.

Wśliznął się tak do kapituły łatwo pan Paweł, choć święceń nie miał. Działo się to tak jakoś zręcznie i stopniowo, że, nim się ludzie opatrzyli, czem to grozi, on już zdobył sobie pożądane stanowisko.

Życie swe nakłonił wprawdzie do planów przyszłych, ale go nie zmienił wcale. Myśliwstwo, które namiętnie miłował i teraz dlań było najulubieńszą rozrywką, popisu z niej tylko nie czynił. Na dworze niewieścia usługa do zbytku liczna, dobrana wdziękami i młodością niezbyt się nawet ukrywała z sobą. Nie jedną noc przy kubkach prześpiewano za stołem u niego, niekoniecznie pobożne nucąc pieśni.

Ale za to na nabożeństwa Paweł szumnie i dwor-
no niechęszczał, pokazywał się na nich, do wspaniało-
ści ich wiele przyczyniał.

Baldachiny, chorągwie, świeczniki, kręgi woskn
olbrzymie, kielichy i naczynia wspaniałe rozsylał
kościółom.

Tem potrafił sobie zjednać miłość znaczniejszej
części kapituły i w porę rzucił tę myśl jej, iż on ja-
ko nikt na pasterza pod te czasy był stworzony.

Miała czas ona nrosnąć, nim zmarł ks. Prando-
ta, a po jego zgonie zauszniczy Pawła, głośno i śmia-
ło się z nią odzywać zaczęli. Nie całe jednak dn-
chowieństwo nleгло zastawionym siódom — snrowsi,
baczniejsi ani się dali njąć, ni zaślepić. Tych opór
wybncznał teraz silny, nieprzebligany i na dwa obo-
zy rozdzielił kapitułę.

Przyjaciele Pawłowi co z razu nfali w to, iż
zakrzyczą i przemogą, zaczynali się obawiać zbyt
jawnego oporu i rozbicia.

Po tem pierwszem zebraniu kapituły rozjaśniło
się bardziej jeszcze, iż wybór nie łatwo przyjdzie
do skutku.

Lecz do walk przywykły Paweł z Przemanko-
wa, wcale się tem nie zrażał, ustępować nie myślał—
owszem, trudność ta zagrzała go jeszcze.

Otaczali go teraz sami ci, co mu ciałem i dn-
szą byli oddani. Wszystkie owe ramiona i błogo
uśmiechnięte postacie, co w kapitule za Pawłem gło-
sowały, znalazły się wieczorem na jego dworze.
Kilku ziemian i starsza służba pańska, dopełniali we-
sołego towarzystwa.

Gdy wszedł ks. Szczepan, jak zawsze htno
i zamasyście, wszystkich oczy padły nań. Był to
główny pracownik w pańskiej winnicy.

— No! ojczel! Co nam tam przynosisz?—zawołał
Paweł wesół.— Czy w sak nasz choć jedną a dobrą
ułowileś rybę?

Ks. Szczepan ręce rozstawił.

— Próżny więcierz wyciągnąłem! — odparł. — Woda wielka, ryby się nie łowią.

— No! no! — odrzekł gospodarz — znajdziemy może środki by je napędzić.

To mówią, choć twarz zmarszczył, nderzył się rażno po bokach.

Wszyscy ku niemu patrzyli, a gdy on powiódł po nich wzrokiem, znalazł na twarzach drnów pewne niedowierzanie.

— Obliczywszy głosy najściślej — odczuwał się ks. Szczepan — nie będziemy mieli żadnej większości. Umysły poburzone, nikt się nie cofnie. Trudna sprawa.

Paweł w boki się njąwszy, przeszedł po izbie parę razy. Nie widać było po nim najmniejszego zwątpienia. Czoło się nieco marszczyło więcej od myśli niż od troski. Dncha nie tracił.

Skinął potem na ks. Szczepana, jego i kilkn wybranych dnchownych wywodząc do bocznej komory.

Na przyszłego biskupa izba ta dosyć dziwnie urządzoną była.

Wprawdzie na stole leżała wielka księga jedna i pomniejszych parę, stał krucyfiks — ałe na ścianach sterczały jelenie rogi, a na nich wisały trąbki, kołczany, oszczepy myśliwskie i miecze. Obok biblij z malowanemi obrazkami niedopity knbek się zapomniał i chnsta szyta wzorzysto, jakby niewieścia.

— Nie można prostą drogą dojść — odezwał się Paweł gromadząc koło siebie dnchownych — to trzeba sznkać objeżdżki. I na łowach często zwierza z bo-ku osaczać trzeba!

Co począć!

Niech się kapituła rozerwie! niech się rozejdzie! Niech jawnie wystąpią ci, co są przeciwko mnie.

— A cóż z tego? — zapytał ks. Szczepan.

— Posłuchajcie no — zimno poczał Paweł. — Wy ks. Szczepanie i ks. Wyszon mnsicie mnie zdradzić i dać się nawrócić! Tak! Gardłujcie przeciwko mnie! proszę! a gorąco! a bez miary! Mówcie, żem taki

i owaki, bez czci i wiary! Nie szczędźcie! Znajdziecie czem mi rzucić w oczy!

Uśmiechnął się to mówiąc lekceważąco i ciągnął dalej:

— Gdy wybór stanie się niepodobnym, przyjdzie do naznaczenia arbitrów, bo innego sposobu nie ma. Wy w kapitule macie wagę i powagę, musicie tak czynić, ażeby was w nagrodę za waszą ku mnie zdradę wybrano. Reszta! mówić jej wam niepotrzeba!

Plan ten tak śmiało nakreślony zdumiał wszystkich mocno. Ks. Szczepan nawet milczał długo.

— Czy zechcą nam uwierzyć, gdy się przeciw Wam zwrócimy?—przebaknął.

— To wasza rzecz!—zawolał Paweł.—Od jutra musicie przeciw mnie wykrzykiwać okrutnie, a macie tak, aby do wyboru żadnego nie przyszło! Zmęczą się w końcu przewielebni. Stolica długo opróżnioną być nie może. Zdadzą się na arbitrów! zdadzą!

I śmiał się spozierając po słuchaczach.

— Zwlękać potrzeba, nie napędzać—dodał—rozrywać, mieszać szyki. Niech się zawieruszy, zakotłuje w kapitule, tak, aby już innego zbawienia nie było, jeno w arbitrach.

Rzucona myśl ntkwila widocznie w głowach działaczów, poczęli rozprawiać żywo. Paweł słuchał patrząc na nich z góry.

Jakim wzrokiem! Gdyby z nich który był zrozumiał to wejście zwiastujące pana i najstraszniejszego despotę!

— Mnie nie pilno—dorzucił dawszy się im wygadać.—Spodziewamy się legata papieżkiego, tymczasem wyjadę naprzeciw, aby go sobie pozyskać. Reszta robi się sama. Oporu tych ludzi nie złamię inaczej, jak zwłoką. Niech się wybór odkłada.

Niektórzy probowali zarzuty czynić, lecz ks. Szczepan, który już plan ten sobie przyswoił i korzyści jego zrozumiał—całkiem się z nim godził.

Ks. Wyszon małowrotniejszy, dawał tylko znaki, iż nań przystawał także i rolę, jaka nań przypadała. przyjmował.

Rozmawiali jeszcze, gdy starszy komornik Pawłów dał znać, że do wieczerzy czas zasiąść było.

Szli więc na przeciwek wszyscy, gdzie ona zgotowaną już stała, a że Paweł ucztować umiał i lubił, zawczasu wierna jego drużyna wiedziała, czego się spodziewać miała.

Po książęcemu przyjmował elekt przyszyły. Sama woń potraw lechtała podniebienie. Najdroższe przyprawy korzenne, które ze Wschodu sprowadzano, drażniły powonienie z mis na wpół poławkami wpół nieściwem przepelnionych parując. W pośród nich inne nałożone były owocami i przysmakami, a gęsto wszędzie porozstawiane dzbany obiecywały wesolą biesiadę.

U drzwi też grajków nie brakło. Służba, z chłopców wyrostków złożona, niewieście prawie wyglądających, nie można było ręczyć, czy się choć w części z dziewcząt, po męzku przyodzianych, nie składała. Na stołach kwiatów nawet i liści wonnych ponarzućcano, aby zapach ich więcej gości odnrzał.

Samem powietrzem tej jadalni upić się już było można.

Jeden z duchownych, więcej ze zwyczaju niż z pobożności, z roztargnieniem, po cichu odmówił modlitwę, stół przeżegnał, a drudzy ledwie ręce popłukawszy i otarłszy, co żywiej miejsca zajmowali.

Nic było bowiem obojętnem, kto gdzie usiądzie, bo mis naówczas nie roznoszono, stawiano je pośród stołu i kto co miał przed sobą, po to sięgał. Należało się więc pilnować, aby zbyt daleko od pachnącej nie usiąść misy, a nie potrzebować rąk wyciągać i do cudzej się dobierać.

U Pawła z Przemankowa obawa była mniejsza, bo misy prawie się z sobą stykając, stały gęsto, co szczodrośliwość gospodarza oznaczało. Załedwie zaś

która opróżnioną była, chłopaki owe, uśmiechnięte figlarnie, których po gładkich licach głaskali panowie, żartując z nimi,—natychmiast nowe zastawiali. Podczaszy, bardzo piłny, nalewał wciąż, do spełniania zachęcał. Wino też było gotowane, zaprawne i słodzone, mile się pić dające, choć do głowy szło prędko.

Zasiadłszy do tej uczyt duchowni, zdawali się o powołaniu swem zapominać. Paweł, który jadł nie wiele, uśmiechał się, patrząc jak ręce w misach czerpały żwawo, a pootwierane usta pokarmy chętnie pochłaniały. Rozmowy stroiły się na ton wesoły—dowcipkowano.

Gospodarz z niejaką litością, jeśli nie z rodzajem pogardy patrzył na swych gości.—Trudno było myśli jego odgadnąć. Dumał.

Z razu szmer słyhać było tylko, przerywany śmieszkami, dalej, gwar rosnąc stał się taki iż cichej gędźby u drzwi nikt już nie słyszał. Ta też, piwem się racząc, odpoczywała. Gęsto kręciły się żwawe chłopaki, z gośćmi sobie śmieszki strojąc potulałe.

Gdy po północy ostatni z gości powstawali, ociężałym krokiem sznkać płaszczów i opończy, aby się zawłec do domów, gospodarza już u stołu nie było dawno. Znikł im niepostrzeżony, a ksiądz Szczepan i kanonik Wyszon także się wcześniej wymknęli.

Nazajtrz znowu gromadziła się kapituła, tylko księdza Jakóba ze Skarzeszowa nie było.—Ten wiedział, że się już tam na nie przydać nie może.

Pierwszy wystąpił kanonik Janko z długą, ułożoną zawczasu mową przeciw eklekcyi człowieka, na którego życie, przeszłe, gwałtownie powstał, w żywych je malując barwach. Oczy miał zwrócone na księdza Szczepana, który dnia tego stał niemy, posępny i nie odzywał się wcale.

Inni przyjaciele Pawła występowali gwałtownie—on—milszał.

Gdy się tak burzyło srodze, jeden z przyjaciół pana z Przemankowa wezwał księdza Szczepana, aby przeciw stanął w obronie tego, którego stronę popierał.

Uparte milczenie zdumiało wszystkich.

— Mili ojcowie — odezwał się jakby z wysiłkiem wielkim i skrnchą. Dzisiaj nie mówić nie będę, bom w sumieniu mojem powziął wątpliwość... Wolę się wstrzymać.

Zdziwiło to najmocniej kanonika Janko. Spojrzał nań ostro.

— Tak — dodał Szczepan — wy przyczyną tego jesteście, że się zachwiałem. Nie powiem, ażebyście mnie nawrócili, ale zachwianym się cznję.

Janko zbliżył się doń, objął i nścisnął. Wtem kanonik Wyszon zamrnczał.

— Ja także.

Ledwie słów tych dokończył, wrzawa powstała ogromna od drużyny Pawłowej, zaczęto wołać, iż zdrajcy są niegodni, zmiennicy, z których ust ciepło i zimno na przemiany płynie.

Srodze się njadano wzajem, tak, iż to posiedzenie burzliwiej się jeszcze skończyło, niż poprzedzające, a ksiądz Szczepan i kanonik Wyszon opuścili je ścigani wyrzutami najgwałtowniejszemi.

Zgody nie było — noc przyszła jako rozjemca, sporom kładąc koniec.

Ksiądz Janko, nadzwyczaj szczęśliwy, Bogu dziękował za cudowne nawrócenie obłąkanych, a nazajutrz po tem, co spotkało księdza Szczepana i Wyszona, już ich liczył do swoich. Tych dwu nie dawało jeszcze większości. Zwołano kapitułę na nowo. Rozeszła się gorzej jeszcze podrażnioną i rozdwojoną.

Szyzma zupełna groziła. Ksiądz Jakób ze Skarzeszewa radził dać czas do rozwagi, namysłu i modlitwy... Lecz z dniem każdym nmyśły się mocniej rozgrzewały, niechęci wzajemne rosły.

Naostatek rzucił ktoś cicho myśl, aby, unikając gorszących waśni w łonie kapituły, wybrać arbitrów trzech i im stanowczy wybór powierzyć.

Nim jednak do zgody na to przyszło i do wyznaczenia rozjemców, niemało upłynęło czasu.

Ksiądz Janko stojący na czele tych, którzy przeciw wyborowi Pawła opór stawili, zachorował mocno. Inni wodza pozbawieni, gdy i ksiądz Jakób ze Skarzeszowa na kapitułę nie przychodził — osłabli znacznie na duchu. Ciągnęło się bez końca bezkrólewie, nużące już wszystkich, nawet najcierpliwszych.

Jednego wieczora niespodzianie zaczęto się dominać o wybór arbitrów. Jak przewidywano, padł on na księdza Szczepana i kanonika Wyszona, potajemnie sprzyjających Pawłowi z Przemankowa.

Dnia tego był on już pewien, że obranym zostanie i sposobił się do tego.

Pomiędzy duchowieństwem świeckiem i zakonem Krakowa i okolicy, o przyszłym biskupie najsprzeczniejsze chodziły wieści. Tęskno oczekiwano pasterza i wodza, a Dominikanie i Franciszkanie codzień się o to do Ducha świętego modlili.

Aż dnia jednego uderzono we dzwony o niezwykłej godzinie. Ruch wielki widać było około kapitułarza i wołanie w ulicy.

— *Habemus Episcopum!*

Ludzie, którzy tęsknie oczekiwali na to, nie pytając już o imię, poczęli biec do kościołów, księża do ołtarzów aby zanucić zwyczajnie — *Te Deum*.

W świetnym orszaku tych, co po niego pośpieszyli, Paweł tryumfujący jechał do kapitułarza, w którym z posepnemi twarzami pół duchowieństwa oczekiwało nań w głębokim smutku, ze łzami w oczach.

Błądy, ledwie z choroby powstawszy, ksiądz Janko, łamał dłonie powtarzając:

— Zbaw Ty nas Panie, bo upadliśmy głęboko,
i ręka Twa chyba podźwignąć nas może.

Lnd widząc Elekta wołał:

— Niech żyje!

Za nim szli arbitrowie nśmiecchający się do siebie...

II.

Pod Krakowem, u Prąduika na Skale, gdzie niedawno stanął klasztor Klarysek, przez królowę wdowę, Bolesława krakowskiego siostrę rodzoną, Salomeę, założony — smutnego dnia jesieni widać było jakiś ruch, niezwykle w tem miejscu ciszy i spokoju.

Ustronie to, wzniesione wysoko, odosobnione od świata, oddzielone od niego nie tylko murem, ale całym życiem swym, kryło w swym wnętrzu drną Jadwigę pobożną, naśladownicę jej, Salomeę.

W święte niewiasty wiek to był obfity, bo i Kinga poślubiona Bolesławowi, bratni Salomei, szła w tamtych ślady, a w tropy swej świętej patronki, Cesarzowej Kunegundy.

Ten poryw ducha ku niebiosom, z pogardą wszech ziemskich rzeczy, zaraźliwym był! Imał się on najpiękniejszych kwiatów, szerzył po książęcych dworach.

Zawierano małżeństwa aby żyć bezdzietnie i z osobna, nie zbliżając się do siebie, zdejmowano szaty kosztowne, dla przyozdabiania kościołów niemi—nie widziano nic, oprócz niebios nad sobą.

Niewiasty pobożne nawracały mężów; mężowie szli za nimi posłuszni. Rycerstwo świeckie przestaczało się w duchowne, włosiennice zastępowały zbroje. Śmierć była celem nie życie.

Na Skale ze swemi Klaryskami dokonywała tak

świątobliwego żywota Salomea królowa, równie pobożna jak Jadwiga Ślązka, cichszego ducha, zatopiona w sobie, osamotniona, bezdzietna, wyschła od dobrowolnego męczeństwa. Przyszła tu pod sam Kraków położyć się ze swym obozem zakonnice, może dla tego, aby żonę brata zyskać uiebn a wyrwać małżonkowi.

Z Salomeą częściej obcowała księżna Kinga, niż z mężem, którego unikała. Tu jej najlepiej było; wzdychała do tego świętego ustronia.

Posły codziennie biegały z Krakowa do Skały i ze Skały do Wawelu.

Na drodze co kilka dni widać było kryty wóz pani Kingi, śpieszącej do królowej, którą czeła jak matkę. Raz tu przybywszy pobożna pani, wyrwać się ztąd nie mogła.

Dnia tego niespokojne poruszenie jakieś panoowało od rana w klasztorze. Królowa Salomea przepowiadała śmierć swoją. Przerażone siostry wysłały po księżnę Kingę, po kapłanów i lekarzy.

Lecz, nic się nie zdawało jawnie końca tego zwiastować świętej pani, która mówiła o nim z uśmiechem i spokojem. Jak codzien, kazała się wieść na modlitwę, klęczała na niej długo, na lieu jej białem, ślicznem, anielsko wypogodzonym, choć wiek je już okrywał zmarszczkami, młodość ducha nieśmiertelnego jaśniała. Coś niebiańskiego promieniało z oblicza, którego ani starość, ni cierpienia nie potrafiły zasępić.

W tych rysach lekko poszczerbionych, zdała się z wnętrza na wskrós przebijać młodość niespożyta czystej duszy. Nie była to owa Jadwiga Ślązka z twarzą surową i groźną, która o walce jakiejs z sobą i światem świadczyła.

Na jej obliczu jaśniało już zwycięztwo i niezważona niczem cisza błogosławiona.

Tamta karciała często, widziała w ludziach grzech ukryty, sięgała wzrokiem do ciemnych głębin—ta patrzyła w niebo i już, oblubienica niebieska, z oczyma

zwróconemi ku światłości, która ją zaślepila, nie znała może świata.

Anielska ta postać tem się wydawała jaśniejszą, iż orszak towarzyszących jej sióstr Klarysek, wcale różną miał barwę.

Były to niewiasty i dziewczęta pozbierane z różnych stron, z różnych stanów, przez miłosierdzie, w większej części nieobyte jeszcze z życiem zakonnem, które, choć je starsza matka, czeska Klara, starała się nalamywać do surowej reguły—dziko się z niej wyrwały. Przykład pani nie starczył, a Salomea surową być nie umiała. Serce miłością wielką osłaniało wszelką winę.

Dziwnie wydawały się te młode siostry Klaryski, gdy się tylko cokolwiek z pod surowego oka Klary wyrwać mogły.

Naówczas w tych jeszcze nieokielznanych dziewczętach, odzywały się pragnienia świata, tęskniące za swobodą, pokutne pieśni przychodziły im na pamięć, wspomnienia dziecięcych lat i życia wśród ludzi.

Wybiegały do ogródka, ku murom, ku wrotom, aby choć tchnąć wolniej, choć okiem rzucić dalej, choć popłakać i pośmiać się cicho. Matka Klara miała z tą swą trzodką niebardzo sworną, troskę wielką, a gdy się na to skarżyła, królowa Salomea odpowiadała jej łagodnie.

— Łaska nie przychodzi od razu, z pokusami walczyć potrzeba, czas i modlitwa oczyszcza i wybiela te duszyczki.

Najpiękniejszą z tych siostrzyczek młodszych, ale najmniej dająca się powodować matce starszej, była Bietka z Krakowa. Ojciec jej, zubożały ziemianin, był jakimś urzędnikiem przy książęcym dworze; on i matka odumarli ją siostrą bardzo młodo. Kięga pani dała ją na wychowanie Salomei, ulitowawszy się opuszczonej. Cud był urody to dziecko; czarne oczy ogromne, usta małuśkie, nosek prosty jak

wyrzeźbiony, niskie gładkie czoło, policzki rumiane i cała postać zręczna, gibka, zwinna, silna. Coś wschodniego, niby południowego miała w licu, pleć odrobinę śniadą, w wejrzeniu ogień wielki i śmiałość.

Taką, jaką się dzieckiem obiecywała. wyrosła szesnastoletnią. Mimo klasztornej surowości — dziką, nieunoszoną, buntującą się duchem. A że wszyscy ją dla nadzwyczajnej piękności lubili i dużo pobleźali, królowa Salomea się nią opiekowała wraz z Kingą, matka też Klara nie karmiła jej zbyt surowo. Przyszła zakonnica rosła sobie dość swobodną.

Przychodziły na nią dnie i godziuy, gdy się w pobożność wielką rzuciła gwałtownie, wszystkie inne siostry prześcigając w postach, modlitwie, biczowaniu i mękach, jakie sobie zadawała.

Wśród tych uniesień namiętnych, często upadała na siłach — zniechęcała się, i jakby nie otrzymała tego co się spodziewała. zrażona, buntowała się potem straszliwie.

Pod pozorem choroby kryła się po kątach, biegła po ogrodzie, widywano ją płaczącą, leżącą na ziemi, wołającą śmierci i wyzwolenia.

Królowa, uwiadomiona o tem, przypisywała to szatanowi, matka Klara radziła leczyć modlitwą, lecz nie pomagało nic, aż siły się wyczerpały, wróciło odrętwienie, spokój, rozpacz niema, a po niej nowe porywy i modlitwy.

Mimo tych dziwacznych przemian, wiele sobie po niej obiecywano. W klasztorze, wśród dziewcząt innych, ona była niby panią, ona widziała najjaśniej, rozumiała wszystko najlepiej, uczyła się najłatwiej — gdy chciała. Głos jej, w kościele gdy śpiewała, poruszał do lez czasami, słuchając jej, zapominano o modlitwie. Miała łzy i łkanie w głosie.

We wszystkich niewieścich robótkach, dozwołonych zakonnicom, ona celowała. Zdalo się, jakby się ich uczyć nie potrzebowała, jakby z sobą na świat wiadomość ich i wprawę nawet przyniosła.

Dość jej było spojrzeć na coś, aby wynasładować, odgadnąć, coś swojego dodać jeszcze.

Jedną z cnót, jakich reguła wymagała, pokory i łagodności, najtrudniej wpoić jej było. Choć się czasem do nich zmuszała, natychmiast krnąbrna natura brała górę, twarz płonęła dumnym wyrazem, oko się czarne zapalało ogniem, podnosiły ramiona, i nieokiełzana, dzika dziewczyna wychodziła z pod brunatnej snkni zakonnicy.

W tym habicie grubym, z tą zasloną prostą nad czołem. Bietka bez żadnego siroju, z obciętymi włosy, które jej ciągle z niezmierną siłą odrastały bujne — była tak piękną, że kto ją ujrzał po raz pierwszy, musiał stanąć zdumiony.

Inną jakąś zdawała się, wyższą istotą nad te co ją otaczały, wszystkie się przy niej wydawały chłopcami, ona królową.

Czuła ona to dobrze i rozkazywała milcząc nawet.

Dnia tego z kolci przypadła na nią służba przy królowej Salomei, która słabość miała do niej. Nie była ona ciężka, bo pani ta nie potrzebowała prawie żadnej posługi, nie żądała nic, żyła nieustannie zachwytem nad ziemią.

Ziemskie życie należało jej przypominać, inaczej nie jadłaby była, nie pila, nie poszła na spoczynek. Spowiednik zmuszał ją do pamiętania o sobie, tak jak księżnę Jadwigę.

Teraz, gdy sobie zgon rychły przepowiedziała, to oderwanie się od ziemi większe jeszcze było i zupełniejsze. Zapatrywała się w niewidoczne dla drngich niebios, odpowiadała na glosy dla innych niepochwytne, które po nad nią ulatywały, uśmiechała się do niewidzialnych, otaczających ją postaci.

Leżała tak z rękami założonemi, rozmarzona, szczęśliwa, jakby ją już mieli pochwycić skrzydlaci posłowie w obłoki.

Z lekka zaledwie pierś jej podnosiła się westchnieniem. Matka Klara i siostra Bieta patrząc na nią,

widziały jak się im w oczach mieniła, rozjaśniała, rozpromieniała, odmłodziła. Coś cudownego było w tem obliczu w przededniu zgonu odkwitającego młodością.

Pierwszy raz teraz matka Klara uwierzyła, że zgon się jej zbliżał, bo oblicze to do życia było stworzone.

Nadchodził wieczór, gdy w podwórzu szmer się zrobił — przybywała Kinga pani. Była dopiero we wrotach klasztornych, gdy Salomea zbudziła się jak ze snu niebiańskiego, zwracając ku wnętrzu oczu, plonące radością nową i inną.

Było to ziemskie uczucie, choć z niebieską miłością pokrewne.

Kinga biegła niespokojna, nie pytając nikogo po drodze, choć zakonnice przyklękając przed nią, spotykały ją i wiodły, szepejąc coś. Nie słuchała ich, lękała się może złą usłyszeć nowinę. Śpieszyła.

I to była święta pani, duchem rodzona siostra Salomei i Jadwigi, lecz młodość z całą swą krasą, czyniła ją jakby białą lilją, co się zaraniem wiosennem rozwinię.

Piękną była, jaśniała wdziękiem dziewiczym, choć wszystka ta krasa nie zdała się stworzoną dla ziemi, nie było w niej nie ludzkiego, oprócz tęsknicy dusz wygnanych.

Błada i bez rumieńca, pleci nie świetnej, przygastej, twarz miała narysowaną przedziwnie, oczy czarne i rzęsy, co jak zasłony spadały u tych okien ducha, bojaźliwie otwierających się ku światu.

Małeńkie usteczka ledwie widocznym prążkiem przecinały owal twarzy, nieco zwężony i schudły. Wyraz ich był łagodny i przełękły, a mimo to na czole w wejrzeniu coś zwiastowało silną wolę, czujną i nieuspioną baczność. Piękne jej włosy czarne starannie były pokryte czepecem, prawie do zakonnej podobnym zasłony. Suknię miała szarą i nieozdobną, żadnych błyskotek na niej, tylko do podróży, jako oznakę dostojęństwa, musiała wdziać płaszcz, który

się z ramion jej zsuwał. Suknia wielkimi fałdy spadała na postać szczupłą i wiotką, którą posty, bezsenność i modlitwy wysuszyły.

Coś cichego, skromnego było w tej pani królewskiego majestatu a amelskiej skromności. Głos, którym się odezwała w progu stanawszy i ujrawszy Salomeę, brzmiał jak dziecinny, słodko i łagodnie.

Wyciągnęły ręce ku sobie.

— Siostró moja!

- Królowo!

Pokłękła Kinga przy łożu i uściskawszy się, pozostały tak długo połączone z sobą, nie mogąc przemówić słowa. Obie czuły, że to był może uścisk na ziemi—ostatni.

Matka Klara i inne zakonnice, które do progu księżnie towarzyszyły, cofnęły się od niego.

Dwie święte niewiasty zostały same.

Wśród tego milczenia dzwonek klasztorny dał się słyszeć, wołając do chóru na modlitwę. Dla obu ich był to znak, iż trzeba było o sobie dla Boga zapomnieć.

Salomea siadła, składając ręce wychudzone, a Kinga pozostała przy niej na klęczkach—pochyliwszy głowę. W korytarzu słyszeć było śpiesznie przesuwające się zakonnice i nowicjuszeki, które do chóru śpieszyły.

Duchem zjednoczone z niemi dwie pobożne niewiasty, poczęły odmawiać modlitwy wieczorne. Wkrótce też wśród ciszy dały się zdać słyszeć śpiewy, a po nad niemi górujący siłą namiętną—która się dziwnie odbijała w uszach słuchaczek—śpiew Biety. Ta nawet do Boga się odzywając, nie mogła zmusić do pokory, a w dźwięku jej brzmiała boleść, wyrzut, coś zbuntowanego i przerażającego zuchwalstwem.

Na twarz królowej Salomei wystąpił wyraz boleści i niepokoju. Lecz śpiewy wnet ucichły, zagłuszone szmerem modlitwy.

Noc już nadchodziła, sługa wniosła lampkę oli-

wną. Skończyły się pobożne ćwiczenia, królowa, zwrócona ku Kindze, odezwała się głosem drżącym.

— Raduj się, siostro moja. szczęściem inem, albowiem małuczko oczy te ujrzą oblubieńca i zrzucą z siebie szatę cielesnej niewoli.

— Królowo ma! królowo! a ja zostanę tu sierotą!—odparła Kinga.—Tyś mi była siostrą, matką, nauczycielką. przykładem, pociechą i tarczą! Cóż poczną bez ciebie?

— Waleczyć będziesz jakom ja wależyła... cichym głosem mówiła Salomea—o siostro moja drogaj! Skarb ten, dla którego tu cierpiemy, niejest-że wart tej ofiary?

— A! ciągnęła dalej Kinga wciąż na kolanach u łóża królowej—chciałabym jak ty czystą pójść do niebios w białej chrztu szacie. niezmazanej żadną ziemską namiętnością, lecz życie długie! Stan mój ciężki! ten, którego mi za męża dano, pobożny, lecz po ziemsku jeszcze miłujący mnie.

Zakryła twarz śliczną rękami.

— Siostro moja—poczęła Salomea.—Ty mi własne moje powtarzasz dzieje. I jaśm przetrwała toż samo. i mój Koloman kochał mnie ziemską miłością, pókim w nim niebieskiej rozżarzyć nie potrafiła.

Tu jakby jej głosu zabrakło, sparta twarz na rękę—mleżała chwilę.

— Posłuchaj—odezwała się po namyśle nie patrząc na Kingę—posłuchaj! Byłam jeszcze młodą wówczas, bardzo młodą..., pokusy cielesne miały jeszcze władzę nadenną. Staczałam bój z niemi. Musiałam nie tylko miłości Kolomana, ale własnej dla niego się zapierać. Raz! pomnę ten dzień próby! Ja, com zawsze chodziła ubogo i skromnie odziana, starając się pozbyć znikomej piękności, mającej pójść robactwu na pastwę, raz, gdy męża mojego nie było na zamku, uległam myśli grzesznej. Do koła mnie wisały mnogie szaty wytworne, klejnoty piękne, których nigdy nie tknęła ręka moja. Byłam sama, dziecinny

umysł mój nie widział niebezpieczeństwa. Doknezała mi myśl uparta, abym choć raz, raz w życiu zobaczyła się taką, jakąbym mogła być, gdybym się nie wyrzekła świata.

Prędko zwlekłam z siebie szaty potargane, znozione, ubogie, które mnie pokory uczyły. Gorączkowo poczęłam się przystrajać, ubierać, wkładać na siebie te stroje bogate i najdroższe klejnoty.

Piekły mnie one jak uścisk grzechu..., ale żądza jakaś nie dopuszczała tych kajdan pokruszyć. Stałam już strojna, drżąca, przelekła i uradowana sobą, gdy się drzwi otwały.

Maż mój stał w progu, zdumiony ujrzał mnie w całym piękności blasku, której nigdy nie oglądał. Zapłonęło mu lice, rzucił się ku mnie, namiętnie chwytając i cisnąć ku sobie.

Księżna Kinga słuchając, krzyknęła.

— Al straszna to była chwila, jam postradala pamięć z trwogi wielkiej, czułam serca jego bicie, oddech jego żarzący na twarzy—westchnęłam o ocalenie do Boga! Wtem Koloman, któregoś usiłowała odrzucić, puścił mnie, załamał ręce i krzyknął—Boże! jakąż ja dla ciebie czynię ofiarę!

Zapłoniona padłam na ziemię, modląc się i szlochając. Wyszedł. Odtąd nie widziałam już nigdy tych sukni grzechu.

Siostrze moja— i ty tak czynić musisz, abyś nie znikomą pięknoscią, ale cnotą twą stała się mężowi drogą.

— Królowo moja odparła Kinga. — Ty wiesz! Już on raz odepchnął mnie gniewny i porzucić chciał— już byłam raz w klasztorze... i u tego portu byłabym została — ale nie o moją jedną szło mi duszę. Na to nas Bóg związał ślubem małżeńskim, abym go prowadziła do światła! abyśmy razem zyskali wieczną szczęśliwość!

Długie życie, długą walkę mam przed sobą

— A dla mnie ona z jutrem się kończy! Jutro—

zawołała radosnym, ale już słabym głosem królowa Salomea.—Jutro! Bóg mnie do siebie powoła.

Całą noc spędziła Kinga przy łożu królowej, która, jakby w oczekiwaniu przyścia oblubieńca, gotując się na gody — to drżała radością nadziemską, to modliła się, całowała i błogosławiła bratową.

Dla obu tych niewiast pobożnych noc to była uroczysta, dziwna. Mroki jej rozjaśniały widzenia, sen przeplatała modlitwa. Była pół snem, pół marzeniem, potęgującym się gorączką, coraz większą i podniesieniem ducha.

Wśród ciszy klasztornej, którą tylko szum wiatru odbijającego się o mury przerywał, odzywał się czasem czujny dzwonek i pieśni zakounie brzmiały zdaleka.

Zakonnice też nie spały, przepowiednia królowej, która była duszą klasztoru, napełniała siostry trwogą. Co miały począć bez tego opiekuńczego anioła, bez tego wodza, bez tej siły, co niewidoma nigdzie na każdym podpierała je kroku? Niewysłowionej dobroci królowa zdawała się cichym gościem tylko, lecz świętobliwością swą była panią i mistrzynią.

Od jutra miało jej zabraknąć!

Wieść o tej przepowiedni, o której nikt nie wątpił, bo każde słowo Salomei się ziściło—ze Skały już doszła była do Krakowa.

Wiedziano o tem na Wawelu, a tegoż dnia i na Wiśnej ulicy w biskupim dworze u ks. Pawła z Przemankowa.

Pasterz ten nowy, jak powiadali wszyscy, postrachem stał się dla kapłanów, co czasy pobożnego Prandoty pamiętali. Wdziawszy suknię we Wrocławiu wyswięcony razem na kapłana, i pasterza, za łaską papieżkiego legata, któremu zabiegłszy drogę, zyskać go sobie potrafił—zaledwie dni kilka powściągnął się od starego swojego obyczaju.

Wkrótce na dwór powrócili myśliwcy, zauszni-cy, drużyna wesola, czeladź pańska płci obojej, rozpasanie ziemianina żyjącego w pogańskiej swawoli.

Ze zgrozą patrzali na to starzy duchowni, jak ks. Jakób ze Skarzeszowa i kanonik Janko.

Jeśli nic ze słów, to z twarzy mógł rozpoznać biskup, jakie w nich budził uczucia, ale, zuchwały pan, szydził z nich i naigrawał się z nieprzyjaciół, a odgrażał

Książę Bolesław i żona jego Kinga, szanując w nim ojca duchownego, przerażeni byli tem, co im co dzień o nim donoszono, co jawnem było i świadomem wszystkim.

Zżymał się książę Bolesław, lecz poczynić nie nie śmiał przeciwko biskupowi, nad którym władzy nie miał. Księżna Kinga wierzyć nie chciała temu, co rozpowiadano.

Co dzień z nowemi przychodzono na dwór wieściami. Szczególniej Toporeczycy dwaj, księciu ulubieni, łowów jego towarzysze! Biskupa potępiali przed panem, i z oburzeniem się o nim odzywali.

Przychodziły skargi z miasta, ze wsi—od księży. Jak pamięć ludzka sięgała, nikt takiego pastorza nie pomniał.

Część surowsza kapituły zwała go Antychrystem.

Szmerano na dworze, a ze dworu szmer ten dochodził na Wiślną ulicę. Biskup nań wzgardliwem ruszeniem ramion odpowiadał.

— Niech sobie pilnują, ja za me sprawy odpowiadam. Nic im do nich!

Dawniejsza niechęć ku Bolesławowi rosła coraz w biskupie, o pobożnym księciu odzywał się lekceważąco. — Jemu nie księciem a mnichem zostać było, a żonie zakonnicą. Nie powinien był na stolicę wchodzić, której obronić nie umie.

El! Konrada nam tu trzeba i Mazurów, aby za łby wzięli tych świętych i rozpędzili ich, a panowali nam po rycersku. Wszystko to Niemce są, a przez nich i my poniemcejem!

Nie tał się z tem ks. Paweł, że nie w smak mu były rządy ówczesne. Nie zrywał przeto ani

z panem, ani z dworem, tylko gdy się z niemi spotkał, dumniejszym się stawał i szorstkim umyślnie.

Gdy wieść o umierającej królowej Salomei nadeszła na dwór biskupi, noc już była, wesoly stół obsiadali zwykli ks. Pawła towarzysze.

Biskup zadumał się nieco.

— Tamby mi przystało być—rzekł—jeżeli królowa zemrzeć ma! Rozporządza jeszcze znacznemi skarby, które z sobą z Węgier przywiozła. Dla kościoła i dla nas cośby się z nich dało pozyskać.

— Wszystko pono wezmą ulubione Klaryski—odezwał się butny ksiądz Szczepan.—Nie ma się tam już czem pożywić.

— Ale próbować potrzeba—odrzekł biskup.—Bez tego, jutro piątek, polować nie mogą. Ci długojęzyczni zaraz paplać będą, trzeba im gęby zamknąć. Niech mi jutro woźniki gotowe będą do Skały.

— A komu, miłość Wasza każećcie z sobą?—zapytał młody księżyna kapelan, ulubiony biskupowi.

— O! chce ci się zajrzeć do młodych zakonniczek—rozśmiał się rubasznie biskup.—A no! nie z tego! Wezmę starego księdza Piotra, aby świętych niewiast nie bałamucił.

Niektórzy uśmiechali się nkradkiem, inni szepotali wesolo między sobą.

Nazajtrz rano do dnia, kolebka stała u drzwi, a biskup Paweł z sędziwym księdzem Piotrem, z kilku dworzany, wyruszył do Skały.

Przybył tu właśnie o tej godzinie, gdy zakonnice z chóru wychodzące przechadzki po ciasnym podwórku używały.

Trochę słońca świeciło na szarem niebie.

Traf chciał, aby biskup, dla którego kłauzura stała otworem—wchodząc na próg spotkał Bietę, której nigdy jeszcze nie widział.

Zakonnica, wedle zwyczaju, przyklęknęła przed nim z pokorą, sięgnęła po błogosławiącą rękę do ucałowania, podniosła oczy, ukazała twarz prześliczną.

Ksiądz Paweł osłupiał zdumiony.

Przybrana powaga opuściła go, oczy mu się za-iskrzyły, zapomniał o szatach i o dostojństwie, z namiętnością zepsutego człowieka począł się uśmiechać do klęczącej i głaskać po twarzy. Wzrok Biety spotkał się z temi oczyma pożądliwemi, jad lejącemi z siebie. Dziewczę zbladło ze wzruszenia, zasromalo się, o mało nie mdlejąc.

Scena ta niema, straszna w tym progu klasztor-nym jak świętokradztwo, straszniejsza jeszcze myślą o konającej tuż, o trzy kroki błogosławionej pani—byłaby się przeciągnęła może, gdyby matka Klara nie zbliżyła się na powitanie pasterza. Bieta zaledwie mogła podnieść się z ziemi, sparła o ścianę i oczy swe czarne, które łzami zaszyły, zwróciła jeszcze ku odchodzącemu biskupowi.

Ksiądz Paweł zadrżał, chciał zawrócić się, ale mu już zasłoniono Bietę—oprzytomniał. Prowadzono go do izby królowej.

Gdy oznajmiono o przybyciu biskupa, na twarze dwóch niewiast wystąpiła bladość trwożna. Potrzeba było przełamać wstręt do człowieka, a uczyć pasterza.

Ksiądz Paweł tam, gdzie jako biskup występował, godność swą wysoko nosił, i tu wszedł jako dostojnik kościoła, jako poseł niosący pociechę. Z pokorą niemą przyjęły go dwie pobożne panie, Salomea spuściwszy oczy, unikała wejrzenia nań, księżna Kinga w cieniu nsiadła na boku.

Ofiarował się ks. Paweł do modlitwy.

Tu zniknąć musiał człowiek, grzeszne naczynie, przez które łaska zstąpić mogła.

Cicho—z przejęciem szeptano za nim modlitwy.

Po skończeniu ich, biskup wystąpił ze słowami pociechy, napomykając o tem, iż kościół za duszę królowej modlić się będzie, i pamięć jej uczci. Umiejętnie wspomniął o ubóstwie kościoła i swoim, kościół właśnie ołowianego potrzebował dachu, bo wieże zaledwie nim pokryte były.

Królowa jakby zatopiona w sobie nie na to nie odpowiedziała. Musiał więc, zawsze niecierpliwy, nie mogący długo na jednym wytrwać miejscu, duszący się tą atmosferą klasztorną Paweł pożegnać błogostawiając królowę, która już ostatnie pomazanie rano z rąk spowiednika swego Wojciecha przyjęła. Testament był też spisany, do którego na świadka tylko został wezwany wraz z dwoma gwardjanami, lektorami i innymi duchownymi.

Nie mając już tu co czynić, byłby odjechał biskup nazad, gdyby go grzeszna myśl nie wstrzymała.

Wyszedszy od królowej począł badać matkę Klarę. Salomea na ten dzień przepowiedziała zgon swój, chciał dotrwać, aby być świadkiem.

Otwarto refektarz dla niego.

Po korytarzach przechodząc śmiało wodził oczyma. Zakonnica widziana nie wychodziła mu z pamięci.

Zażądał zwiedzić cele klasztorne... a choć zakonne reguły S. Franciszka nie należały właściwie do biskupiej władzy — któż mógł Pasterzowi wzbronąć ich widzenia?

I znów to, co się zowie trafem, a co jest zagadką nierozwiklaną przeznaczeń ludzkich — sprawiło, iż pierwsza celka, do której wszedł, była tą właśnie w której Bieta, zmieszana, w oknie sparta na łokciach stała zamyślona — o tym wzroku, co ją przeszył, od którego drżała jeszcze.

Gdy biskup wszedł, odwróciła się szybko ku niemu zarumieniona, stokroć piękniejsza, niż gdy ją oglądał raz pierwszy — bo oko namiętne rozeznać w niej mogło niepokój zmysłów i ducha.

Ujrzawszy ją, ks Paweł zwrócił się do matki Klary, prosząc, aby mu wody szklanek przynieść kazała. Spodziewał się na chwilę sam pozostać z zakonnicą.

Tak się stało. Matka zamiast wysłać Bietę pobiegła sama.

— Kto ty jesteś? — zapytał żywo z zuchwałstwem

świeckiego człowieka, zbliżając się do niej biskup i chwytając ją za rękę drżącą.

Dziewcze znowu na pół omdlałe ze wzruszenia jakiegoś, ledwie się na niewyraźną zebrało odpowiedź.

— Co cię do klasztoru wpędziło?—zapytał natrętnie biskup.—Nie zdajesz się do niego stworzona? piękną jesteś.

Spojrzał jej w oczy natrętnie i nieczekając odpowiedzi dorzucił:

— Chcesz z niego wyjść? ja ci pomogę do tego!

Słyszac szelest sukni i chód matki Klary, odstał Paweł od zakonnicy.—Bieta cofnęła się ku oknu.

Przyniesioną wodę podano biskupowi na klęczkach. Pił ją patrząc z ukosa na zakonnicę, która też ostrożnie mierzyła go oczyma, wcale nie bojaźliwemi. Była w nich jasna odpowiedź na pytanie: — Chcesz-li wyjść?

Słowo to szatańskiej pokusy w piersi jej tkwiło—tętniało w uszach, biło krwią, w sercu falując.

Biskup wyszedł z matką Klarą, Bieta została sama — niewiedziała co się z nią działo. Słyszała tylko powtarzające się ciągle:

— Chcesz-li wyjść ztąd?

Wyjść! wyjść na świat otwarty, wesoły, na którym była swoboda, spoczynek, sen, radość, wszystko o czem marzyła nieszczęśliwa — wyjść! Za wrotami we snach raj widziała!

Słoby, przysięga, niebo, znikły z jej oczu. To, za czem tęskniła, mogło się ziścić. On obiecywał jej wolność, on co był tu panem i władcą. Wyjść! brzmiało jej na modlitwie, wyjść! piekło ją jak zagiew do serca przyłożona.

Zdawało się koniecznością uciec ztąd — wrota stawały otworem!

W świat!—którego nie знаła!...

III.

Uroczysty był pogrzeb królowej Salomei, którą świętą głoszą za życia. W bocznej kaplicy przy kościele na ten cel zbudowanej, miano złożyć jej zwłoki.

Z Krakowa książę Bolesław, Kinga, dwór, duchowieństwo, płynęło dnia tego do Skały, tysiące ludu śpieszyło do zwłok tych świętością wonnych, których dotknięcie sprawiało cuda.

Biskup Paweł musiał tu być z obowiązku, ale nie śpieszyłby może tak z jego spełnieniem, gdyby grzeszna namiętność nie ciągnęła go do Skały.—Zepsuty a bezwstydną człok dawny obudził się pod tą suknią, która powinna go była oczyścić i odrodzić. Walczył z sobą, przemódz się niechęć i niemogąc.

Cóż zresztą znaczyła jedna zakonnica biedna, i czy to był pierwszy przykład ucieczki z klasztoru? Książęta porywali za żony oblubienice Boże i uchodziło im to hezkarnie.

Życie biskupa było wprawdzie na oczach ludzkich, każdy krok jego liczony i sądzony—lecz czyż ukryć się z tem nie było sposobu?

Myśli te dręczyły księdza Pawła, nawet gdy sprawiał smutny a uroczysty ów obrzęd, który we wszystkich budził najgorętszą pobożność.

Dnia tego wiodąc zwłoki, przewodnicząc duchowieństwu duszą był gdzieindziej, a oczyma szukał za kratami chóru onej Biety.

I znalazł ją tam. Nie ją samą, ale z pomiędzy szczebli patrzących na się dwoje oczu rozżarzonych, w których całe piekło gorzało.

Oczy te gonić się za nim zdawały, i rozpłomienily go na nowo.

Gdy po odbytem nabożeństwie poszedł spocząć do refektarza, nie pozdrowiwszy nawet księcia i jego małżonki—rozmyślał tylko jakimby sposobem mógł matkę Klare rozpytać o tę zakonnicę, nie budząc podejrzenia.

I byłby zapewne znalazł pozór do tego, gdyby również potrzebującego wypoczynku nie wprowadzono tu księcia Bolesława. Towarzyszyła mu żona, lecz nie chcąc zeprzeć się na jego rękę, szła opodał za nim nieco.

Wiemy już, jaki był stosunek dworu książęcego i pasterza. Dwaj Toporezycey, główni nieprzyjaciele księdza Pawła, właśnie towarzyszyli Bolesławowi.

Książę był naówczas w sile wieku, postać miał wdzięczną, człowieka jednak zawczasu już dosyć znużonego życiem. Z twarzy z oczyma obojętnie patrzącemi, wiało zękanie i zastygnięcie. Zgasł w oczach płomień rycerski, męzka buta, pańska siła; panowanie i dostojność ciążyły mu się zdawały. Dźwigał je jak człowiek co się od brzemienia uwolnić nie może, nawykł doń, lecz złamany już zwątpił o sobie i zubożał na wszystko.

Książę, jak cały dwór jego, jak większa naówczas część Piastów, strojny był i zbrojny z niemiecka.

Język też ten wśród jego dworu, najczęściej się słyszeć dawał.

Szaty pańskie dosyć niewykwintne, leżały na nim ułożone bez starania, noszone bez dbałości o nie. Pas się zsuwał na jedną stronę, suknia pod płaszczem była porozpinana i nie bacząc na guzy pozaciągana tak, że się kurczyła i wyginała na nim. Włos nie dbałe rozrzucił się na głowie.

Zobaczywszy biskupa, Bolesław go chłodno pozdrowił, biskup skłonił się chmurny i zasepiony nie śpiesząc panu dworować. Kinga na boku stanęła w żałobnych szatach, owinięta płaszczem, jakby księdza Pawła widzieć nie chciała. Książę i biskup, od

dawna wstępną czując ku sobie, jedno mieli wspólne upodobanie — oba równie byli zapalonemi myśliwcami.

Dla księcia Bolesława łowy i psy stanowiły jedną żywszą w życiu przyjemność pozbawionem zabawką. Mówiono o nim, że za stórę psów łaskę sobie n niego kupić było najłatwiej.

Biegał po lasach polując namiętnie, bo to była jedyna dozwolona rozrywka. Z żoną żyć nie wolno mu było, a Kinga jeżeli go nawracać nie mogła, uciekała od niego. Gdy się do niej zbliżyć pragnął, kryła się przed nim lub przyjmowała go w otoczeniu dworu swego; sam na sam nigdy się już nie spotkali, w czem naśladowała pilnie przykład Jadwigi Śląskiej. Rozmowom ich lub starsze niewiasty albo ktoś z dnochnych zawsze być musiał przytomnym. Na łowach tylko książę się mógł rozweselić, zażyć swobody, posłyszeć śmiechy i zobaczyć twarze rozjaśnione... W domu pobożność wielka dawała życiu barwę posępną.

Łowy też milował Bolesław nadewszystko, w psiar-ni najchętniej przesiadując gdy powrócił z kościoła i dzieląc czas między nabożeństwem a myślistwem.

Dwaj Toporezy, dzielni młodzianie, towarzy-szyli mu wszędzie, wyszukując ostępów, kniei, do-starczając ogary.

W tym myśliwskim zawodzie książę szedł na wyprzódki z biskupem, który nie zważał wcale, że ta zabawa stanowi jego wcale nie przystała, a na-wet prawem była wzbronioną. Szły o lepszą psy księdza Pawła z psiarnią książęcą, a biskup głośno się chlubił, iż gończe jego sprawniejsze były. I to może po trosze zniechęcało doń księcia, który o swo-je był zazdrosny.

Dzień ten tak smutny a poważny, wcale nie nposabiał do płochej rozmowy, biskup wszakże na-umyślnie może dla okazania, jak mało dba o ludz-kie języki, od niechecenia ozwał się półgłosem, iż jesień tegoroczna sprzyjała łowom, że wiele po niej obiecywał sobie.

Książę spojrzał nań zimno, prawie wzgardliwie. Stali dosyć blisko siebie.

— Sądzę — rzekł cichym głosem Bolesław — iż obowiązki powołania nie dadzą wam często zaglądać do lasu.

Książdz Paweł uśmiechnął się na to.

Nie większa moja dycieczja — rzekł od waszego księstwa... Umieć pogodzić to co Bogu należyne z tem, co mnie potrzebne.

Zbyt długo nawykłem do swobody, abym jej miał sobie nagle ukrócić... Książę też ludźmi są, a inni biskupi nie tylko na łowy, i na wojnę chodzą. Znajdzie się czas na wszystko.

Na wyzwanie to nie odpowiadając książę, rzekł do jednego ze swoich Toporezyków:

— Gdy książę na łowy jeździć zacznie, my chyba miszę będziemy musieli odprawiać!

Usłyszał ten przekaz pański, książdz Paweł, przywrócił oczy mierząc niemi Bolesława, dając czuć, iż on go nie derósl. aby się nań porywał. Cbwiłę żuł wyraz jakiś w ustach skrzywionych i odparł półcicho.

— Przysłało nam tak mieniać się na zawody. kiedy żonaci książęta czynią śluby czystości.

Bolesław zarumienił się mocno, trochę poruszył się z miejsca — cofnął, ale w tem spotkawszy wejście Kingi, która tę rozmowę więcej odgadywała niż słyszała — wzrok, któremu był nawykł ulegać — uspokoił się i odzyskał obojętną cierpliwość. Udał, że niedosłyszał szyderstwa, które mu dolegało.

Jeden z Toporezyków tylko, wyręczając książęcia, zwrócił się nieco od biskupa ku panu swemu i rzekł półgłosem.

— Gdy duchowni czystymi nie są, książęta muszą ich uczyć przykładem swoim.

Książdz Paweł nogą z gniewu oderzył w podłogę ręką sięgnęła mimowolnie tam kędy niegdyś rękojeść miecza się znajdowała.

Chciał śmiałka skarcić. lecz powstrzymał natychmiast i zamruczał:

— Wara z językiem! *Quod licet Jovi, non licet bovi!*

Tymczasem Toporeczyk nie czekając na tę odpowiedź i słyszeć jej nie chcąc, uszedł zaraz z miejsca swego, dosyć lekceważąco okazując biskupowi, iż nie troszczy się o to wiele. eo mu powie.

Kładz Paweł zburzony wielce, byłby zapewne potem wyszedł zaraz z refektarza, gdyby nie przyniesiono właśnie wina i ciasta, któremu zakonnic i dwór królowej nieboszczki jako chlebem żałobnym częstowały. Podano je książnie naprzód, potem księciu razem i biskupowi, który nalawszy sobie kubek wielki, wychylił go jak — Templariusz. Słynęli już naówczas owi rycerze, co takie mieli dać kościołowi zgorszenie, z niepomiernego picia i ucztowania.

Ci, co bywali w Syryi i Palestynie, opowiadali euda o bogactwie i rozpasaniu, w jakim żył zakon, który królów wyzywał, a był naówczas jedną z największych potęg groszem swym i przewrotną polityką.

Książę Bolesław zaledwie do ust przytknął napój i przelamał chleba kawałek. Jedząc, parę razy spojrzeli ku sobie, a wejrzenia te zgodą nie tełnęły.

Po długim przestanku, biskup obrócił się do księcia i rzekł:

— Świętą pogrzebaliśmy! Świętą, jakich już ja dwie u nas pomnę, bom swojego czasu, Jadwigę Ślązką oglądał żywą, wyrostkiem będąc, gdy z pod Lignicy powracał. Sposobi się też trzecia święta, w małżonce Waszej Miłości, która obu swym poprzednikom sprostą.

Był odcień jakiegoś szyderstwa w tej pochwalie a blada twarz książecznej Kingi, która ją dosłyszała, zarumienila się lekko. Bolesław też odparł obrażony:

— Dla nas mężów dziś niewiasty wzorem...

a choć słabemi je nienią, w nich siła jest większa, niż w nas, za co Bogu dziękować.

Biskup dwuznacznie się uśmiechnął.

Mnieby czas — rzekł po przestanku — do Krakowa powracać. Jutro, niechybnie, dobre pole będzie, niechęć go stracić.

I postąpiwszy krok, a księcin chcąc jeszcze dopiec, dodał z pozornem namaszczeniem:

— Wasza miłość pewnie z małżonką u grobu błogosławionej na modlitwie spędzicie?

Bolesław nie odpowiedział nic.

Skłonili się sobie zdala, Kinga pobożna, jak zawsze anielskiej dając dowód cierpliwości, wstała i z pokorą a uniżonością pożegnała biskupa. Była to ofiara, którą czyniła przemagając wstręt, jaki doń miała. W praktyce cnót pilno się ćwicząc, nie chciała pobożna pani opuścić tej zrzeczności umartwienia siebie i upokorzenia.

Ruszył się naostatku biskup przez niektórych przeprowadzony do drzwi — zamaszysto, głośnie, dumnie; umyślnie poruszając wszystkich za sobą, odzywając się na głos wielki, aby swą niezależność od księcia okazał. Bolesław z żoną pozostali w refektarzu.

Zwolna szedł ksiądz Paweł korytarzami, śledząc, czy nie zobaczy jeszcze gdzie tych dwojga oczów czarnych, które ciągle miał przed sobą. Czatowała też i Bieta we drzwiach na pół otwartych swej celi, jakby mu się przypomnieć chciała. Spojrzała nań wyraziście i znikła.

Ksiądz Paweł wstrzymawszy się krótko, przyspieszył potem kroku i żywo począł iść w podwórze, gdzie nań już czeladź z pochodniami czekała.

— Być musi moja! — rzekł w sobie.

Do wozu kazał się z sobą przysiąść zaufanemu Werchańcowi.

Był to pono niegdyś parobezak z Przemankowa, króry mu dawniej do psot i szaleństw posługiwał. Z kolei. od pachotka się podnosząc doszedł do urzę-

dnika, ochmistrza i był wielkim ulubieńcem pana. Dopomagał mu też do wszystkiego złego. Znali się oba dobrze, a milowali tak, jak ludzie podobni kochać mogą.

Gwałtowny Paweł okrwawiał czasem swojego zausznika, niekiedy go obsypywał łaskami. Nadał mu ziemię, lasy, młyny, ale od siebie nie odpuszczał. Obyczajem mieli jedne, charaktery podobne. Żyli w ciąglej waśni i w najlepszej zgodzie. Biskup go psem nazywał, za oczyma Werchaniec mianował go nie synem Jazdona, ale szatana synem.

Werchaniec żonaty był z jedną z dawnych Pawła miłośnic. Ta mu pomagała do gospodarstwa we dworze i gdy sprawa z niewiastami była. Nie zbyt już młoda, wyszczekana, wstydu niemająca Werchańcowa Zonia, mogła mężowi dostać placu i do kubka i do klótni i do wszelakiej swawoli. Zręczniejszą często była od niego.

Zonia nie wiele więcej szanowała Pawła od męża, rozgniewawszy się nań często w oczy go łajala, co on przebaczał, śmiejąc się, lub ujadając ząb za ząb. Mawiał czasami, że się tej baby obawiał.

— Sluchaj ty, psie — ozwał do wozu siadłszy biskup — jak ty mi z Zonią usłuszysz w tem czego chcę, dam ci to, na coś dawno zęby ostrzył — las od Bukowej.

— Oh! oh! — odparł trochę przyjęciem pogrzebowem oszołomiony Werchaniec. To się już W. Miłości czegoś bardzo złego zachciało! Drogo płacisz, pewnie grzbieta, policzka, albo i życia przyjdzie nastawić.

— No, nie tak to bardzo trudna będzie sprawa — odparł Paweł i pochyliwszy się do ucha Werchańcowi, z dawną poufalością, coś szeptać mu zaczął.

Werchaniec, chudy człek z pobitą twarzą, ze złemi oczyma, z nosem trochę krzywym na lewo, a ustami na prawo wypaczonemi, zmarszczył się słuchając. Śmiejąc się z przymusem jakimś, biskup

patrzył nań, usiłując dojrzeć, o ile światło pochodni dozwalało, co się na twarzy zausznika malowało.

Werchaniec trawił, co mu włożono do ucha, pokręcając głową.

— Za to i lasu od Bukowej za mało!—bąknął.— Ale ja tej sprawy na sumienie nie wezmę! Pan każel sługa musi! Gorzej będzie biskupowi, na którego i tak ludzie pluja.

— Za oczyma! niech pluja!—odparł Paweł— o kim wiem, temu za plwociny oddam krwią!

— To się nie ukryje—ciągnął dalej obrzydły Werchaniec, twarz całą, gdy mówił, wywracając i szpecąc jeszcze wykrzywieniem.

— Nie ukryje się! To co? Nie pierwsza to będzie.

— E!—pokręcił głową ochmistrz—tu w Krakowie—jeszcze tego pono nie widziano!

Zamilkwszy jechali dalej, biskup nie spuszczał zeń oka, odgadując co myśli. Werchaniec tarł głowę i dumał głęboko.

Ku Krakowu się już zbliżali, gdy ks. Paweł silnie go ręką po ramieniu uderzył, aż syknął z bólu.

— No, mówże! co ty na to? psie jakiś!

— Ja? Ot nic—rzekł Werchaniec—myślę o lesie od Bukowej, bo do niego też chłapeć pola i łąki należeć musi, bez tego granica zła.

— Niech cię szatan z twą chciwością—krzyknął biskup, pole i łąka do Cystersów należą.

— A Cystersi są w naszej mocy—rzekł spokojnie ochmistrz.—Nakażecie im milczeć. Oni łąki i pola nie spasają, ni uprawiają, co im po nich. Dam dziesięcinę z wiatru co po polu chodzi!

Targ ten o cudze pole już był dla biskupa oznaką, że Werchaniec wziął jego sprawę do serca. Dojechali do dworu, nie mówiąc więcej, a ledwie z wozu skoczywszy ochmistrz, natychmiast pobiegł do żony.

Mieszkała ona jako ochmistrzyni nad ezeladzią przy dworcu samym, służbę niewieścią mając pod

sobą. Działo się jej dobrze, wiedziano, co mogła i duchowni nawet kłaniali się jej nisko. Ona najlepiej wszystkich tu знаła, odgadywała słabość każdego, i rozkazywała jako chciała.

Izby, które Zonia Werchańcowa zajmowała, nieznaającego jej mogły w błąd wprowadzić, gdyż całe były zawieszane, npstrzone, przyozdobione świętościami.

Krzyżów, obrazków, kropielnic, relikwiarzyków stało w nich co niemiara, a niewiasta, mimo rozpasania swego, była też gorliwą w nabożeństwie.

Żegnała się, klękała, bila w piersi, padała na ziemię, głośno odmawiała litanie, a im srożej grzeszyła, tem gorliwiej służyła Bogu w przekonaniu, że tem nabożeństwem za swe przewinienia zapłaci.

Nie tylko ona jedna w owym wieku fanatyzmu i wyuzdanych namiętności miała tę wiarę, była ona prawie powszechną. Grzech mógł być pokutą odkupioną, a więc grzeszono śmiało, zwiększając tylko pokutę. Zonia była kobietą lat czterdziestu, dobrej tuszy, rumianą, wykarmioną na biskupim chlebie, zawsze strojną bardzo i dbającą o resztę swych wdzięków, które w istocie niegdyś urok mieć mogły. Teraz jeszcze miała oczy przesliczne, usta bardzo małe, twarz tylko nieco się rozlała i podbródków jej przybyło.

Do szkaradnego Werchańca — było to tajemnicą, jakąś — miała Zonia przywiązanie namiętne, choć jej to nie przeszkadzało drugim się uśmiechać i zalecać.

Jejmość siedziała u ognia, mając przy sobie klechę od szkoły. Na stole piwo stało z kminem i grzankami. Rozmowa toczyła się bardzo wesola, gdy się ukazał w progu Werchaniec. Przybycie jego nie obeszło wcale Zoni, klecha się tylko nieco odsunął, a stary wchodząc, zobaczywszy go, uśmiechnął. Mąż i żona spojrzeli po sobie.

— A co! — zawołała nie wstając z ławy jejmość — pochowaliście królowę? Ludzie o cudach prawią. Mnie żal, że tam nie była.

Ochmistrz rzucił kołpak z głowy i o piwo zawołał. Klecha dopiwszy swoje, począł się pośpiesznie wynosić. Gospodarz go nie myślał wstrzymywać. Gdy pozostali sami, sługa biskupi mruknął do żony.

— Toś sobie gacha dobrała!

Rozśmiał się pogardliwie.

— Ale, gach! — odparła żywo otyła kumoszka. — Toćbym sobie urodziwszego znalazła. Jaki z niego gach! Prawi mi brednie, aby go na wikaryę gdzieś watać. Do wikaryi to gach nie do mnie!

Werchaniec ręką zamachnął obojętnie, potem stanąwszy przed nią, na dłoni palcami pokazał, jakby liczył pieniądze.

— Kiedy goły! — rozśmiała się Zonia. — Na tem o gościu się skończyło.

Werchaniec pilno obejrzawszy się do koła, zbliżył do żony i począł jej coś szeptać do ucha. Nie wiasta słuchała pilno, a z twarzy jej poznać było można oburzenie, gniew, strach i wstręt na przemiany. Wybuchła wreszcie ze złością.

— Bodaj światu nie oglądał. Patrzaj, czego to mu już potrzeba! Nie opamięta się, aż go Bóg ciężko pokarze. Jeszcze czego! jeszcze czego!

Werchaniec stał przed nią i powtarzał tylko.

— Las od Bukowej! las od Bukowej! a z nim kawał pola i łąki! He! he!

— A bodaj go! — krzyknęła, chodząc poczynając po izbie baba, i przystąpiwszy do krzyża na ścianie wiszącego, pocałowała Chrystusa w nogi.

Z razu mocno oburzona, bo i zazdrości trochę się do tego mieszało, zwolna poczęła ostygnać. Stała, w boki się biorąc na przeciw męża.

— Ty sam na siebie postronek kręcisz i na mnie! — rzekła mu. — Tyś głupi. i głowy nie miałeś nigdy! Żebyś ty tego nie znał, że gdy młode stworzenie weźmie, ono go opanuje, a my pójdziemy w ką! I ty i ja!

— No—ty! może być! odparł Werchaniec—ale ja? nie.

Zona uderzyła go po twarzy, otarł ją spokojnie.

— Miej rozum ty! co mnie głupim czynisz—począł zwolna.— Nie zechcesz ty? użyje kogo innego. Niby ty go nie znasz, tego szatańskiego syna? Gdy mu co do głowy przyjdzie, na swoim postawić musi. Weźmie sobie inną babę do pomocy, a uam las od Bukowej przepadnie.

Ręce na piersiach założywszy, dumala, brwi marszcząc, Zonia. Przystąpiła do męża.

— Tyś ją widział?

— Ja? Albo to ja biskup? — rozśmiał się Werchaniec.—Mnie tam nie puszczają.

— Pewnie wyrostek być musi — odparła zadumana.—Tacy ludzie jak on, starzejąc, coraz na młodsze polują. Ja ich znam.

Splunęła... Poszeptali z sobą poufale. Zonia odeszła nachmurzona.

— Co mnie do jego duszy! — wyrwało się jej po małym przestanku. Niechaj przepada kiedy chce! Będzie grzech straszny, na niego spadnie. Będą go pozywać i od czei sądzić, gotowi skarżyć do Rzymu.

— To jego rzecz—zakończył mąż—a nasza las dostać! Ma on plecy wszędzie! wyklamie się i wykręci.

Nazajutrz rano Zonia poszła do dworu biskupiego, wróciła zła i zasepiona, lecz mężowi już nie mówiła nic. Przeklinała, pluła, narzekała na swą dolę i całowała obrazki.

Trzeciego dnia rano poczęła się przystrajać jak na drogę.

W alkierzu stała, dawnym obyczajem, malowana w kwiaty jaskrawo skrzynia wielka, okuta miedzianą, na dwie ciężkie kłódki zamykana. Zawierała ona w sobie wszystkie kosztowne szaty, futra, klejnoty, które składały bogactwo ochmistrzyni. A mia-

ła tego nie mało, i gdy się na święto przystroiła do kościoła, śmiejąc się, palcami ją pokazywano. Była z tego dumna, bo wyglądała jakby zamożnego ziemianina żona, a niedbała czem ją zwano.

Z tej skrzyni poczęła Zonia dobywać co miała najlepszego, bo wóz do podróży był już zamówiony, a w świat między ludzi naówczas każdy brał co miał najpokaźniejszego, aby wiadano jak go cenić. Z pomocą dziewczyny wdziała na się i suknię jedwabną ciężką i gorset złocisty, szyty, a na głowę z futrem i zwieszonym aż pod brodę rąbkiem, jak śnieg białym, który nieco za szeroki, teraz twarz jej zmniejszał i pozór dawał młodszy. Na szyję włożyła łańcuch ciężki złocisty, na ramiona płaszczyk podbity, i gdy tak strojna wyszła z komory, mąż, który pił w izbie u stoła, aż się do niej chwycił z zalotnym uśmiechem.

— Toś mi piękna! — zawołał, chcąc ją objąć i uściskać.

— A no! wara odemnie z ręcyskami! — krzyknęła. — Także mi gbur! dopiero się opatrzył jakbym ja mu taką nie codzień była!

Werchaniec odstąpił posłuszny.

— Spisz mi się tylko dobrze — szepnął — las od Bukowej wart tego.

Poruszyła głową tylko, co stało za odpowiedź, iż lepiej nad niego wiedziała jak począć miała i poszła poważnym do wozu krokiem. Wóz z nią potoczył się do Skały.

Nie było żadną osobliwością, gdy tam kto przybył o którejkolwiek dnia godzinie. Tłumy się cisnęły do świeżo zbudowanej kaplicy, w której ciało, za błogosławioną uważanej, królowej Salomei spoczywało. Przybycie niewiasty z Krakowa nie zwróciło niczyjego oka.

Poszła naprzód Zonia pomodlić się u grobu, chcąc skorzystać z tej sposobności, aby i grzechy swe polecić tak potężnej orędownicze. Z kościoła

potem weisnęła się do furty, prosząc o rozmowę z matką Klarą. Choć to jej przychodziło z trudnością, bo w domu zwykła była bardzo zuchwale występować, tu przybrała poważną i skromną postać. Popatrzała okiem znawczyni na starą i surową matkę, pocałowała ją w rękę pomarszczoną i poczęła od tego, że daleką krewnę miała tu w klasztorze, sierotę, której nigdy nie widziała, a zobaczyćby ją pragnęła i pomówić z nią. Pytana, kto była, Wercbańcowa nie przyznała się weale do biskupiego dworu. Splotła, co jej się zdało. Matka, nie się nie domyślając, sama ją poprowadziła do celi Biety, która siedząc zadumana, właśnie siatkę do kościoła wiązała.

Gdy na próg wszedłszy ujrzała ją, usta jej aż pobielaly ze złości, tak piękności zazdrośna była. Cóż to dopiero będzie, gdy się ona przystroi? rzekła w duchu.

Długo jakoś przemówić nie mogła, ale szatan przemógł. Zgubić młodą a niewinną dziewczynę, to też dla zepsutej niewiasty dobry kasek.

Zaczęła więc od tego, że jej po matce krewną była, czemu Bieta zdumiała się, bo nigdy o żadnych powinowatych nie słyszała.

Uradowało ją to.

— Cóż mi po tem!—dodała smutnie po namyśle—my zakonnice ani rodziny, ani pokrewnych nie mamy. Nie godzi się to nam.

Tak się rozpoczęła rozmowa.

Zonia, chcąc lepiej poznać dziewczę, rozglądała się szeroko, długo, wiedząc ją powoli na pokusę. Żałowała tak pięknego kwiatka, że musiał wędnać w murach klasztornych.

— Szkoda ciebie na to, moje dziecko—mówiła, patrząc jej w oczy — tobie młodość i życie dopiero się poczyna, aniś go skosztowała. I sama byś użyła świata i drugim wesela przyczyniła.

Dziewczę westchnęło. Raz i drugi tak puściwszy się na zwiady, a widząc, że Bieta weale kla-

sztoru nie broni, Zonia wprost, ohcesowo pochyliła się jej do ucha i przyznała, że była przysłaną przez biskupa. A nie dając jej rzecz słowa, dodała prędko, że człek był możny i mocny, szczodry i łaskaw, że mógł dokazać co chciał, byle ona mu była powolną.

Usłyszawszy to Bieta, rzuciła robotę nagle i spojrzała takim wzrokiem na Zonię, że się przestraszona cofnęła. Ona co się знаła na niewiastach, poczuła w niej jedną z tych, które opanować się nie dają, a same drugim panować muszą.

Jakiś czas mileżała Bieta, siatkę płacząc bezmyślnie, namarszczyła brwi i rzekła:

— Niech mnie ztąd wyzwoli, bo ja tu umrę, zginę, zmęcę się, zaduszę. Dobrze, niech mnie wyzwoli, niech bierze, jnżbym i tak nie mogła tu wytrzymać dłużej. Myślałam nieraz z muru na łeb się rzucić i rozbić o skały, tak mi to życie obrzydło w tej klatce. Ale cóż on ze mną zrobi? — zapytała naiwnie.

Werchańcowa rozśmiała się z tej prostoty dziewczęcia i pogładziła ją po rękę.

— Nie bój się—szepnęła cicho — pan jest mój, nie zginiesz, byleś rozum miała.

Bieta głową potrząsała.

— Tak mu się na wiarę zdać—odparła śmiało, z rodzajem cynizmu. jaki ma niedoświadczenie — ja niechcę. Weźmie mnie, potrzyma, potem rzuci. — Nie!

— A cóż ty od niego chcesz?—zaśmiała się Zonia — przecież to osoba duchowna jest, przysiągł już innej oblubienicy.

— To niech ją trzyma — gorąco odparła Bieta. — Mnie, jak raz weźmie, musi też przysiądz, że nie porzuci. Tak!—dodała z mocą—inaczej ja nie pójdę, choćbym się wyzwolić chciała. Musi przysiądz.

Zdumiona nieco, trochę szydersko się krzywiąc, słuchała Werchańcowa. Niekiedy ją strach jakiś przejmował, z taką siłą i namiętnością wyrażało się

dziewczę, które osamotnione i gorączkowe marzenia uczyniły do zwykłych istot pospolitych niepodobną.

Rozogniona, z oczyma pałającymi, z podniesioną dumnie głową, Bieta była tak cudnie piękna, iż Zonia podwójnie się ulęknęła, energii razem i uroku, któremi mogła zapanować.

Wreszcie dawszy się jej wypowiedzieć — ozwała się.

— Dziecko jesteś! Co ci pomogą przysięgi, co słowa? Albo to oni ich nie dają i nie łamią? Twoja to rzecz tak go wziąć, aby cię porzucić nie mógł.

Biecie to słowo, rzucone nierozmyślnie, zdało się oczy otwierać. Złożyła siatkę, poszła do okna, sparała się na rękę i zadumała.

Okiem powiodła po pustyni do koła, którą z okna celi widać było. Szumiały lasy z liści odarte i białe a płowe skały pośród nich trupio sterczały, górą niosły się kruki — milczenie straszne śmierci panowało dokoła, chłód grobowy wiał z tej okolicy wymarłej. Całe życie, długie życie schnąć tu tak, zawsze słuchać tego jednostajnego drzew szumu, patrzeć na te same nagie skały, na te suche gałęzie ku niebu powyciągane, jak ręce zrozpaczone; budzić się zrana do modlitwy, w dzień się modlić i pracować, nocą niedospać na twardym łożu, chodzić boso w sukni starej, potem jednego dnia umrzeć cicho — i pójść do sióstr na cmentarz — bez mogiły, bez znaku życia — nie żywszy — wydało się jej okropnem. Zerwała się od okna i biegła ku Werchańcowej, która szła na jej spotkanie z uśmiechniętą twarzą.

— A cóż? — zapytała po cichu.

— Niech się dzieje co chce... — wyjąknęła Bieta — niech mnie bierze — pójdę — ale porzucić ja się nie dam! niech pamięta!

Stara uradowana tak łatwem zwycięstwem, pogłaskała ją po twarzy. Poczawszy rękę jej na swem miejscu, Bieta cofnęła się dumnie — czuła już wyższość swoją.

Szeptaly potem z sobą. Wyjście, nieczeka, porwanie z klasztoru łatwem nie było... Jawnie, gwałtownie stać się nie mogło.

Bieta żadnego sposobu na to nie wiedziała, chciała, aby drudzy o tem myśleli. — Jeśli mnie mieć chce — rzekła — niech szuka sam jak! ja nie wiem!

Przemyślna Werchańcowa dopytywała tymczasem o obyczaje klasztorne. Ogród był na wysokiej górze, mury nieprzystępne, furta strzeżona.

Naradzały się długo jeszcze. W ostatku Zonia poddała myśl przywiezienia z sobą świeckiej odzieży, w którejby wieczorem Bieta niepostrzeżona z nią wyjść mogła.

U furty siedziała zawsze zamyślona i niedowidząca siostra odźwierna. Wóz z dobrami ludźmi i końmi szparkiem czekać miał pod wrotami.

Gdy po tym targu niepocziwym drzwi celi się zamknęły. Bieta inną, zmienną całkiem się znalazła. Gorzały jej policzki, rękami niespokojnemi targala szatę zakonną, usta podnosiły się dumnie i zwycięzko. Radość jej z wyzwolenia nie miała w sobie nic płochego i dzieciennego, była buntem duszy co się nie poddała, a teraz z całą siłą rwała swe więzy.

Dzwonek zawołał na pacierz do kościoła.

Dźwięk ten uderzył ją żałobnie, przeraził jak groźba — stanęła wylękła. Przypomniały się lata tu spędzone, a w nich chwile jasne, ów spokój błogi świętej ustroni, cisza niezmącona niczem, godziwy prześpiewane w kościele, porywy ducha młodego ku niebiosom i Bogu... Łzy zwilżyły jej powieki, ale wnet ogień, którym oczy gorzały, je wysuszył. Stała jeszcze, zapomniawszy, że iść była powinna do kościoła, gdy siostra Domna otworła drzwi celi i dała jej znak, że się opóźniła.

Ten przymus zatarł pierwsze wrażenie, dusza jej zbuntowała się znowu. — W świat! w świat! za-

wołała w sobie.--Grzech? grzech na niego spadnie!
on ma prawo rozgrzeszać! on mnie wyzywa! Pójdę!
Czego się mam lękać?—pójdę!

Nie porzuci mnie! ja się nie dam odpędzić.

IV.

Książę Bolesław powracał właśnie z kilkodniowego polowania, które mu się powiodło szczęśliwie.

Na zamku zastał ciszę i pokój jak zawsze. Księżna Kinga była na modlitwie, pozostała służba dworska snuła się w podwórcach, kilku mniichów w sukniach różnych, przechadzało się około dworca i kościoła.

Świetność dworu dawnych książąt krakowskich wiele za Bolesława ucierpiała. Przepychu nie znosiła pani, a ona tu w istocie rządu sprawiała. Książę, który w początkach próbował się jej opierać, po powrocie z klasztoru, szedł teraz za nią posłuszny, kędy wskazała.

Wiele się na to różnych pobudek składało. Księżna wniosła wiano na owe czasy ogromne, bogactwo znaczne. Miała za sobą silną swą węgierską rodzinę, miała słabość i zubożenie męża, a własną moc charakteru dziwną, bo się ona wyrażała łagodnością cichą, która w tej białej lilji ani się dozwalała domyślać ukrytej potęgi ducha niezwalczonej.

Mówiła głosem łagodnym, patrzyła błagająco, była pokorną, słowa oszczędnie z ust się jej dobywały, przecież nie oprzeć się jej nie mogło. Była w tem tajemnica niepojęta.

Za oczy czasami niecierpliwi urzędnicy i dworzanie narzekać na nią probowali- a niechętnie wi-

dziano, iż z mężem żyć nie chciała, że Bolesław musiał zemrzeć bezprzytomnym, Kraków znówu stać się celem zabiegów książąt poznańskich i mazowieckich. Czyhano już nań teraz, ile razy Bolesław na czas dłuższy do Węgier lub do Morawii się oddalił. Ale ziemianie byli za tym panem dobrym, który ich do wielkiej dopuszczał poufałości, żył z nimi, polował, łaską swą szafował chętnie. Nie było surowej ręki nad nimi.

Ze wszystkiego się u księcia wyprosić było można, lub lada czem, małym podarkiem wykupić.

Kłóło to wprawdzie w oczy, iż niemcy u dworu rej wodzili, że się oboje księstwo otaczali cudzoziemcami, ale nie inaczej było na dworze piastów ślązkich, w Poznaniu i gdzie tylko piastowicze żniący się ciągle z niemkami panowali.

W zamian za potomka, którego się mieć nie spodziewał Bolesław, obiecywał, aby zabezpieczyć Krakowian od napadów i wciskania się do władzy mazowieckich książąt, wybrać sobie następcę zawczasu. Mówiono już o ulubionym mu synowcu Leszku, którego dla włosów ciemnych Czarnym zwano. Ten już z męztwa słynął, a sierszatego ojca synu obiecywał, że się łatwo nie da pożyć.

Wśród pustkowią tego na zamku, dwaj Toporczycy, którzy Bolesławowi towarzyszyli. Otto i Żegota, chłopcy dorodne, silne, wesołe, oba jak bracia do siebie podobni—boć i rodzeni; pann swemu najmilszi—odprowadziwszy go do komnat, poszli ku skrzydłu zamkowemu, w którym izbę mieli. Odzież trzeba było zrzucić przemokłą.

Bolesława też rozdziewano, ognia napaliwszy. Zużony łowy długimi przeciągał się, ze zwykłą sobie senną obojętnością, patrząc to na strop, to w ognisko. Komornicy pana otaczający śmieszki stroili pocichu, szeptali, i tym co z księciem przybyli opowiadali coś ciekawego, wesołość obudzającego.

Inny może temi wybuchy śmiechu i szeptania,

dalby się wywieść z odrętwienia! Książę Bolesław weale na to nie zważał. Oprócz czasu łowów, zawsze był tak w siebie wdumany, a na zewnętrzne sprawy obojętny. Zająć go czemś i rozgrzać było trudno. Jedna modlitwa rozbudzała tę duszę śpiącą, szczególnie gdy ją razem z Kingą odprawiał.

Ściągnawszy zmokłą odzież z niego, służba posadziła na ławie, aby mu zmienić obuwie. Książę dawał z sobą czynić co chcieli—przyglądał się płonącemu ogniovi. Parę razy o żonę zapytał, odpowiadano mu, że jest na modlitwie.

W tem już przebrani wpadli do izby Toporeczkowie, śmiejąc się i wielce czemś przejęci. Spojrzal na nich książę, zdziwił się wesołości, lecz o przyczynę nie spytał.

Otto i Żegota żywo szeptali coś między sobą, lecz że się służba kręciła, pachołeta posługiwały, nie poczynali rozmowy.

Nadciągnął i kapelan książęcy Iwo, mający twarz i postać wielce posępną, sklonił się pauu i jakby pytań unikał, ku ogniovi się schronił.

Coraz to gdzieś śmiech wybuchnął prędko tłumiony—książę Bolesław spoglądał i dumal.

— Bylby nam też niedźwiedź nie uszedł—odezwał się przerywając milczenie i rozmyślanie—gdyby ogarów część za kozłem nie pognęła. A wolałbym był rogacza stracić!

Otto Toporeczyk potwierdził to i znown nastąpiło milczenie, a że myśliwi głodni wrócili, misy na stół niesiono. Wtem starszy, Żegota, pochylił się księciu do ucha i coś mu szeptać zaczął.

Dotąd odrętwiały Bolesław, na nogi się nagle perwał, ręce mu się splotły, załamały—i zawołał:

— To być nie może!

Stały otworem drzwi do bocznej komnaty, Bolesław wyszedł przez nie, skinął na księdza Iwonę, pociągnęli za nimi Toporeczycy.

Zapewne domysłając się po co go powołano.

kapelan, mąż przygarbiony. smutny blady powlókł się jakby przeciw woli ociągając, gładząc ręką po czole i licu.

— Ojcie mój — zawołał z niezwykłą sobie gorącością Bolesław — powiedzcie mi prawdę! Co to za pógłoski chodzą! Na Boga! nie może to być! nie może!

Ksiądz Iwo zdał się zgadywać o co chodziło, ramionami poruszył.

— Nic nie wiem! — rzekł.

Po krótkim namyśle książę wołać kazał Pełkę Śreniawitę, który był starszym podkomorzym u dworu. Znaleziono go w przedsieni. Szedł na kiju się opierając, bo dawno chował, głowę miał lysą, wąs długi, twarz chudą. Na nim też widać było to przygniecenie życiem, które się malowało na księciu.

Prawie cały dwór miał to oblicze smętne i milczące.

— Pełka! — zawołał żywo książę. — Powiedz ty mi, co znaczy ta potwarz, którą zmyślono. Wiem, że biskup Paweł nie jest zbyt w życiu przykładnym — ale na Chrystusa Pana!

Bolesław ręce zalał. Pełka ramionami ruszywszy, zmilczał.

A bywało z nim, co z wielu staremi się dzieje, ciężko go było wywieść na słowo, lecz gdy raz usta otworzył, mówić począł i rozgadał się, równie trudno go było do milczenia skłonić.

Więc zrazu usta poruszał, nie mówiąc nic, żuł, spluwał, poprawiał odzież, patrzył na księcia i na otaczających.

— Hm — rzekł wreszcie — nie potwarz to pono. a prawda święta.

Tu głos mu się zaczął coraz wznagać a podnosić.

— Nie wielem się ja dobrego po tym Pawle spodziewał, gdy go święcili. Co święcenie diabłu pomoże? a to był zawsze istny szatan! Takim on i teraz jest... Sprawki to złego ducha.

Ksiądz Iwo przerwał, bo mu przykro było, iż na duchownego narzekano.

— Nikt nie wie jak to jest!—rzekł.—Niewiasta kusicielka winna więcej... powiem, sama jedna ona winowajczyni! Do wszystkiego złego ona prowadzi, a gdy aniołem nie jest, szatańskim narzędziem musi być.

Bolesław oczy sobie zakrywał.

— Więc to prawda?—zapytał.

— Prawda. i opowiem jak się stało—odezwał się już rozgadujący Pelka.—Ludzie opowiadają o tem różnie, ale ja wiem najdowodniej!

Najrzal tę mniszkę biskup pouo czasu pogrzebu królowej Salomei i obudziła w nim chęci nicene. Podesłał babę, przez tę wszetecznice jego starą wszystko się dokonało. Namówili ją, ugadali, oszukali, może i gwałtu użyto, alboli czarów! dosyć że ją w suknie świeckie odzianą z klasztoru wyprowadzili.

Było to wieczorem, przed samem furty zamknięciem. Nieopatrzono się, aż jej do chóru zabrakło.

Posłała panna starsza, przełożona do celi, czy nie chora, nie znaleziono jej tam, tylko habit rozdarty. pasek na ziemi i treпки rzucone w ką. Nie-szczęśliwe zakonnice ze sromu, który się klasztorowi ich stał, o mało nie poumierały. Stał się lament, niepokój wielki, pogowie... Nikt się ani domyślał, żeby to biskup sprawił—posłano do niego ze skargą, prosząc ratunku! Wpadł zaraz w furję i tem się zdradził. Gunterowi gwardjanowi ze Skały i Justynowi krawowskiemu przykazując milczeć pod grozą wielką.

Ale wątpili jeszcze ludzie. Upłynęło dni kilka zaczęto bąkać, że biskupia gospodyni do Skały jeździła. a tuż podle biskupiego dworu, w domu, do którego boczne wnijsie wyrabano, dowiedziano się o niewieście, u której Paweł niezbożny wieczorami przesiadywał. A nie kto tam inny jest tylko ta zakonnica Bieta, ze Skały porwana.

Kapelan księcia słuchał w milczeniu, twarz odwra-

cając, książę obarzony wykrzykiwał, Toporeczycy zawsze biskupowi nieprzyjaźni, tryumfowali.

— Albo się to czego innego było można po tym człeku spodziewać?—zawołał Żegota.—Znano jest, jakim był zawsze. Na jego dworze i wprzód więcej bywało niewiast młodych niż klechów, a u niego doma kubków więcej niż książek.

— Najsromotniejsza to—dodał Pelka—iż całe miasto już wie o tem. Owa nieszczęśliwa nie bardzo się z sobą ukrywa, wstydu niema. Dalej będzie do kościoła chodziła, a chlubiła się tem, że ją sobie wybrał bezbożnik.

Cóż biskup?—zapytał książę.

Kapelan stęknął, a stary Pelka dodał:

— Biskup i tak zuchwałym jest i bezwstydnym jak był, albo gorszym jeszcze—czoła niema.

Bolesław jęknął boleśnie.

Toporeczycy śmieli się złośliwie.

— Do Rzymu go podać!—wtrącił Żegota.—I tak na niego skarg jest wiele nieustannych. Kanoników, którzy go wybierać nie chcieli prześladowe niecnie, mści się, dobrami frymarczy, grunta kościelne rozdaje. Zausznicy jego i słudzy biorą co chcą, dobrze że z kielichów mszalnych nie piją jeszcze u stołu.

— Zgroza!—rzekł książę.

— Kapituła, co poczciwsi znieść tego nie powinni—odezwał się Pelka.

— I niezniesie!—zamruczał kapelon Iwo.—Wiem o tem. Oprą mu się, pojedą skarżyć do Gniezna, choć on arcybiskupa nie posłucha—zada im fałsz! naówczas—do Rzymu.

— Do Rzymu daleko!—przerwał Żegota Toporeczyk—zgorszenie tymczasem trwa; z takim jawno-grzesznikiem i świętokradzcą niema się co pieścić. Wzięćby go i posadzić do lochu na pokutę.

Bolesław zaprotestował.

— My nad nim władzy nie mamy—rzekł—w gło-

wie ci się maci, Żegota! oni swój trybunał najwyższy mają w Rzymie, dykt duchownego tknąć nie śmie.

— No — a księdza Czapkę Konrad powiesił — odczwał się Otto.

— I zmarł w kłatwie kościelnej! — dodał książę.

Kapelan mruczał coś niewyraźnie, trząsł głową i w końcu zamknął.

— Świeckiemu ramieniowi w te sprawy się nie wtrącać. Są duchowni co godności swej strzedz będą. Da się o tem znać do Rzymu!

— A tymczasem — przerwał mu Żegota — on się będzie niecnotą swą urągał nam i tę stolicę kalał, na której święci siedzieli.

Książę dał znak ręką.

— Dość — rzekł.

Spostrzegł był przez drzwi otwarte zbliżającą się księżną Kingę, której dwie podeszłe niewiasty, prawie po zakonnem ubraniu towarzyszyły. Pośpieszył naprzeciw niej, rozstąpili się wszyscy z poszanowaniem. Szła pobożna pani z oczyma spuszczone, bojaźliwa, trwożna, smutna. Na powitanie mężowi nie podała czoła, choć się żywo i chętnie ku niej przybliżył. Cofnęła się przelekła, aby jej nie tknął.

— Z łowów szczęśliwych powracam — rzekł książę — ale doma złe jakieś zastałem wieści.

Spojrzenie księżnej milczenie mu nakazało. Zrozumiał ją, usta mu się zamknęły posłuszne.

Wieczera stała już pogotowi, ale Kinga po stem ślubowanym dnia tego wymówiła się i razem z towarzyszkami do komnat swoich wróciła.

Przy wieczery książę mówić już nie dał o niczem tylko o myśliwstwie — ale co po eichu między sobą szeptano, odgadnąć było łatwo.

Wnet potem Bolesław z lektorem i kapelanem udał się na modlitwę, które długo codzień trwały.

Żegota i Otto szli do izb swoich na zamku.

Na tym eichym i pobożnym dworze dwaj Toporczykowie, godząc się z nim obyczajami pozornie, jedni

pono, ufając łasce pana, mogli sobie więcej nieco pozwolić. U nich zabawić się i pośmiać było można, tam się przedniejsi urzędnicy zbierali, aby rozzerwać trochę.

Wielki dwór mieli z sobą możni ziemianie, a dostatkami szafowali chętnie. Jeśli na krakowskim zamku ich nie było, przyjmowali u siebie księcia i liczne z okolicy rycerstwo. Ludzie byli pobożni jak wszyscy owego czasu, ale nie tak względem siebie surowi i na wszystko baczni jak sam książę.

Bolesław upominał ich oto często. Księżna Kinga obawiając się, aby jej męża nie psowali, nie bardzo im sprzyjała. Dwór cały zresztą mieli za sobą.

Wkupił się był naprzód Żegota w łaski księciu psami, które mu podarował, potem, że do myśliwstwa nie było zdolniejszego ni pochopniejszego nad niego.

Jak tylko sami się znaleźli Toporezykowie z drużyną, dworzan i komorników pańskich, do których węgry kilku i Niemców siła należała — wnet o biskupie znowu poczęto.

— Kiedy się biskup na to ważył—ozwał się Otto z przekąsem zapomniawszy na sławę swą i bezpieczeństwo—zakonniczka musi być grzechu warta!

— Nieprawda!—podechwycił Pelka, któremu gdy miód pił usta się łatwiej rozwiązywały—nieprawda! Nie nowina to, że gdy djabeł opęta, człek dla łada starego wiecchia rozum straci, w tem djabelska sztuka! Czy to piękność kusi? Albośmy to nie widzieli wojewody co szalał za starą a sprośną?

— A sam też nie młody był i szpetny!—rzekł Otto.

Wtem się wmięszal Niemiec Bruuo, co go zwa-
no Alte.

— Miłośnicę tą biskupią już ludzie widzieli, ona tak szczerlnie okien nie zamyka. Mówią, że piękna bardzo i młoda. Drudzy prawią, iż tu drugiej takiej nie znaleźć.

Wyśmiewano się.

— Zuchwała słyseż jest i śmiała, jakby nigdy mniszką nie była—dodał Alte.

— Lat ma ledwie szesnaście, słyszę—dodał inny.

— Ziemianina córka—wtrącił niemiec.

— Nie, mieszcza, sierota—rzekł drugi.

— Ojciec był przy dworze, rycerskiego stanu
człek—zaprzeczył dworzanin młody.—Z dumnej twa-
rzy jej widać, że krwi jest dobrej.

Rozmawiano popijając, na biskupa się odgraża-
jąc, szydząc z niego. Otto i Żegota szczególniej nań
podbudzali.

— Nie będąc żyw—zawołał ostatni—kiedy się
do mniszki nie dostanę i nie zobaczę jej!

— Widzieć ją można, ale się do niej dostać,
nie—odparł Alte.—Stróżów tam koło niej dość, bab
i starych siepaczy.

— E!—zawołał Toporeczyk.—Biskup ci ją skradł
z klasztoru, godziłoby się odebrać mu ją gwałtem
nazad i mniszkom dać!

— O! o!—wykrzyknął pełka.—Ma on siłę! Nie
da jej! a gotów się i drugi raz do klasztoru włamać.
To nie nasza sprawa!

Nazajutrz, po długiem biesiadowaniu u Topor-
czyków, ponieważ dzień był spoczynku po łowach,
obaj bracia na zwiady poszli.

Wykradzenie zakonnic, choć niektórzy dla sro-
mu taić je chcieli i zaprzeczali mu, znanem już było
w mieście całem. Mówiono o niem wszędzie, ale
nigdzie takiego nie wywołało oburzenia, jak w czę-
ści duchowieństwa, kapitułę składającego.

Kanonik Janko zachorował z bólu, stary ks. Ja-
kób ze Skarzeszewa gorzkiemi płakał łzami, inni się
rwali do Rzymu, bodaj pieszo, na skargę, inni na-
przód do Gniezna.

Tymczasem, jakby na uragowisko z tej wrzawy,
widywano codziennie biskupa z licznym pocztem, ukazu-
jącego się po ulicach, śmiało narzucającego oczom
ludzkim, wyzywającego swym bezwstydem i dumą.

W tem zuchwalstwie może baczniejsze oko hy-
łoby dostrzegło jakąś trwogę, niepokój sumienia, oba-

wę ludzi, ale zdala mogło się to innym zdawać odwagą i zaczepką.

Ks. Paweł dla tych co go otaczali drażliwszym się stał, niż dawniej bywał, bardziej despotycznym. Badał wzrokiem niespokojnym każdego przychodzącego, oburzał się łatwo, chwycił każde słówko dwuznaczne, szukając w niem przymówiska do siebie. Zawsze gwałtowny, teraz się stał niepomysłowym. Ci szczególnie z duchownych, których znał dawniej jako nieprzyjaznych sobie, narażeni byli na postępowanie okrutne, szyderstwo i odgródki bez przyczyny.

Wszystko to razem najcierpliwszych przyprowadzało do rozpacz. Schodzili się z żalami, ntyskiwaniem, naradzając co czynić mają i nie mogąc nic postanowić.

Obyczaje biskupa wręcz się sprzeciwiały przepisom kościoła dla duchownych, którym wzbronione było noszenie oręża, oprócz w podróży dla koniecznej obrony—zakazane były łowy, najlubiejsza jego zabawa. Biskup prawa te gwałcił jawnie, w biały dzień po rycersku odziany, w butach spieczastych z ostrogami, przy mieczu przejeżdżał się po ulicach i rynkach z wielkim ludu zgorszeniem. A że i sumienie go gryzło i niepokój nękał, codziennie w tych rozrywkach szukał zapomnienia troski.

Werchanić zwykłe mu w tych wyprawach towarzyszył, a Zonia naówczas miała powierzone strzeżenie Biety, z którą rady sobie nie łatwo dać mogła.

Dziewczę zdziczałe w samotności klasztornej, zmuszone długo tłumić w sobie wszystko, pragnęło teraz swobody nad miarę.

Werchanić, która się z początku piękności Biety lękała, poznawszy ją lepiej, zaczęła się trwożyć gwałtownem jej nsposobieniem.

Wymaganiom nie było końca.

W pierwszych dniach zaraz zażądała od swego pana, którego upoiła do szaleństwa, sama się przywiązując do niego—najdziwaczniejszych ozdób i sprzętu dla swego mieszkania.

Chciała mieć ściany zawieszane obiciami szytymi, o których od zakonniczasłyszala, że niemi poksiążęcych dworach izby przyozdabiano, podłogę wyślaną kobiercami i skórami; napraszała się o łańcuchy, klejnoty, pierścienie, naczynia srebrne. Miedzianemi dzbanami rzucała precz, jako rąk jej i oczów niegodnemi, cynowe misy oddała czeladzi.

Calemi dniami stroiła się z nudów i przestrajala, oczekując na odwiedziny pana, który zwykle zjawiał się dopiero wieczorem.

Ze sługami obchodziła się tak, jak może z nią niegdyś postępowano w klasztorze, dla przelamania jej oporu — wymagała rzeczy niemożliwych, posłuszeństwa bez granic.

Werchańcowa, która chciała z nią być na stopniu poufalości, zapełniła zaraz, na równi z inną czeladzią ją trzymając. Zouia burzyła się od gniewu i odgrażała.

Lecz z zemstą i odwetem czekać było potrzeba. bo ks. Paweł słowa przeciwko swej Bicie mówić nie dawał.

Dworek, w którym zakonnicę umieszczono, stał tuż obok zabudowań biskupich, w ulicy, po której kręcili się prawie przez dzień cały ziemianie, rycerstwo, duchowni mieszczenie mający tu sprawy różne. Wesole towarzystwo ks. Pawła, jego druhowie i wierni snuli się gęsto, a że już o Bicie wiadano, o nadzwyczajnej piękności jej gloszono, ciekawi widzieć się ją starali. Werchańcowa miała rozkaz strzeżenia tego skarbu, aby go oko obce nie dostrzegło — ale Bieta żadna nowych widoków po klasztornej ciszy, ani myślała się dać zamykać. Otwierała okiennice szeroko, wyglądała w ulicę, śmiało patrząc wszystkim w oczy i chlubiąc się pięknoscią swoją. Nie był to bezwstyd kobiety zepsutej, ale zuchwalstwo dziecinne, nieznanomosć świata i ludzi. Zdawało się jej, że biskup miał prawo wziąć ją i tać się z tem nie potrzebował.

Uważała się jakby za żonę Pawła, za towarzyszkę — stojącą z nim dostojnosćw na równi. Wychowana w nieświadomosci praw świata, wyobrażała so-

bie, że pan jej mógł je zmienić i wyzyskać uznanie tego związku. W dzieciństwie swem pamiętała przecie księży, którzy albo z dawnych czasów żony mieli, lub rodziny z nich, z którymi się nie ukrywali.

Z dumą, którą we krwi miała, Bieta miała się za równą księżnom, jak biskup równał się z książętą. Nic też jej nie starczyło w tym ciasnym dworku i dziwiła się, dlaczego by nie miała zamieszkać jawnie w wielkim dworcu biskupim. Chciała mieć okazałe otoczenie, urzędników, towarzyszek, wozy, woźniki, wierzchowce. Ks. Paweł, który się takich wymagań nie spodziewał, zrazu śmiał się z nich, potem, nie chcąc jej jętrzyć, ulegając dziwactwom, z namiętnością podżyłego człowieka... zbywał ją obietnicami i wymówkami różnemi. Obicia na ściany izb Biety wzięto tymczasem wprost z kościelnego skarbcza, kobierce zdjęto może ze stopni ołtarzy, ażeby uspokoić psotnicę. Jedwabne postawy, ofiarowane na ornaty, szły do skrzyń na suknie Biety, klejuoty coraz dostarczano nowe.

Postępowanie dziewczyny, którą biskup sobie całe inną wyobrażał, jej charakter gwałtowny i niepohamowany, wymagania nieustanne i codzienne wymówki—zwiększały rozdrażnienie i znecierpliwienie ks. Pawła. Teraz dopiero widział, jak drogo mu rozpustę opłacić przyjdzie. Sądził, że dopuściwszy się świętokradztwa, ślady jego wkrótce zatrzeć potrafi; albo zwracając zakonnice klasztorowi innemu, lub gdzieś ją za mąż wydając jak Zonię. W pierwszych dniach zaraz otwarły mu się oczy, Bieta potwarzała co chwila, iż póki żywa go nie opuści, że żadna siła jej od niego oderwać nie potrafi!

Ks. Paweł śmiechem niepokój pokrywał.

— A gdybym ja — pytał — był zmuszonym cie rzucić?

— Ty?—odparła śmiało Bieta.—Myślisz, że mnie się żyć będzie tak łatwo jak wziąć? Chyba otruc trzeba lub zabić. Pókim ja żywa, nie dam się odepchnąć! Z drugiego końca świata przyjdę w ślad

chodzić za tobą. Wziąłeś mnie — musisz trzymać! Pan Bóg nazad mnie nie przyjmie, bom świętego Oblubieńca zdradziła dla ciebie. Nie zechcesz mnie mieć miłośnicą, będę ci kamieniem u szyi.

Groźby te Paweł starał się próżno w śmiech obracać, chociaż oczy, postawa, głos mówiły mu, że niewiasta ta dotrzymać potrafi, co powiedziała. Wprędce owe rozkosze, które sobie niczny człek obiecywał, obrócili się w męczeństwo.

Wymagania dziwaczne były nieskończone i niepohamowane, a gwałtowne wybuchy gniewu biskupa, nie tylko nie pomagały, ale ją do wściekłości doprowadzały. Uciekać musiał w końcu biskup, a potem przeblagiwać i łagodzić.

Skarżył się na utrapienie swe przed zaufaną Werchańcową, która mu się w oczy śmiała.

— Nie mówiłam że ja—odpowiadała na źle— że sobie kupisz srom, nędzę i biedę. Oto masz czego chciałeś. Mało ci było tego coś miał To szatan nie dziewczka, to bies wcielony!

Zonia też, której mąż dostał las od Bukowej i cysterskie pola, choć sownie wynagrodzona, miała troskę nieustanną, ciągle zmuszona stać na straży, nie mogąc odetchnąć na chwilę.

Raz, gdy Bieta, mimo zakazu stała w oknie otwartym od ulicy. Toporeczycy, którzy na widzenie jej czatowali, znaleźli się w porę. Stanęli przypatrując się jej, i przedrwiwając—ale Bieta wcale się nie zasromiała i uciekać nie myślała. Strojua była w łańcuchy i klejnoty, piękna jak szatan przed upadkiem, zła jak on po wyroku potępienia. Otto i Żegota głośno się z niej poczęli wyśmiewać, na co im łajaniem i dwoma wyciągniętymi pięściami odpowiadała. Już ludzie się przed dworkiem gromadzić zaczęli i byłoby zbiegowisko powstało, gdyby nadbiegająca Werchańcowa gwałtem nie zaparła okiennicy i precz nie odciagnęła Biety.

Nieprzyjaciele biskupa płatali psoty bolesne jego kochance. Na okienicach dworku mało nie co-

dzień namacywał ktoś infule i postoral, z czego się przechodzący naśmiewali. Pisano wielkimi głoskami—Abizail... na drzwiach i wschodach.

Musiano stawić stróżów, ale i ci niewiele pomogli.

We dnie zakazanem jej było wyjeżdżać i wychodzić, o nroku tylko czasami wyprowadzala ją Werchańcowa tylną furta na przechadzkę, ale i tam czatowano na nie, poznawano łatwo, ludzie w ślad szli i beczene pieśni do uszu im rzucali.

Dwór biskupi coraz bardziej pustoszał, gdyż najprzyjaźniejsi nawet ks. Pawłowi, powszechnie widząc oburzenie, bronić nie mogąc, usuwali się powoli i najlichsza tylko gawiedź dotrzymywała z nim jeszcze.

Starsi duchowni z kapituły, nawet na zawołanie biskupa się nie stawili, przestali całkiem go widywać.

Gdy po raz pierwszy po rozgłoszeniu zgorszenia ks. Paweł musiał iść na Wawel do księcia — Bolesław przyjął go z tak widocznym wstrętem i obawą jakąś, nie chcąc prawie zawiązywać rozmowy, iż biskup, nie pokłoniwszy się nawet księżniczce, która się wcale nie ukazała—precz odjechać musiał.

Wyszedłszy z zamku wściekły, odgrażał się na sykofantów — łajał głośno, lecz oprócz Toporczyków, którzy z drwinami przeprowadzali, nikt nie słyszał go nawet.

Po całych dniach sam teraz siedzieć musiał z jednym ks. Szczepanem, który go nie opuszczał, lub Werchańcem i domownikami. Jawnem się stało, że wszyscy go unikali. To potępienie zamiast uwrócić, rozjątrzyło go tylko.

Wpadł w rodzaj szalu, na przekór wszystkim cynicznym się stając i zuchwałym. Odgrażał się jawnie przeciwko kapitule, przeciw wszystkim—nie to jednak nie pomagało. Niezlamany karą, jaka go dotknęła, Paweł zdawał się wyzywać świat cały..., i chcieć obalić, co mu stawalo na drodze.

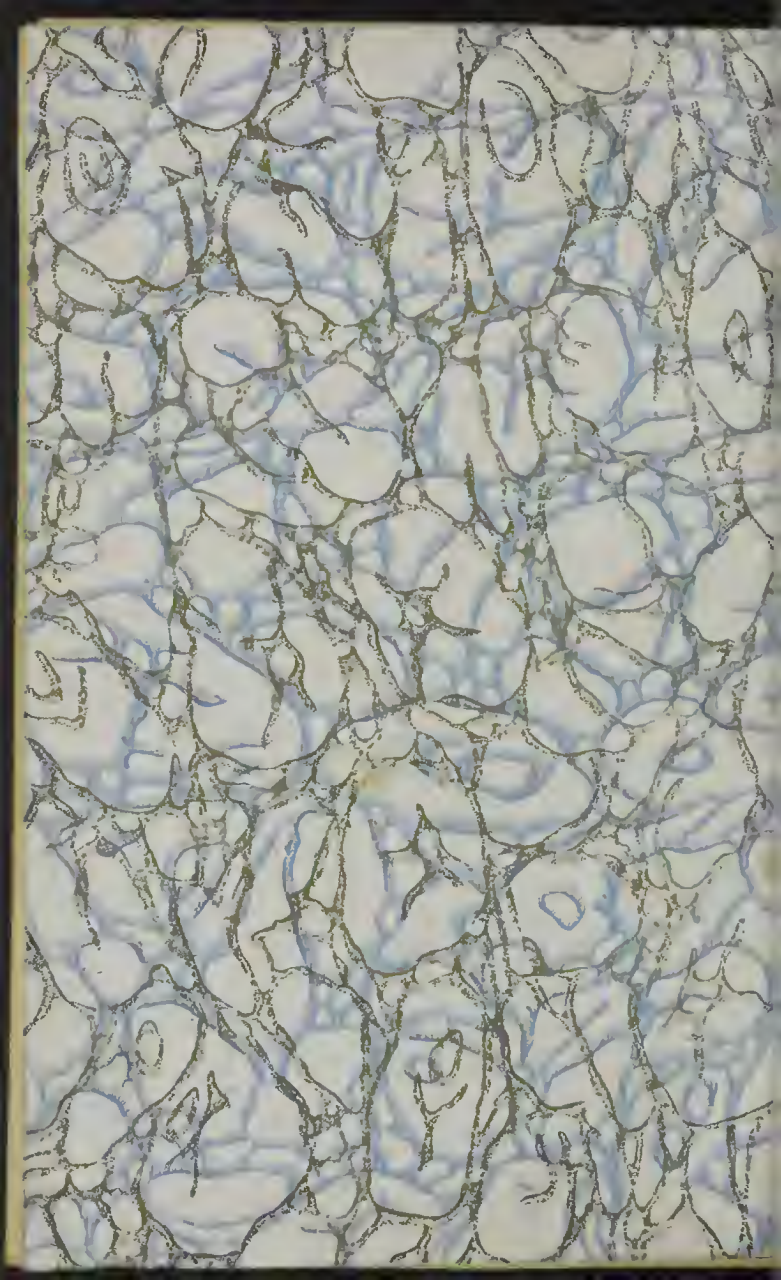
KONIEC TOMU I-go.

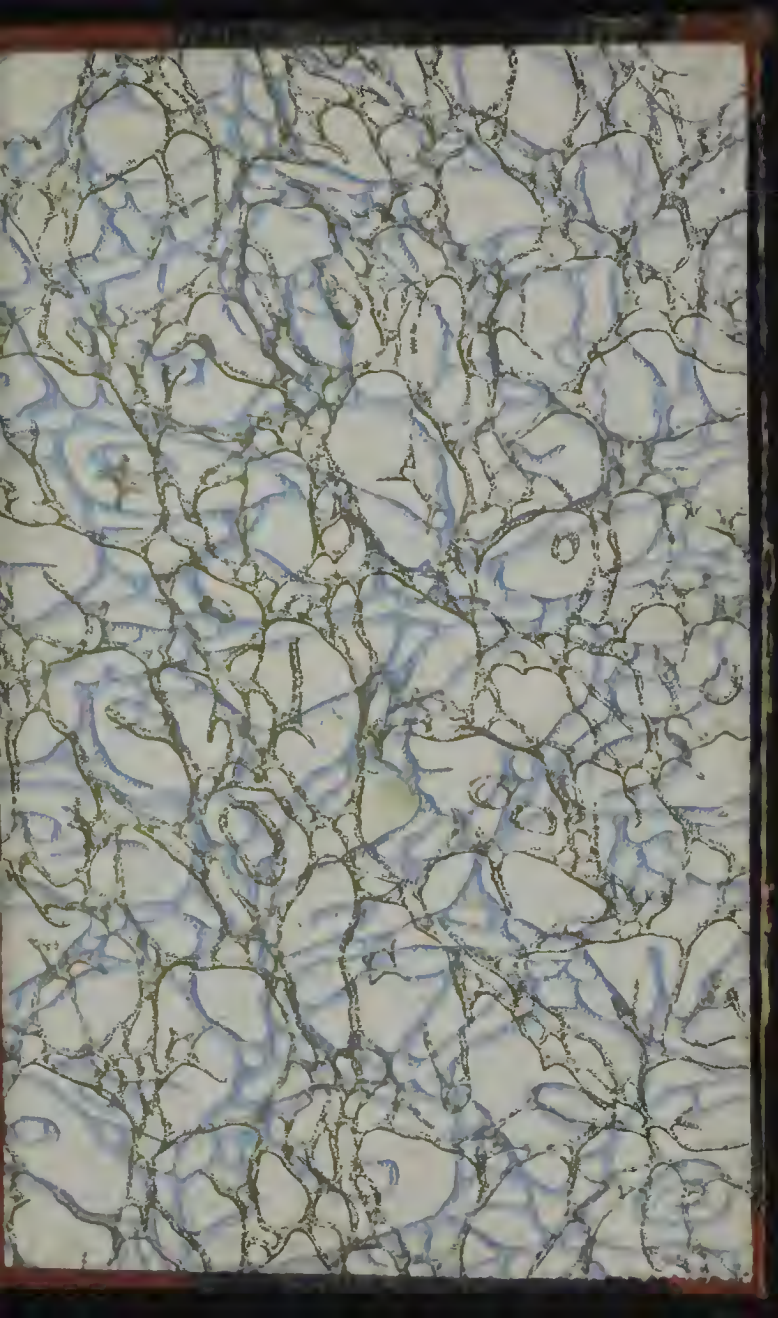


11-11-12-10

11-11-12-10

11-11-12-10





Biblioteka Raczyńskich

JIK 1406



JIK1406